



a r t e f a k t y

ROBERT
SILVERBERG

SKRZYDŁA
NOCY



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

wstęp

skrzydła nocy

część pierwsza. Skrzydła nocy

część druga. Wśród Pamiętających

część trzecia. Droga do Jorslemy

Robert Silverberg

SKRZYDŁA NOCY

Przełożył Krzysztof Sokołowski

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *Nightwings*

Copyright © 1968 & 1969 by Robert Silverberg
Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Magdalena Górnicka
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń
Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark
Crayon

Nazwa serii: Vanrad
Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-83-7480-824-8
Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228134743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227213000
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

*Harlanowi.
Oby zawsze pamiętał otwarte okna,
prądy rzeki Delaware,
ćwierćdolarówki z dwoma orłami
i inne wpadki.*

wstęp

Bałaganiarski, chaotyczny, wręcz groźny i w skutkach niemal apokaliptyczny rok 1968 – rok ofensywy Tet i innych ponurych wydarzeń wojny w Wietnamie, rok zamachów na Roberta F. Kennedy’ego i Martina Luthera Kinga, rok wkroczenia wojsk rosyjskich na ulice Pragi i kresu czeskiej wolności, rok Narodowej Konwencji Partii Demokratycznej oraz wywołanej przez nią otwartej wojny na ulicach Chicago – mnie osobiście dał poznać smak tego, czego można było się po nim spodziewać, gdy pewnego mroźnego lutowego dnia obudziłem się o wpół do czwartej rano w płonącym domu.

O świcie znalazłem już najgorszą prawdę. Dach spłonął w całości, księgozbiór podręczny na poddaszu praktycznie przestał istnieć, drugie piętro z pracownią uległo częściowemu zniszczeniu, woda zalała niższe piętra, uszkadzając je w stopniu wymagającym remontu generalnego całego wnętrza. Kolejne dziewięć miesięcy tego przedziwnego, szalonego, koszmarnego roku przeżyłem na wygnaniu z mego wspaniałego nowojorskiego locum, bez chwili wytchnienia, w depresji, w tymczasowych, przypadkowych mieszkaniach, wśród pudeł i skrzyń, z ograniczonym dostępem do książek potrzebnych mi w pracy, papierów i notatek. Do wszystkiego, co niezbędne niezwykle aktywnemu pisarzowi w kluczowym momencie jego pisarskiej kariery.

Tego 1968 roku świat radośnie tracił zmysły. Ja walczyłem, żeby zmysłów nie stracić.

Koszty odbudowy domu okazały się wielkie (i rosły z każdym dniem, bo właśnie rozpoczęła się galopująca, wojenna wietnamska inflacja). Pieniądze z ubezpieczenia, jak to się dzieje zawsze, nie wystarczyłyby na ich pokrycie, a w dodatku zwykły urzędniczy bałagan opóźnił pierwszą płatność o trzy miesiące. Mimo że przez swój wpływ na całe moje życie pożar pozbawił mnie energii, nie miałem wyboru. Usiadłem do pracy, gdy tylko znalazłem kawałek płaskiego miejsca na postawienie nowej maszyny do pisania.

Jako pierwsze po pożarze – zacząłem je pisać po mniej więcej dziesięciu dniach i, choć nie całkiem przytomny, ukończyłem pięć dni później – powstało długie opowiadanie, liczące sobie 19000 słów „Skrzydła nocy”.

Nie miałem wówczas pojęcia, że zacząłem powieść. Byłem zbyt zmęczony, by snuć dalekosiężne plany. Opowiadanie dla jednego z najlepszych magazynów SF miało zarobić dla mnie około pięciuset dolarów – dziś to mniej więcej pięć tysięcy, licząc siłą nabywczą – czyli pozwolić mi przeżyć kilka tygodni.

Najpierw, jak to się zdarzało wielokrotnie przedtem i potem, do głowy przyszedł mi tytuł: „Skrzydła nocy”. Zadałem sobie pytanie: „cóż to właściwie znaczy?”. Pojawiły się obrazy: skrzydlata dziewczyna, niebo pełne statków kosmicznych obcych, inwazja, oślepiiony książę. Wystarczyło kilka chwil, bym znał już całą opowieść; jest to proces, którego nie śmiem choćby próbować zrozumieć. Wiedziałem, że to, co się zdarzy, nastąpi w dalekiej przyszłości i że spróbuję użyć charakterystycznie stylizowanego, uroczystego języka. Od samego początku znałem też pierwsze zdanie: „Miasto Roum zbudowano na siedmiu wzgórzach”.

Wziąłem się do pracy. Pisałem najszybciej jak potrafiłem. Frederick Pohl, redaktor „Galaxy”, wówczas najważniejszego magazynu SF, kupił „Skrzydła nocy” równie szybko.

Pora poświęcić kilka słów Fredowi Pohlowi. Piszę te słowa wiosną 2001 roku. Mogę powiedzieć, że od przeszło czterdziestu lat łączy nas bliska serdeczna przyjaźń. Jak to się zdarza w wielu przyjaźniach – i w bardzo wielu małżeństwach – bywało między nami różnie, zdarzały się spory, każdy z nas robił coś, co drugiemu było nie w smak, padały ostre słowa, po czym... pozostawaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Spieraliśmy się o politykę, o to, co pisaliśmy, o kwestię zawodowej odpowiedzialności, o wiele innych rzeczy, w tym naturę i cel fantastyki naukowej. Na początku ja byłem bezczelnym, pozornie niepoprawnym młodym pisarzem, a Fred (który w swoim czasie popełnił większość tych błędów, jakie popełniałem wówczas) czuł się w obowiązku prostować me ścieżki, nie przebierając w słowach. Potem, gdy już dojrzałem i ustatkowałem się, a on popadł w poważne problemy natury osobistej, to ja prawilem mu kazania, zdarzało się, że nie przebierając w słowach. Dziś, gdy jestem starszym panem, a on panem jeszcze starszym, nie pouczamy się już nawzajem, najwyżej od czasu do czasu któryś z nas zakpi z drugiego, czasem złośliwie, zawsze bez przekonania. W grę najczęściej wchodzi polityka, jako że pod tym względem różnimy się bardziej niż kiedykolwiek.

W każdym razie „Skrzydła nocy” wysłałem Fredowi na początku marca 1968 roku. On też się kiedyś spalił, więc doskonale wiedział, przez co przechodzę. Czek dostałem od niego odwrotną pocztą. Nie przysłał natomiast żadnej informacji o tym, jak bardzo spodobało mu się opowiadanie. Kilka miesięcy później z prawdziwym żalem tłumaczył mi: „Właśnie zorientowałem się, że podyktowałem list do ciebie zaraz potem, jak mi przysłałeś »Skrzydła nocy«, a nikt go nie przepisał i nie wysłał. Bardzo poważne przeoczenie, bo chciałem, żebyś wiedział, jak bardzo mi się podobały i jak cię z ich powodu podziwiałem”. Miło mi było to usłyszeć, bo

w międzyczasie posprzeczałyśmy się listownie o dwie kontynuacje. Z wdzięcznością przyjąłem ten pokojowy gest. Ale zaraz po ich napisaniu nie miałem czasu ani głowy, by się przejmować, co Fred kocha i jak szczerze. Liczył się tylko czek na pięćset trzysta dolarów, którym mogłem zapłacić za kilka tygodni pobytu w wynajętym mieszkaniu.

Następnie, równie szybko, napisałem opowiadanie „Ishmael in Love” dla innego wiodącego w owych czasach magazynu, „Fantasy and Science Fiction”, a potem niewielką książeczkę o cudach chińskiej nauki, przeznaczoną dla młodego czytelnika. Pracowałem w takim tempie, że obie rzeczy skończyłem jeszcze w marcu. Wówczas wiedziałem już, że „Skrzydła nocy” są w istocie pierwszą z trzech części nowej powieści, w której mój bohater miał wkraczać coraz głębiej i głębiej w stworzony przeze mnie świat, by wraz z całą Ziemią odrodzić się i zyskać odkupienie.

Osiemnastego marca poinformowałem Freda Pohla, skądinąd bardzo lubiącego cykle, że zamierzam napisać część drugą i trzecią „Skrzydeł nocy”, mniej więcej tej samej objętości co pierwsza. „Pisz” – powiedział. Następnie poszedłem do Avon Books, jednego z kilku ówczesnych wydawców moich powieści fantastyczno-naukowych i umówiłem się z nimi na wydanie powieściowe. Zaraz po zakończeniu książeczki o chińskiej nauce zacząłem pracę nad drugim długim opowiadaniem, któremu nadałem tytuł „Wśród Pamiętających”.

Skończyłem je w połowie kwietnia, kiedy w wielkim świecie zamordowano Martina Luthera Kinga, a w czarnych dzielnicach wielu amerykańskich miast wybuchły zamieszki, i wysłałem Fredowi. Oczywiście kupił „Wśród Pamiętających”, bo jako redaktor zobowiązał się kupić serię, a jako przyjaciel chciał mi pomóc finansowo w tych trudnych dla mnie czasach. Problemem było tylko to, że opowiadanie niezbyt mu się podobało.

Środkowa część serii, obojętne, opowiadań czy grubych trylogii, zawsze sprawia kłopoty. Z samej swej natury jest bytem przejściowym, wprowadzającym nowy materiał narracyjny, którego obecność musi zostać jakoś uzasadniona przed końcem opowieści, ale nie ma w niej znaczących rozstrzygnięć, bo od tego jest część ostatnia. Fred rozumiał to równie dobrze jak ja, ale Fred prowadził magazyn i wszystko, co w nim publikował, a co nie zostało zapowiedziane jako powieść w odcinkach, musiało być rozsądną całością. Miał wrażenie, że „Wśród Pamiętających” nie spełnia tego warunku i że nowego materiału jest w nim o wiele mniej, niż się spodziewał. Powiedział mi to, nie owijając w bawełnę.

Nie zgodziłem się z nim, co całkiem naturalne. Wymienialiśmy korespondencję w szybkim tempie, a ja broniłem się między innymi tymi słowami: „Mówiąc najprościej, sprzedaję Ci powieść, choć nie taki miałem zamiar, kiedy zaczynałem pisać, a mój obraz tego, czym powinien być i jest środek powieści, nie musi zgadzać się z Twoim obrazem tego, czym powinno być i jest główne opowiadanie numeru”. Przypomniałem mu, że tę samą dyskusję prowadziliśmy przy poprzedniej serii, którą dla niego zrobiłem – pięciu opowiadań składających się na powieść „To Open the Sky”. List zakończyłem tymi słowami: „Nie przyznaję się do złej woli. Zrobiłem co mogłem jak mogłem najlepiej, czasami moje »najlepiej« nie jest wystarczająco dobre dla nas obu. Jestem Ci szczerze wdzięczny, że publikujesz mnie mimo wszystko z nadzieją, że pewnego dnia napiszę coś lepszego. Doskonale zdaję sobie sprawę także z tego, że wymagasz ode mnie więcej niż Twoi czytelnicy. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, skoro Twoje komentarze irytują mnie i motywują do sięgnięcia wyżej. Możesz mi wierzyć lub nie, ale po każdej napisanej stronie słyszę Cię za plecami, cmokającego z niezadowoleniem”.

Stoczyliśmy także bój o tytuł opowiadania. Fredowi, nałogowemu zmieniaczowi tytułów, nie podobało się „Wśród Pamiętających” z powodów, których nie zdołał mi wyjaśnić. Zmienił je na „Perris Way”, co z kolei dla mnie nie miało żadnego sensu. Przeprowadziłem przekonujący korespondencyjny dowód na przewagę oryginalnego tytułu nad wersją pohłowską, kończąc list słowami „Pewnie i tak nazwiesz je »Perris Way«”. Miałem rację. Cóż, jako redaktor był w prawie. Gdy rok później opublikowałem powieść, przywróciłem „Wśród Pamiętających”.

Do trzeciego opowiadania „Skrzydeł nocy” zabrałem się parę miesięcy później. Nadal mieszkalem w którymś z kolei wynajętym mieszkaniu, nadal pracowałem w improwizowanych warunkach, ale miałem umowy i musiałem się z nich wywiązać. Książka o kalifornijskich sekwojach, kilka artykułów o tematyce archeologicznej dla gazety z Minneapolis, której naczelnym był Clifford D. Simak, powieść dla młodego czytelnika „World’s Fair, 1992”. W tym czasie policja zaatakowała pięć budynków mojej alma mater, Uniwersytetu Columbia, kończąc antywojenny strajk okupacyjny, Francję sparaliżował strajk generalny, Sąd Najwyższy podtrzymał decyzję o uznaniu za przestępstwo palenia kart powołania do wojska, Robert F. Kennedy zginął w zamachu, prowadząc kampanię prezydencką w Los Angeles. Przygnębiony sytuacją osobistą, w świecie pogrążającym się w odmętach szaleństwa, na początku czerwca zacząłem pracę nad trzecią, wiążącą wątki i niosącą odkupienie, częścią „Skrzydeł nocy”. Jej tytuł, „Droga do Jorslemy”, czyli w moim świecie przyszłości: do Jerozolimy, miał odsyłać do duchowego doświadczenia człowieka, który na drodze do Damaszku stał się przyszłym Świętym Pawłem.

Fred Pohl znów miał wiele zastrzeżeń do tekstu, o czym poinformował mnie, nie przebierając w słowach. I znów go

kupił. A także uprzedził, że zamierza zmienić tytuł. Być może „Droga do Jorslemy” za bardzo kojarzyła mu się ze starym filmem z Bobem Hope i Bingiem Crosby. Nawet nie próbowałem z nim walczyć. Zrobiłem, co do mnie należało, napisałem książkę, rok 1968 trwał i trwał, a mnie czekała następna książka: powieść pod tytułem „Across a Billion Years”.

Opowiadanie „Skrzydła nocy”, pierwsze z trzech, opublikowane zostało w lipcu, w wydaniu Galaxy datowanym na wrzesień 1968. Natychmiast podbiło serca czytelników i kiedy pojawiłem się na World Science Fiction Convention w Berkeley, w Kalifornii (rozruchy w Parku Ludowym, dosłownie za rogiem, trwały w najlepsze, po korytarzach snuł się dym granatów łzawiących), usłyszałem o nim wiele miłych słów. Opowiadanie numer dwa, pod tytułem „Perris Way”, opublikowane zostało w numerze oznaczonym listopad 1968, a ostatnie, pod tytułem „Do Jorslemy”, w lutym 1969.

Fred prowadził wśród czytelników ankietę na najlepsze opowiadanie Galaxy i jej siostrzanego magazynu „If”. W połowie grudnia 1968 roku – mieszkałem już wówczas we własnym domu, choć był zaledwie w połowie wykończony, a trzej astronauty programu Apollo dokonali dzieła historycznego: okrążyli Księżyc – dowiedziałem się od niego, że w głosowaniu wstępnym czytelnicy zakwalifikowali do finału „Skrzydła nocy” i „Perris Way”, a także moją powieść „Człowiek w labiryncie” z „If”. Świętość charakteru powstrzymała mnie od przypomnienia mu, jak bardzo nie lubił „Perris Way”, zasugerowałem tylko, żeby może usunął je z listy. Dwa opowiadania jednego cyklu nie powinny konkurować ze sobą nawzajem.

Mogłem sobie oszczędzić gadania, w głosowaniu zwyciężył bowiem „Człowiek w labiryncie”. „Skrzydła nocy” musiały poczekać na zaszczyty. Wiosną 1969 roku znalazły się w finałowej piątce kandydatur do Nebuli w kategorii dłuższe

opowiadanie, ale przegrały z „Jeźdźcami smoków” Ann McCaffrey. Kilka miesięcy później, konkurując w tej samej grupie pięciu tytułów, zdobyły nagrodę Hugo dla najlepszego dłuższego opowiadania. Powieść zaś, złożona z trzech opowiadań po ich niewielkich przeróbkach i z nieznacznym dodatkiem tkanki łącznej, opublikowana we wrześniu 1969 roku, przełożona na wiele języków, znalazła się na wielu listach najlepszych powieści SF, a teraz pojawia się w nowym wydaniu. Dokonałem w niej kosmetycznych zmian stylistyki i poprawiłem większość (mam nadzieję, że wszystkie) literówek, których przez lata trochę się pojawiło. To wydanie należy uznać za ostateczne.

Robert Silverberg

Czerwiec, 2001

skrzydła nocy

część pierwsza

Skrzydła nocy

Miasto Roum zbudowano na siedmiu wzgórzach. Mówią, że było stolicą ludzkości w jednym z wcześniejszych cykli, lecz o tym nie wiem nic, bo zadaniem mej gildii była Straż, nie Pamiętanie. A jednak gdy po raz pierwszy ukazało się mym oczom na południu, oświetlone promieniami zachodzącego słońca, poznałem, że w minionych czasach musiało wiele znaczyć, a i dziś było wielkie i mieszkało w nim wiele tysięcy dusz.

Jasne, o barwie kości, wieże Roumu rysowały się wyraźnie na tle ciemniejszego nieba. Mrugające światła wabiły. Po mojej lewej ręce niebo płonęło chwałą, choć słońce ustępowało pola ciemności, a pasma lazuru, fioletu, szkarłatu wiły się i splatały w tańcu sprowadzającym na świat noc. Po mojej prawej ręce królowała czerń. Próbowałem rozpoznać siedem wzgórz, nie rozpoznałem ich, a jednak ani przez chwilę nie wątpiłem, że to musi być dostojny Roum, ku któremu skręcają wszystkie drogi. Czuję zachwyty. I szacunek dla dzieła sprzed tak wielu lat, dzieła naszych dziadów.

Odpoczywaliśmy przy długiej prostej drodze z dobrym widokiem na miasto.

– Jest ogromne – powiedziałem. – Znajdziemy pracę.

Przy mym boku Avluela poruszyła delikatnymi skrzydłami.

– A jedzenie? – spytała wysokim, śpiewnym głosem. – Dach nad głową? Wino?

– To też. To też.

– Jak długo idziemy, Strażniku? – spytała.

- Dwa dni. Trzy noce.
- Gdybym leciała, trwałoby to krócej.
- Dla ciebie – powiedziałem. – Zostawiłabyś nas za sobą i nigdy byśmy się już nie spotkali. Naprawdę tego chcesz?

Podeszła, otarła się o szorstkie płótno rękawa, a potem przytuliła się do mnie jak mógłby to zrobić rozpieszczony kot. Rozwinęła skrzydła, szerokie, cienkie niczym utkane z pajęczyny; widziałem przez nie zachód słońca, światło zapadającego zmierzchu, łagodne, rozproszone, magiczne. Odetchnąłem zapachem jej kruczoczarnych włosów. Wyciągnąłem ręce, objąłem smukłe, chłopięce ciało.

– Przecież wiesz, jak bardzo pragnę pozostać przy tobie na zawsze, Strażniku. Na zawsze!

– Wiem, Avuelo.

– Będziemy szczęśliwi? W Roumie?

– Będziemy szczęśliwi – obiecałem i wypuściłem ją z objęć.

– Nie wejdziemy do miasta? Teraz?

– Sądzę, że lepiej zrobimy, czekając na Gormona – powiedziałem. – Wkrótce powinien wrócić, przynieść wieści.

Nie chciałem mówić jej, jak bardzo jestem zmęczony. Była przecież dzieckiem, liczącym sobie zaledwie siedemnaście wiosen. Cóż mogła wiedzieć o dolegliwościach wieku? A ja byłem stary. Nie tak stary jak Roum, ale stary.

– Czekamy – powiedziała. – Czy mogę polecieć?

– Polecieć? Tak. Oczywiście, tak.

Kucnąłem przy naszym wózku. Rozgrzałem ręce nad pulsującym generatorem. Avluela przygotowywała się do lotu. Najpierw zdjęła ubranie, bowiem kruche skrzydła nie zdołałyby unieść jego ciężaru. Szybko i zręcznie zrzuciła z drobnych stóp przezroczyste, niczym ze szkła, pęcherze, zdjęła czerwoną kurtkę i miękkie, futrzane legginsy. Gasnące światło zachodu obmyło jej smukłą sylwetkę. Jak wszyscy Latacze posiadała tylko konieczne minimum ciała: zaledwie zaznaczone piersi,

płaskie pośladki, uda tak chude, że kiedy stała na baczność, pojawiała się między nimi kilkucentymetrowa szczelina. Czy ważyła więcej niż nasz ziemski cetnar? Bardzo wątpię. Ilekroć tak na nią patrzyłem, czułem obrzydzenie do samego siebie, niezdarnego, przykutego do ziemi, tak... cielesnego. A przecież jestem drobnym mężczyzną.

Przyklękła na poboczu. Zaciśnięte w pięści dłonie oparła na ziemi. Pochyliła głowę, dotknąwszy czołem kolan. Wyszepiała- nieznanne mi rytualne zaklęcie Lataczy. Jej kruche skrzydła zadrżały, nabrały życia, rozpostarły się; powiewały niczym płaszcz w podmuchach wiatru. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak coś tak delikatnego potrafi unieść z powierzchni ziemi człowieka, choćby ludzką drobinę jak moja Avluela. To nie były skrzydła jastrzębia, lecz motyla, żyłkowane, przezroczyste, tu i ówdzie ozdobione barwnymi plamami: hebanowoczarnymi, turkusowymi, szkarłatnymi. Bardzo wytrzymałe więzadła mocowały je do płaskich mięśni pod ostrymi łopatkami. Avlueli brakowało jednak silnego mostka stworzeń latających, a także pasów mięśni prążkowanych, bez których lot wydaje się niemożliwy. Och, wiedziałem, że Latacze nie zawdzięczają opanowania swej sztuki wyłącznie mięśniom, że tę niezwykłą zdolność uzyskują dzięki praktykom wręcz mistycznym. Niech i tak będzie. Ja, jeden ze Strażników, sceptycznie patrzyłem na praktyki co bardziej fantastycznych gildii.

Avluela wypowiedziała należne formuły. Wstała, chwyciła wiatr, uniosła się w powietrze na kilkadziesiąt centymetrów. Znieruchomiała zawieszona pomiędzy niebem a ziemią, tylko jej skrzydła poruszały się szybko. Noc jeszcze nie nadeszła, a skrzydła Avlueli były skrzydłami nocy. Za dnia nie mogła latać, za dnia straszne ciśnienie wiatru słonecznego rzuciłoby ją w dół. I ta pora, zawieszona między zmrokiem i ciemnością, nie była najlepszą do lotów. Widziałem, jak resztką światła znosi ją na wschód, jak dziewczyna porusza gwałtownie nie

tylko skrzydłami, lecz i ramionami. Widziałem jej ściągniętą wysiłkiem twarzyczkę. Widziałem wargi, poruszające się, wypowiadające słowa zaklęć. Wygięła się nagle i wyprostowała, głowa w jedną stronę, pupa w drugą. Zawisła poziomo, twarzą w dół. Skrzydła walczyły z opierającym się im powietrzem.

Leć, Avluelo! Leć!

Avluela poleciała, jakby samą siłą woli zdolna była pokonać moc nadal tłące się światła.

Z wielką przyjemnością przyglądałem się nagiemu ciału na tle ciemnego nieba. Mogłem obserwować je bez problemu, bo my, Strażnicy, mamy bystre oczy. Uniosła się na wysokość swego pięciokrotnego wzrostu, a jej w pełni rozłożone skrzydła zasłaniały mi częściowo widok na Roum. Pomachała do mnie. Posłałem jej pocałunek, wypowiedziałem słowa miłości. Strażnicy nie żenią się, nie mają też potomstwa, lecz Avluela była dla mnie jak córka. Czułem dumę z jej lotu. Spotkaliśmy się w Agupcie, wędrowaliśmy razem od roku, a mnie już wydawało się, że znam ją całe długie życie. Od niej brałem siłę w chwilach słabości. Nie wiem, co ona brała ode mnie: bezpieczeństwo, wiedzę, poczucie ciągłości z czasami sprzed jej narodzin? Miałem tylko nadzieję, że kocha mnie tak, jak ja kocham ją.

Wzleciała wysoko. Wzbijała się, krążyła, nurkowała, wirowała, tańczyła. Długie czarne włosy miękko spływały jej z głowy. Ciało wydawało się zaledwie przypadkowym dodatkiem do pary ogromnych skrzydeł – lśniących, pulsujących, rozświetlających noc. Uniosła się jeszcze wyżej, manifestując radosną wolność od grawitacji, pozostawiając w dole mnie, istotę ciężką i niezdarną. Nagle, jak smukła rakietka, pomknęła w kierunku Roumu. Widziałem jej stopy oraz czubki skrzydeł. A potem nie widziałem już nic.

Westchnąłem. Włożyłem dłonie pod pachy, by choć trochę je ogrzać. Jak to możliwe, że tak dotkliwie odczuwałem chłód

zimy, a dziewczynka, Avluela, wznosiła się do nieba radosna i naga?

Nadeszła dwunasta z dwudziestu godzin. Czas, bym wypełnił nałożony na mnie obowiązek Straży. Podeszedłem do wózka, otworzyłem skrzynki, przygotowałem instrumenty. Niektóre tarcze pożółkły i wyblakły, z igieł wskaźników spęła fosforyzująca farba, obudowy szpeciły plamy morskiej wody, pamiątka z czasów, gdy na Ziemskim Oceanie zaatakowali mnie piraci. Rozpocząłem przygotowania, wytarte, popękane przyciski i dźwignie łatwo poddawały się dotykowi mych dłoni. Najpierw modlisz się o czysty, wnikliwy umysł, potem nawiązujesz łączność z instrumentami, a dopiero potem rozpoczynasz Straż, badasz gwiazdziste niebo w poszukiwaniu wrogów ludzkości. Takie miałem umiejętności i tym się zajmowałem. Chwyciłem rączki, położyłem palce na przyciskach. Opróżniłem umysł, byłem gotów złączyć się w jedno z zespołem moich aparatów.

Zaledwie zdążyłem przekroczyć próg świadomości, dopiero wchodziłem w pierwszą fazę Straży, kiedy za moimi plecami rozległ się głęboki, dźwięczny głos.

– Jak leci, Strażniku?

Oparłem się ciężko o wózek. Tak nagle, niespodziewane oderwanie od pracy wywołuje wręcz fizyczny ból. Przez chwilę czułem szpony zaciskające się na moim sercu. Twarz mi płonęła, nie mogłem skupić wzroku, gardło miałem suche. Najszybciej jak to możliwe przedsięwziąłem środki zapobiegawcze, złagodziłem szok metaboliczny, oderwałem się od instrumentów. Ukrywając drzenie, odwróciłem się powoli.

Za mną stał beztroski Gormon, ostatni członek naszej małej grupki. Uśmiechał się, jakby moje cierpienie go rozweselało, a ja nie mogłem się na niego gniewać. Nie okazuje się gniewu komuś, kto nie należy do żadnej gildii, niezależnie od rozmiaru prowokacji.

Niechętnie, z wysiłkiem, spytałem go, czy dobrze wykorzystał czas.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Gdzie Avluela?

Podniosłem palec do nieba. Gormon skinął głową.

– Czego się dowiedziałeś? – spytałem.

– Że przed sobą mamy Roum, z całą pewnością.

– W to przecież nie wątpiliśmy.

– Ja wątpiłem. Ale teraz mam dowód.

– Tak?

– W nadkieszeni. Patrz.

Wyciągnął torbę spod tuniki. Postawił ją obok mnie, na chodniku, i rozciągnął tak, by móc włożyć do środka obie dłonie. Postępując cicho, wyjął z niej z wysiłkiem coś ciężkiego, biały kamień, tak, zobaczyłem długą białą kolumnę, kanelowaną, zniszczoną przez czas.

– Ze świątyni imperialnego Roumu – oznajmił z dumą.

– Nie powinieneś jej zabierać.

– Zaczekaj! – krzyknął. Znów sięgnął do nadkieszeni. Tym razem wyciągnął garść metalowych krążków. Rzucił mi je pod stopy.

– Monety! Pieniądze! Spójrz na nie, Strażniku. Spójrz w twarz cesarzom!

– Komu?

– Starożytnym władcom. Nie znasz historii wcześniejszych cykli?

Przyglądałem się mu z zainteresowaniem.

– Twierdzisz, że jesteś partaczem, Gormonie. Czy to możliwe, byś był Pamiętającym i ukrywał przede mną ten fakt?

– Spójrz mi w twarz, Strażniku. Czy mogę należeć do gildii? Czy któraś z nich przyjęłaby Odmieńca?

– To prawda – przyznałem.

Złotawe ciało, gruba, jakby nawoskowana skóra, czerwone źrenice, twarde ząbkowane wargi. Gormona wyhodowano na

środkach teratogennych. Był potworem, na swój sposób przystojnym, a jednak potworem. Nie stosowały się do niego prawa i zwyczaje ludzkości, tak jak praktykuje się je w Trzecim Cyklu cywilizacji. Gildia Odmieńców nie istnieje.

– Jest tego więcej – oznajmił.

Nadkieszeń ma pojemność nieskończoną. Jeśli znajdzie taka potrzeba, w jej szary elastyczny otwór można włożyć cały świat, a jednak nie będzie dłuższa od ramienia mężczyzny. Gormon zaczął z niej wyciągać części jakichś maszyn, szpule do czytania, zobaczyłem kanciasty odłamek brązowego metalu, być może jakieś antyczne narzędzie, trzy prostokąty błyszczącego szkła, pięć kartek papieru – papieru! – i mnóstwo innych relikwii, pamiątek z przeszłości.

– Widzisz, Strażniku – cieszył się. – Warto było nadłożyć drogi. Bo to nie są jakieś przypadkowe trofea. Wszystko zapisano, wszystko oznaczono: warstwa, przypuszczalny wiek, pozycja in situ. Mamy tu wiele tysięcy lat miasta Roum.

– Uznałeś, że wolno ci zbierać cenne przedmioty? – spytałem z powątpiewaniem.

– Dlaczego nie? Komu będzie ich brakowało? Kto w tym cyklu interesuje się przeszłością?

– Pamiętający.

– Autentyczne przedmioty nie są im potrzebne do pracy.

– A tobie do czego są potrzebne?

– Interesują mnie, Strażniku. Jestem partaczem ale czy oznacza to, że nie wolno mi interesować się nauką? Czy potworowi nie wolno poszukiwać wiedzy?

– Wolno, oczywiście, że wolno. Poszukuj sobie, czego chcesz, wypełniaj życie, jak chcesz. Przed nami Roum. Wejdziemy do miasta o świcie. Mam nadzieję na znalezienie tam pracy.

– Z tym możesz mieć trudności.

– Jak to?

– W Roumie jest niewątpliwie wielu Strażników. Może się okazać, że na twoje umiejętności nie ma wielkiego popytu.

– Poszukam protekcji księcia Roumu – powiedziałem.

– Księzę Roumu jest człowiekiem twardym, zimnym i okrutnym.

– Dużo o nim wiesz?

Gormon wzruszył ramionami.

– Coś wiem. – Zaczął pakować swe zbiory do nadkieszeni. – Ale spróbuj, Strażniku, spróbuj. Co masz do stracenia?

– Istotnie. Nic.

Gormon roześmiał się. Ja się nie śmiałem.

Gdy on bawił się świadectwami przeszłości, ja wpadałem w coraz głębszą depresję wywołaną jego słowami. Taki był pewny siebie w naszym chwiejnym świecie, choć nawet nie należał do gildii, ten zmutowany potwór, człowiek od pierwszego rzutu oka nieludzki, taki opanowany, taki swobodny. Żył, nie poświęcając uwagi nieszczęściom, kpił z przyznających się do strachu.

Gormon wędrował z nami od dziewięciu dni. Spotkaliśmy się w starożytnym nadmorskim mieście na południu, u stóp wulkanu. Nie proponowałem mu, żeby do nas dołączył, sam się wprosił, a że wstawiła się za nim Avulela, nie mogłem protestować. Drogi o tej porze roku są zimne i ciemne, nie brak przy nich groźnych zwierząt i starszy człowiek, wędrujący z młodą dziewczyną, może tylko cieszyć się z towarzystwa kogoś odpowiednio silnego. A jednak były chwile, kiedy żałowałem, że jest z nami. Na przykład ta chwila.

Wolnym krokiem podszedłem do moich urządzeń. Gormon odprowadził mnie wzrokiem.

– Czyżbym przerwał ci Straż? – spytał.

– Przerwałeś – przytaknałem, nie podnosząc głosu.

– Przepraszam. Idź, zacznij od nowa. Zostawię cię w spokoju.

Uśmiechnął się do mnie swym charakterystycznym krzywym, lecz olśniewającym uśmiechem, tak pełnym wdzięku, że w jednej chwili usunął żądło mimowolnej arogancji z wypowiedzianych słów.

Przesunąłem dźwignie, wcisnąłem przyciski, wbiłem wzrok we wskaźniki, lecz nie osiągnąłem stanu Strażowania. Nie potrafiłem uwolnić się od ciężaru bliskości Gormona i obawy, że znów, mimo obietnic, boleśnie zakłóci mi koncentrację. W końcu odwróciłem się na pięcie. Gormon stał po przeciwnej stronie drogi. Zadarł głowę, wypatrywał Avlueli. Popatrzył na mnie, nim skończyłem się obracać.

- Coś nie tak, Strażniku?
- Nie. Chwila nie sprzyja mej pracy. Zaczekam.
- Powiedz mi... jeśli wrogowie Ziemi zechcą przybyć do nas z gwiazd, czy twoje maszyny ci o tym powiedzą?
- Ufam, że tak.
- A potem?
- Poinformuję Obrońców.
- I tak dokonasz dzieła życia?
- Być może – przyznałem.
- Ale dlaczego jest was cała gildia? Dlaczego nie istnieje jakieś centrum, z którego Strażnicy penetrują niebo? Po co komu banda włóczęgów wędrujących z miejsca na miejsce?
- Im więcej jest punktów, z których prowadzimy obserwacje, tym większa szansa wczesnego wykrycia inwazji.
- A więc Strażnik może włączyć maszyny i nie zobaczyć niczego, choć napastnik już tu jest?
- Możliwe. I dlatego практикуjemy nadmiarowość.
- Czasami mam wrażenie – Gormon roześmiał się – że mocno z nią przesadzacie. Wierzysz w inwazję? Naprawdę?
- Wierzę – odparłem urażony do żywego. – Bez tej wiary moje życie nie miałoby sensu.

– Czego ludzie z gwiazd mogliby chcieć od Ziemi? Co my tu właściwie mamy, poza resztkami dawno upadłych imperiów? Na co byłby im żalony Roum? Perris? Jorslema? Miasta w ruinie, pod władzą skretyniałych książąt. Odwagi, Strażniku! Przyznaj, że inwazja jest mitem, a ty cztery razy dziennie wykonujesz czynności pozbawione sensu.

– Moim zawodem i moją nauką jest Strażowanie. Twoją jest wykpiwanie. Niech każdy z nas robi to, w czym się wyspecjalizował, Gormonie.

– Wybacz mi – powiedział Odmieniec z udaną pokorą. – Idź. Strażuj.

– Taki mam zamiar.

Gniewny powróciłem do swoich instrumentów. Postanowiłem, że zignoruję każdą zaczepkę, choćby najbrutalniejszą. Na niebie pojawiły się gwiazdy, patrzyłem na ich płonące konstelacje, mój mózg automatycznie rejestrował wielość światów. Strażujemy, pomyślałem. Czuwamy, a kto chce kpić, niech kpi.

Otworzyłem się na Straż.

Zacisnąłem dłonie na uchwytych, poczułem przepływającą przeze mnie moc. Wysłałem umysł w niebo, szukałem nim wrogich istot. Cóż za ekstaza! Cóż za nieprawdopodobna wspaniałość! Ja, który nigdy nie opuściłem naszej małej planetki, wędrowałem teraz przez czarną pustkę, do gwiazdy – do płonącej gwiazdy – wśród planet kręcących się jak bączki, a kiedy tak wędrowałem, napotykałem wpatrzone we mnie twarze, niektóre bezokie, inne z wieloma oczami; bogactwo mnóstwa galaktycznych ras jakby na wyciągnięcie ręki.

Szukałem możliwych skupisk nieprzyjaznych sił. Szukałem placów musztry, szukałem obozów wojskowych. Szukałem, jak kilka razy dziennie od lat, przepowiedzianych nam wrogów, zapowiedzianych najeźdźców, mających u kresu dni przejąć nasz zniszczony świat.

Niczego nie znalazłem. Wyszedłem z transu spocony, wyczerpany. I zobaczyłem lądującą Avluelę.

Opadła delikatnie jak piórko. Gormon zawołał ją, podbiegła do niego, naga, z podskakującymi małymi piersiami, skoczyła, taka drobna, w jego potężne ramiona. Przytulił ją, nie jak mężczyzna kobietę, lecz radośnie, jak przyjaciela. Ona też go uścisnęła, a potem spojrzała na mnie.

– Roum – wydyszała. – Roum!

– Widziałaś Roum?

– Widziałam wszystko! Tysiące ludzi! Światła! Bulwary! Bazar! Ruiny sprzed wielu cykli! Och, Strażniku, Roum jest taki wspaniały!

– A więc cieszysz się ze swojego lotu, prawda?

– To był cud!

– Jutro wejdziemy do miasta i zamieszkamy w nim – powiedziałem.

– Nie, Strażniku. Dzisiaj! Dzisiaj! – Avluela cieszyła się jak dziecko, buzię miała zaróżowioną z podniecenia. – Przecież to tylko kilka kroków. Popatrz! To tam!

– Powinniśmy odpocząć – zaprotestowałem. – Nie chcemy przecież pojawić się w Roumie zmęczeni.

– Odpoczniemy w mieście – upierała się dziewczyna. – Zgódź się! Spakuj! Odbyłeś Straż, prawda?

– Tak, odbyłem.

– No to jedźmy! Do Roumu. Do Roumu!

Spojrzałem błagalnie na Gormona. Zapadła noc. Powinniśmy rozbić obóz, zaznać kilku godzin snu. I tym razem Gormon opowiedział się po mojej stronie.

– Strażnik ma rację – powiedział do Avlueli. – Powinniśmy odpocząć. Wejdziemy do Roumu o świcie.

Dziewczyna nadąsała się, bardziej niż kiedykolwiek wyglądała na dziecko. Jej skrzydła opadły, wąskie plecy się zgarbiły. Niechętnie zwinęła skrzydła, aż stały się nie

większymi od pięści garbami. Zebrała swe porozrzucane przy drodze rzeczy. Ubrała się, a my w tym czasie zakładaliśmy obozowisko. Rozdałem im jedzenie w pastylkach, po czym rozeszliśmy się do naszych indywidualnych pojemników. Zapadłem w płytki sen. Śniła mi się Avluela, jak namalowana na tle rozpadającego się Księżyca, i latający z nią Gormon.

Wstałem dwie godziny przed świtem. Odprawiłem pierwszą Straż nowego dnia, podczas gdy moi towarzysze spali, a potem obudziłem ich i ruszyliśmy razem do baśniowego cesarskiego miasta, imperialnego Roumu.

Poranne światło było jasne, surowe, jakbyśmy znaleźli się na jakimś młodym świecie, niedawno stworzonym. Droga świeciła pustką, w dzisiejszych czasach ludzie nie podróżują, chyba że, jak ja, są wędrowcami z natury i z zawodu. Od czasu do czasu ustępowaliśmy miejsca rydwanom członków gildii Panów, ciągniętym przez tuzin bezpłciowców o nieruchomych twarzach, zaprzęganych do nich rzędami. W ciągu dwóch pierwszych godzin dnia minęły nas cztery takie pojazdy, każdy szczelnie zamknięty, by uchronić dumne oblicza przed wzrokiem zwykłych ludzi, takich jak ja, a także kilka wyładowanych towarem wozów rolników. Górą przefruwały latacze. Poza tym drogę mieliśmy dla siebie.

Poza granicami miasta w oczy rzucały się przede wszystkim szczątki dowodów jego starożytności: pojedyncze kolumny, ruiny akweduktu transportującego nic znikąd donikąd, portale nieistniejących świątyń. Tak wyglądał najstarszy Roum, zrosnięty z Roumem kolejnych cykli: chatami wieśniaków, kopułami magazynów energii, konstrukcjami wież mieszkalnych. Od czasu do czasu, nieczęsto, napotykaliliśmy wypalone szkielety starych samolotów. Gormon niestrudzenie badał okolicę, nic nie uchodziło jego uwagi. Od czasu do czasu zbierał jakieś próbki. Aluvela rozglądała się dookoła w milczeniu szeroko otwartymi oczami.

Szliśmy tak, póki drogi nie zagroziły nam miejskie mury. Mury z idealnie spojonego niebieskiego lśniącego kamienia wznosiły się na osiem wysokości człowieka. Nasza droga

prowadziła do ostrołukowej otwartej bramy. Byliśmy już całkiem blisko, kiedy naprzeciw nas wyszedł niezwykle wysoki, zamaskowany mężczyzna z głową okrytą kapturem, w surowym stroju gildii Pielgrzymów. Do Pielgrzymów nie podchodzi się tak po prostu, lecz, kiedy cię przyzywają, jesteś im posłuszny. A on przywołał nas gestem.

– Skąd? – spytał przez osłaniającą usta siatkę.

– Z południa – odparłem. – Przez pewien czas mieszkałem w Agupcie, a potem przez Most Lądowy przeszedłem do Talyi.

– Dokąd?

– Do Roumu. Na jakiś czas.

– Jak Straż?

– Jak zwykle.

– Masz gdzie zatrzymać się w Roumie? – spytał Pielgrzym.

Pokręciłem głową.

– Powierzamy się łasce Woli – powiedziałem.

– Wola nie zawsze jest łaskawa – stwierdził Pielgrzym dość obojętnie – a w Roumie nie brakuje Strażników. Dlaczego podróżujesz z Lataczką?

– Dla towarzystwa. Poza tym jest młoda. Potrzebuje opieki.

– A ten drugi?

– Odmieniec. Partacz.

– To widzę. Co robi w twoim towarzystwie?

– Jest silny, a ja jestem stary, więc podróżujemy razem.

A ciebie dokąd droga prowadzi, Pielgrzymie?

– Do Jorslemy. Czy dla Pielgrzymów jest inna?

Musiałem przyznać mu rację. Wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego nie miałbyś pójść tam ze mną?

– Moja droga prowadzi dziś na północ. Jorslema leży na południu, blisko Aguptu.

– Byłeś w Agupcie, a nie byłeś tam? – Przekraczało to zdolności pojmwania Pielgrzyma.

– Tak. Nie nadszedł jeszcze mój czas.

– Może właśnie nadszedł? Ruszajmy w drogę, Strażniku. Razem. Będziemy rozmawiać o dawnych czasach i czasach, które nadejdą, ja będę asystował ci w Straży, ty będziesz asystował mi w komunii z Wolą.

Kuszące. Oczami wyobraźni zobaczyłem Jorslemę Złotą, jej święte gmachy, jej świątynie. Jej miejsca odnowy, gdzie stare staje się młodym. Jej strzeliste wieże, jej bóżnice. Należę do ludzi nieskłonnych do zmiany planów, a jednak kusiło mnie, przez chwilę, by dać sobie spokój z Roumem i w towarzystwie Pielgrzyma ruszyć do Jorslemy.

– A moi towarzysze...

– Zostaw ich. Obowiązuje mnie zakaz podróżowania z partaczami. I nie życzę sobie wędrować z kobietą. Ty i ja, Strażniku. Pójdziemy do Jorslemy razem.

Aluvela stała z boku, w pewnym oddaleniu. Marszczyła czoło. W tym momencie spojrzała na mnie, nie kryjąc przerażenia.

– Nie porzucę ich – powiedziałem.

– Zatem pójdę do Jorslemy sam – zdecydował Pielgrzym. Spod płaszcza wyłoniła się koścista dłoń o długich, bladych, nieruchomych palcach. Z szacunkiem dotknąłem ich czubków moimi palcami. – Niech Wola będzie dla ciebie miłosierna, przyjacielu Strażniku. Kiedy dotrzesz do Jorslemy, pytaj o mnie.

Odszedł, nie odzywając się więcej.

– Miałeś ochotę pójść z nim, prawda? – spytał Gormon.

– Owszem, rozważałem tę możliwość – przyznałem.

– Co byś znalazł w Jorslemie, czego nie znajdziesz tutaj? Tamto miasto jest święte i to też, a tu przynajmniej możesz odpocząć. Nie powinieneś ruszać w dłuższe wędrówki. Jeszcze nie.

– Zapewne masz rację – przyznałem. Goniąc resztkami sił, powoli, podszedłem do bramy miasta.

Przez szczeliny w murze przyglądały się nam czujne oczy. Byliśmy mniej więcej w połowie wejścia, pod łukiem bramy, gdy

przed nami pojawił się gruby Wartownik o dziobatej twarzy i obwisłych policzkach. Spytał, czego szukamy w Roumie, a kiedy powiedziałem mu, kim jestem i po co przybyłem, prychnął z obrzydzeniem.

– Idź gdzie indziej, Strażniku. Nie potrzebujemy bezużytecznych ludzi.

– Strażnicy są użyteczni, na swój sposób – powiedziałem spokojnie.

– Bez wątpienia, bez wątpienia. – Zainteresowała go Avluela.
– A to co? Was obowiązuje celibat, nie?

– Dziewczyna towarzyszy mi w podróży, nic więcej.

Wartownik roześmiał się ochryple.

– Założę się, że często podróżujesz tą drogą. Chociaż... to takie nic! Ile ma lat? Trzynaście? Czternaście? Podejdz do mnie, dziecko. Muszę sprawdzić, czy nie przemycasz kontrabandy.

Przesunął dłońmi po ciele Avlueli. Pomacał jej piersi, skrzywił się, a zaraz potem uniósł brew. Dotknął wżgórków skrzydeł pod łopatkami.

– A to co? A to co? Więcej z tyłu niż z przodu? Lataczka z ciebie, co? Brzydko, bardzo brzydko. Lataczka w związku z obrzydliwym starym Strażnikiem.

Położył dłoń na jej ciele w taki sposób, że Gormon omal się na niego nie rzucił, a w jego obrysowanych ogniem oczach płonęła żądza mordy. Chwyciłem go w porę, przytrzymałem, z całej siły zacisnąłem palce na jego nadgarstku. Bałem się, że zaatakuje Wartownika, sprowadzając w ten sposób nieszczęście na całą naszą trójkę. Szarpnął się, omal mnie nie przewrócił, lecz zaraz odzyskał panowanie nad sobą i bardzo spokojnie patrzył, jak grubas kończy rewidować dziewczynę w poszukiwaniu „kontrabandy”.

Wartownik poświęcił wreszcie swą uwagę i jemu.

– A ty co za stwór? – spytał.

– Jestem partaczem, wasza łaskawość – odparł Gormon piskliwie. – Jestem pokornym, bezwartościowym tworem teratogenezy, lecz mimo to wolnym człowiekiem pragnącym wejść do Roumu.

– Nie potrzebujemy tu potworów.

– Jem mało, pracuję ciężko.

– Pracowałbyś jeszcze ciężiej, gdyby cię odpłciowiono.

Oczy Gormona błysnęły.

– Czy możemy wejść do miasta? – spytałem szybko.

– Czekaście.

Wartownik założył czapkę myśłówkę. Zmrużył oczy. Przekazywał informacje do zbiorników pamięci. Jego skrzywiona z wysiłku twarz znieruchomiała, by rozluźnić się już po chwili, a zaraz potem otrzymał odpowiedź. Nie słyszeliśmy tej wymiany, rzecz jasna, ale wyglądał na tak bardzo rozczarowanego, że nie mieliśmy wątpliwości: nie było powodu, by odmówić nam prawa wejścia do Roumu.

– Przechodźcie. Cała trójka. Ale już!

Przeszliśmy przez bramę.

– Rozwaliłbym mu łeb na pół jednym uderzeniem – powiedział Gormon.

– I przed nadejściem nocy byłbyś bezpłciowcem. Odrobina cierpliwości otworzyła nam bramę do Roumu.

– Potraktował ją jak...

– Twój stosunek do Avlueli wydaje mi się dziwnie osobisty. Pamiętaj, że jest Lataczką. Nie wolno jej obcować z partaczami.

Gormon zignorował zaczepkę.

– Nie podnieca mnie bardziej niż ty, Strażniku. Ale widząc, jak jest traktowana, czuję ból. Gdybyś mnie nie powstrzymał, zabiłbym tego człowieka.

– Jesteśmy w Roumie – odezwała się Avluela. – Gdzie się zatrzymamy?

– Najpierw znajdę siedzibę mojej gildii – powiedziałem. – I zarejestruję się w gospodzie Strażników. A potem może znajdziemy schronienie Lataczy i tam coś zjemy.

– A potem – stwierdził Gormon sucho – pozebrzemy o miedziaki przy Ścieku Partaczy.

– Lituję się nad tobą, bo jesteś Odmieńcem – powiedziałem – ale uważam za hańbiące litowanie się nad samym sobą.

Szliśmy brukowaną, krętą uliczką, coraz dalej od bramy, coraz bliżej centrum miasta. W tej chwili znajdowaliśmy się w jego zewnętrznym kręgu, części rezydencyjnej przysadzistych domów z dachami zabudowanymi masywnymi instalacjami obronnymi. Należały do niej także lśniące wieże, które oglądaliśmy wczoraj wieczorem, z drugiej strony murów, pozostałości starożytnego Roumu, pielęgnowane przez dziesięć tysięcy lat, może nawet więcej, a także bazar, strefa fabryczna, węzeł komunikacyjny, świątynie Woli, zbiorniki pamięci, schronienia śpiących, burdele zaświatowców, gmachy rządowe oraz siedziby różnych gildii.

Na rogu, za budynkiem z Drugiego Cyklu ze ścianami o fakturze gumy, znalazłem publiczną czapkę myślową. Założyłem ją na czoło. W jednej chwili moje myśli pomknęły przewodami do interfejsu dającego im dostęp do jednego z mózgow magazynowych zbiornika pamięci. Przebiłem interfejs. Zobaczyłem sam pomarszczony mózg, jasnoszary, w ciemnozielonym pojemniku. Pamiętający powiedział mi kiedyś, że w poprzednich cyklach ludzie budowali maszyny, żeby za nich myślały, choć były one niesamowicie kosztowne, wymagały wiele miejsca i nigdy nie było im dość mocy. Nasi dziadowie popełniali straszniejsze błędy, ale po co budować sztuczne mózgi, kiedy każdego dnia śmierć wyzwala setki i tysiące pełnowartościowych narządów naturalnych, gotowych do podłączenia zbiorników pamięci. Czyżby brakowało im

umiejętności umożliwiających takie ich użycie? Trudno było mi w to uwierzyć.

Przedstawiłem mózgowi identyfikator gildii. Zażądałem podania lokalizacji naszej gospody. Dostałem ją natychmiast. Ruszyliśmy we wskazanym kierunku, ja pośrodku, jak zawsze pchając wózek z instrumentami, a Gormon i Avluela po moich obu stronach.

Roum okazał się miastem tłocznym. Nie widziałem takich tłumów w sennym, duszącym się w upale Agupcie, ani nigdzie indziej po drodze na północ. Na ulicach pełno było tajemniczych, zamaskowanych Pielgrzymów. Pomędzy Pielgrzymami przepychali się zawsze zajęci Pamiętający, ponurzy Handlarze, tu i tam pojawiała się i znikła lektyka Panów. Avluela dostrzegła kilku Lataczy, lecz zasady obowiązujące w jej gildii zabraniały powitań przed przejściem rytualnego oczyszczenia. Z przykrością przyznaję, że ci liczni Strażnicy, których mijaliśmy po drodze, odprowadzali mnie tylko pogardliwymi spojrzeniami; żaden nie podszedł, by się przywitać. Dostrzegłem również bardzo wielu Obrońców. Nie brakowało przedstawicieli pomniejszych gildii: Sprzedawców, Sług, Wytwórców, Skrybów, Komunikantów i Transportowców, oraz, oczywiście, hord bezpłciowców, milczących, zajętych swymi przyziemnymi obowiązkami. Po ulicach kręcili się liczni zaświatowcy wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów, w większości zapewne turyści, ale też przybyli w interesach, bo nawet z pognębionymi nędzą Ziemianami robi się przecież jakieś interesy, oraz Odmieńcy, starający się nie rzucać w oczy; żaden z nich nie zachowywał się tak dumnie jak idący obok mnie Gormon. Był on wyjątkiem pośród przedstawicieli swego gatunku, nakrapianych, pomazanych, niesymetrycznych, posiadających za dużo lub za mało członków, zdeformowanych na tysiące pomysłowych, wręcz artystycznych sposobów. Odmieńcy to tchórze, Odmieńcy nigdy nie spojrzą wprost na

ciebie, Odmieńcy będą kryć się i zaledwie szeptać. Są kieszonkowcami, wysysają mózgi, handlują organami, grają na naszym poczuciu winy, można ich odstraszyć błyskiem w oku, no i nie noszą się dumnie, jakby się im wydawało, że są równi ludziom.

Wskazówki mózgu okazały się dokładne. Po niespełna godzinie dotarliśmy do gospody Strażników. Gormon i Avluela zostali na ulicy, ja wepchnąłem wózek do środka.

W głównej sali siedziało kilkunastu przedstawicieli mej profesji. Powitałem ich zwyczajowym znakiem. Odpowiedzieli mi niedbale. Czy od takich ludzi zależy bezpieczeństwo Ziemi? Od prostaczków, od niedołęgów?

– Gdzie mogę się zarejestrować? – spytałem.

– Nowy? A skąd?

– Po raz ostatni rejestrowałem się w Agupcie.

– Powinieneś tam zostać. Nie potrzebujemy tu nowych Strażników.

– Gdzie mogę się zarejestrować? – powtórzyłem pytanie.

Fircykowaty młodzieniec wskazał ekran w kącie sali. Podeszedłem, odcisnąłem na nim palce, padły pytania. Podałem swe imię, które Strażnik może zdradzić tylko innemu Strażnikowi i wyłącznie w obrębie gospody. Otworzyła się pokrywa. Mężczyzna o opuchniętych powiekach, ze znakiem Strażników na prawym policzku, nie lewym, co oznaczało wysokie stanowisko w gildii, wypowiedział moje imię i dodał:

– Powinieneś wiedzieć, że nie masz czego szukać w Roumie. Przekroczyliśmy przydzieloną nam kwotę.

– Mimo to domagam się mieszkania i zatrudnienia.

– Ktoś z twoim poczuciem humoru powinien wrodzić się w gildię Komediantów, nie Strażników.

– Gdzie tu żart? Nie rozumiem.

– Prawo przyjęte przez nas na ostatniej sesji stanowi, że po osiągnięciu określonej kwoty gospoda nie ma obowiązku

przyjmować nowych mieszkańców. My tę kwotę osiągnęliśmy.
Żegnaj, przyjacielu.

Oślupiałem.

– Nie znam takiego prawa! – zaprotestowałem gorąco. –
Niemożliwe! Żeby gildia nie przyjęła swego członka we własnej
gospodzie... gdy pojawia się bez sił, wprost z drogi, na obolałych
stopach? Mnie, Strażnika w sile wieku, który przeszedł Most
Lądowy, idąc z Aguptu... a w Roumie jest obcy, jest głodny...?

– Dlaczego nie skontaktowałeś się z nami z wyprzedzeniem?

– Nie sądziłem, by to było konieczne.

– Nowe przepisy...

– Niech Wola wyssie nowe przepisy! – krzyknąłem. –
Domagam się mieszkania! Wyrzucasz człowieka
odprawiającego Straż przed twoim urodzeniem...

– Spokojnie, przyjacielu, spokojnie.

– Z pewnością jest jakiś kąt, w którym mógłbym przespać
noc... i jakieś resztki do zjedzenia...

Nie domagałem się już, błagałem, aż malująca się na jego
twarzy obojętność ustąpiła miejsca pogardzie.

– Nie mamy pokoju. Nie mamy jedzenia. Nasza gildia
przeżywa ciężkie chwile, wiesz? Mówi się, że zostanie
rozwiązana, że jest bezsensownym luksusem wyczerpującym
zapasy Woli. W Roumie jest nadmiar Strażników. I tak nie
dojadamy, a gdybyśmy cię przyjęli, jedlibyśmy jeszcze mniej.

– Co więc mam czynić? Dokąd iść?

– Radzę ci – powiedział mój rozmówca głosem bez wyrazu –
byś zdał się na łaskę Księcia Roumu.

Po wyjściu z gospody, kiedy opowiedziałem, co mnie spotkało, Gormon śmiał się tak, że aż zgiął się wpół ze śmiechu, a na jego chude policzki wystąpiły krwistoczerwone pasy.

– Łaska księcia Roumu – powtarzał. – Łaska... księcia... łaska... księcia...

– Jest dobrym zwyczajem, że w nieszczęściu szuka się pomocy lokalnego władcy – powiedziałem chłodno.

– Księżę Roumu nie zna łaski – uświadomił mnie Gormon. – Przyznasz się, że jesteś głodny, to księżę Roumu obetnie ci ręce i nogi i nimi cię nakarmi.

– A może – zaproponowała Avluela – spróbujemy odnaleźć schronienie Lataczy? Dostaniemy tam coś do zjedzenia.

– Gormonowi nie dadzą – zauważyłem. – Musimy być wobec siebie lojalni.

– Możemy mu coś wynieść.

– Wolałbym najpierw udać się na dwór – powiedziałem z naciskiem. – Zorientować się w sytuacji. A potem znajdziemy jakieś mieszkanie. Jeśli będziemy musieli.

Avluela zgodziła się ze mną. Poszliśmy do pałacu księcia, ogromnego budynku otwierającego się na wielki, otoczony kolumnadą plac, stojącego po przeciwnej stronie przedzielonego rzeką miasta. Na placu natychmiast otoczyli nas zebracy wielu rodzajów, niektórzy nie byli nawet Ziemianami. Coś o nitkowatych mackach i pomarszczonej twarzy pozbawionej nosa rzuciło się na mnie, błagając o jałmużnę. Gormon odepchnął stworzenie, ale chwilę później drugie,

równie dziwaczne, o skórze nabitej fluoryzującymi dziurami, z mnóstwem oczu na członkach, ujęło mnie pod kolana, błagając o miłosierdzie w imię Woli.

– Jestem tylko biednym Strażnikiem – powiedziałem. – Sam potrzebuję łaski.

Stworzenie nie ustawało w błaganiach. Wypłakiwało litanie nieszczęść niewyraźnym szmerzącym głosem, aż wreszcie, ku widocznemu wielkiemu niezadowoleniu Gormona, wrzuciłem kilka tabletek żywnościowych do sztywnego, przypominającego szufladę pojemnika na jego piersi.

Przebijając się siłą, gdy było to konieczne, znaleźliśmy się w końcu przy wejściu do pałacu. Przed portykiem czekał nas straszliwszy widok: kaleki Latacz, o pokruszonych i pogiętych delikatnych członkach, z jedynym skrzydłem na pół rozwiniętym, wyraźnie krótszym od normalnego, podbiegł do Avlueli, nazwał ją nie jej imieniem, upadł i zmoczył jej legginsy łzami tak obfitymi, że na zmatowiałym nagle futrze pojawiły się plamy.

– Wprowadź mnie do schronienia – błagał. – Nie chcą mnie, bo jestem kaleką, ale gdybyś ty mnie wprowadziła...

Aluvela próbowała wyjaśniać, że nic nie może zrobić, sama jest tu obca, kaleki Latacz nie puszczał jej jednak, więc w końcu Gormon uniósł go, bardzo ostrożnie, jak worek wyschłych kości, którym nieszczęśnik w istocie był, i odstawił na bok.

Weszliśmy pod portyk. Drogę zastąpiło nam trzech bezpłciowców o nalanych twarzach. Spytałi, co nas sprowadza, po czym, kiedy im to wyjaśniliśmy, dopuścili nas do drugiej linii przegród, strzeżonej przez parę zasuszonych Rejestratorów. Odezwali się do nas jednocześnie, w duecie. Wyjaśniłem im, że prosimy o audiencję u księcia, by zdać się na jego miłosierdzie.

– Audiencja za cztery dni – powiedział Rejestrator stojący po prawej. – Umieścimy twoje zgłoszenie w zwojach.

– Nie mamy gdzie spać! – wybuchła Avluela. – Jesteśmy głodni! My...!

Uciszyłem ją. Gormon tymczasem grzebał w nadkieszeni. W jego ręku coś zabłysło jasno: kawałki złota, wiecznego metalu, z wizerunkami brodatych twarzy o orlich nosach. Znalazł je, grzebiąc w ruinach. Rzucił jedną Rejestratorowi, który nam odmówił. Rejestrator złapał ją zręcznie, przesunął kciukiem po lśniącym awersie i błyskawicznie schował w fałdzie stroju. Jego towarzysz czekał. Gormon z uśmiechem rzucił mu drugą monetę.

– Może w środku zdołalibyśmy dostać się na audiencję specjalną? – zasugerowałem.

– Może – powiedział jeden z nich. – Przechodźcie.

I tak znaleźliśmy się pod dachem, w obszernej nawie, w której każdy dźwięk odbijał się echem. Powiedliśmy wzrokiem wzdłuż środkowego przejścia, prowadzącego do osłoniętej sali tronowej znajdującej się w absydzie. Było tu jeszcze więcej żebraków, licencjonowanych, dysponujących dziedzicznymi koncesjami, a także wielu Pielgrzymów, Komunikantów, Pamiętających, Muzyków, Skrybów i Rejestratorów. Słyszałem pomruk modlitw, czułem ostry zapach kadzideł, a także wibrację podziemnych gongów. Przed wieloma cyklami budynek ten był świątynią którejś ze starych religii, Gormon twierdził, że Christów (co kazało mi podejrzewać, że jest Pamiętającym udającym Odmieńca), i do dziś zachował coś ze swego ówczesnego charakteru, choć teraz służył za siedzibę władzy świeckiej.

Tylko... co teraz? Co mamy uczynić, by stanąć twarzą w twarz z księciem? Po lewej zobaczyłem małą ozdobną kapliczkę i długą kolejkę zamożnie wyglądających Handlarzy i Ziemian wchodzących do środka jeden po drugim. Za kolejką, na uchwycie przesłuchującym, zamontowane były trzy czaszki, wejścia do systemu zbiorników pamięci. Obok nich dostrzegłem

jeszcze barczystego Skrybę. Powiedziałem Gormonowi i Avlueli, by poczekał na mnie w przejściu, i stanąłem w kolejce.

Poruszała się powoli. Dopiero po blisko godzinie podszedłem do uchwytu przesłuchującego. Czaszki gapiły się na mnie ślepyimi oczodołami, zamknięte, zapieczętowane. W ich wnętrzu burzyły się z bulgotem płyny odżywcze, umożliwiające funkcjonowanie martwych, a jednak ciągle aktywnych mózgów, których miliardy miliardów jednostek synaptycznych służyły jako nieporównywalnej doskonałości urządzenia mnemotyczne.

Skrybę najwyraźniej wstrząsnął fakt, że ma do czynienia ze Strażnikiem, lecz nim zdążył rzucić mi wyzwanie, powiedziałem szybko:

– Jestem tu obcy, a przybyłem, by zdać się na łaskę księcia, gdyż wraz z towarzyszami nie mam się gdzie zatrzymać. Moja gildia mnie odrzuciła. Co powinienem zrobić? Jak mogę zyskać posłuchanie?

– Wróć za cztery dni.

– Spałem przy drodze dłużej niż cztery dni. Muszę odpocząć. W mniej surowych warunkach.

– Publiczne gospody...

– Przecież należę do gildii! – zaprotestowałem. – Nie przyjmą mnie w gospodzie publicznej, skoro moja gildia ma w mieście własną, ale w niej nie znajdę schronienia, wprowadzono bowiem nowe prawo... czy rozumiesz, że znalazłem się w sytuacji bez wyjścia?

Skryba miał mnie dość.

– Możesz aplikować o audiencję specjalną – powiedział zmęczonym głosem. – Otrzymasz odmowę, ale aplikować możesz.

– Gdzie?

– Tutaj. Podaj cel audiencji.

Zidentyfikowałem się czaszkom moim tytułem publicznym, wymieniałem imiona i status towarzyszy, wyjaśniłem, w czym rzecz. To, co powiedziałem, zostało wchłonięte i przekazane szeregom mózgów znajdujących się gdzieś w trzewiach miasta.

– Jeśli twoja aplikacja zostanie rozpatrzona pozytywnie – powiedział Skryba, kiedy skończyłem – zostaniesz o tym zawiadomiony.

– A tymczasem co mam ze sobą zrobić?

– Pozostać w pobliżu, jak sądzę.

Zrozumiałem. Mogłem dołączyć do rzeszy nieszczęśników z placu. Ilu z nich zdało się na miłosierdzie Księcia, a po miesiącach, może nawet latach, nadal czekało na wezwanie przed jego oblicze? Spało na kamieniach, żywiło się okruchami i nadzieją głupców?

Nic więcej nie mogłem zrobić. Wróciłem do Gormona i Avlueli, opisałem im, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji, zasugerowałem, żebyśmy teraz poszukali jakiegokolwiek mieszkania. Gormon, partacz, mógł zatrzymać się w każdej z wielu nędznych gospód publicznych, utrzymywanych z myślą o takich klientach jak on, Avluela znajdzie zapewne kątek w schronieniu Lataczy, tylko ja zamieszkać na ulicy, nie po raz pierwszy zresztą. Miałem jednak nadzieję, że nie będziemy musieli się rozdzielić. Myślałem już o nas jak o rodzinie, bardzo to dziwne jak na Strażnika.

Zbliżaliśmy się do wyjścia, kiedy czasomierz poinformował mnie cicho, że nadeszła pora Straży. Przywilejem i celemistnienia mego fachu jest wypełnienie ciężących na nas obowiązków we właściwym czasie niezależnie od miejsca i okoliczności, zatrzymałem się więc, otworzyłem wózek, aktywowałem urządzenia. Gormon i Avluela pozostali przy moim boku. Na twarzach wchodzących i wychodzących z pałacu ludzi widziałem krzywe uśmiešky, a nawet nieukrywaną kpinę. Nie darzono nas poważaniem, bo przecież

Strażowaliśmy od tak dawna, a wróg się nam nie objawił. Obowiązek to jednak obowiązek, nawet jeśli wydaje się komiczny. Co dla jednych jest martwym rytuałem, dla innych stanowi treść życia.

Mozolnie wprowadziłem się w stan Strażowania. Świat odpłynął, zanurzyłem się w niebiosach. Ogarnęła mnie dobrze znana radość. Przeszukiwałem znajome miejsca i te, które nie były mi tak znajome, a wzmocniony umysł szalonymi skokami przenosił się z galaktyki do galaktyki. Czy gdzieś gromadzi się armada? Czy żołnierze ćwiczą przed najazdem na Ziemię? Strażowałem cztery razy na dobę, jak wszyscy członkowie gildii, każdy o nieco innej porze, tak by w każdym momencie na straży stał jakiś wyćwiczony umysł. Nie uważałem mego powołania za głupie.

Wyszedłem z transu. I usłyszałem dźwięczny głos:

– ...dla Księcia Roumu! Zróbcie miejsce dla Księcia Roumu!

Przetarłem oczy. Odetchnąłem głęboko. Otrząsnąłem się z transu. Pozłacany palankin, niesiony przez hordeę bezpłciowców, wyłonił się z głębi pałacu, a teraz zmierzał nawa w moim kierunku. Lektykę flankowało czterech mężczyzn w eleganckich kostiumach, z jaskrawymi maskami Cechmistrzów na twarzach. Przed nią szło trio Odmieńców, niskich, potężnych, z gardłami zmodyfikowanymi tak, by naśladowały worki rezonansowe ropuch. Wydawały one uroczy dźwięk, niczym trąby, coraz głośniejszy w miarę jak pochód zbliżał się do nas. Niezwykłym wydało mi się dopuszczenie odmieńców do książęcego orszaku, nawet tak utalentowanych jak ci.

Mój wózek blokował drogę tej wspaniałej procesji. Śpieszyłem się, żeby zamknąć go i odtoczyć na bok, nim orszak księcia zbliży się niebezpiecznie. Wiek i strach sprawiły, że dłonie mi drżały, nie potrafiłem właściwie zabezpieczyć narzędzi zawodu i gdy tak walczyłem z nimi nerwowo,

Odmieńcy byli coraz bliżej, hałas przez nich czyniony ogłuszał, a w dodatku Gormon, chcąc mi pomóc, rozproszył mą uwagę, musiałem gniewnym szeptem przypomnieć mu, że nikt spoza gildii nie może dotykać ekwipunku Strażnika. Odepchnąłem go, a w następnej chwili bezpłciowcy już byli przy mnie, gotowi odegnąć mnie iskrzącym się biczami.

– W imię Woli – krzyknąłem – jestem Strażnikiem!

Niczym w antyfonie memu krzykowi odpowiedział głęboki, spokojny, wszechogarniający głos:

– Zostawcie go. Jest Strażnikiem.

Obecni w nawie znieruchomieli. Książę Roumu przemówił.

Bezpłciowcy odstąpili, Odmieńcy ucichli, niosący palankin ostrożnie ustawili go na posadzce. Świadkowie wydarzeń cofnęli się, wszyscy, z wyjątkiem Gormona, Avlueli i mnie. W osłonie lektyki, utkanej z iskrzących łańcuszków, pojawiła się szczelina. Dwaj Mistrzowie pośpiesznie wsunęli w nią dłonie, przebili palcami ukrytą pod łańcuszkami barierę soniczną, wspomogli swego władcę. Bariera wyłączyła się z jęklwym buczeniem.

Pojawił się Książę Roumu.

Taki młody! Książę był zaledwie chłopcem o ciemnych, gęstych włosach i gładkiej twarzy. Ten chłopiec urodził się jednak do rządów. Mimo młodości promieniował siłą niespotykaną wśród ludzi. Cienkie wargi miał mocno zaciśnięte, nos orli, agresywny, a jego zimne oczy wydawały się bezdennymi jeziorami. Ubrany był w obsypany klejnotami strój gildii Dominatorów, na jego policzku widniał jednak podwójnie przekreślony krzyż Obrońców, na szyi zaś miał zawiązany ciemny szal Pamiętających. Dominator może wstąpić do każdej gildii, jak mu dyktuje kaprys, byłoby nawet dziwne, gdyby nie został Obrońcą, ale ten książę był także Pamiętającym. To nie jest gildia dla ludzi o gwałtownym temperamencie.

Spojrzał na mnie dość obojętnie.

– Wybrałeś sobie dziwne miejsce na odbycie Straży, starcze – powiedział.

– To godzina wybrała miejsce, panie – usprawiedliwiłem się.

– Przyszło mi tu wypełnić obowiązek, a nie wiedziałem przecież, że masz objawić się nam właśnie teraz.

– Nie znalazłeś wrogów?

– Nie znalazłem, panie.

Chciałem wykorzystać szczęśliwą chwilę, przedstawić księciu, objawionemu nam tak nieoczekiwanie, nasz los, błagać o wsparcie, ale kiedy tak stałem, szukając słów, jego zainteresowanie moją osobą zgasło jak oblana wodą świeca. Odwrócił ode mnie wzrok, a ja nie ośmieliłem się już wymówić ani słowa. Przez długą chwilę przyglądał się Gormonowi, marszcząc brwi i skubiąc brodę, a potem spojrzał na Avluelę i oczy mu zabłyśły, mięśnie szczęki napięły się, nozdrza rozszerzyły.

– Podejdz do mnie, mała Lataczko – powiedział, podkreślając wagę słów skinieniem. – Jesteś przyjaciółką Strażnika?

Przerażona Avluela tylko skinęła głową.

Księżę zacisnął dłoń na jej ramieniu, pociągnął. Dziewczyna poszybowała na palankin. Krzywiąc wargi w uśmiechu tak złym, że wydawał się wręcz parodią okrucieństwa, młody Dominator wciągnął ją za zasłonę. Dwaj Mistrzowie natychmiast reaktywowali barierę soniczną, procesja nie ruszyła jednak z miejsca. Stałem oniemiały obok Gormona, zeszywniałego, nieruchomego jakby wrósł w ziemię. Po chwili odtoczyłem wózek na bok, w miejsce mniej rzucające się w oczy. Długie chwile mijały, jedna po drugiej. Dworacy czekali w milczeniu, dyskretnie odwracając wzrok od palankinu.

W końcu zasłona rozsunała się ponownie. Zobaczyłem Avluelę chwiejącą się, bladą, nieprzytomnie mrugającą oczami. Po twarzy ściekał jej pot. Wydawała się półprzytomna. Omal nie upadła, jeden z bezpłciowców musiał pomóc jej zejść na

posadzkę. Przykryte kurtką skrzydła były na pół rozwinięte, przez co wyglądała na garbatą – dowód, że przeżyła wielki emocjonalny wstrząs. Podeszła do nas niepewnie, ślizgając się, stawiając nierówne kroki. Rzuciła mi jedno krótkie spojrzenie i mocno przytuliła się do potężnej piersi Gormona.

Tragarze dźwignęli lektykę. Księżę Roumu opuścił pałac, a kiedy znikł, Avluela ochrypłym, zająkliwym głosem powiedziała: „Pozwolił nam zatrzymać się w pałacowym schronieniu”.

Zarządca schronienia oczywiście nam nie uwierzył. Gośćmi księcia, dla których przeznaczono budynek stojący z tyłu pałacu, w małym ogrodzie szroników i kwitnących paproci, byli Mistrzowie, czasami Dominatorzy, jacyś ważni Pamiętający, prowadzący istotne badania lub wysokiej rangi Obrońcy studiujący problemy o znaczeniu strategicznym. Latacz w rezydencji, to już było dziwne, Strażnik – niesłychane, a Odmieniec – niewyobrażalne. Sługa, który nas przyjmował w jej progach, słysząc, kim jesteśmy, najpierw roześmiał się w uznaniu naszego dowcipu, potem zirytował, a potem popatrzył na nas z pogardą i oburzeniem.

– Wynoście się – powiedział, kiedy już mógł mówić. – Nędznicy. Śmieci.

– Jesteśmy gośćmi księcia, który nas tu przysłał – powiedziała Avluela bardzo poważnie. – Kim jesteś, by sprzeciwić się jego życzeniu?

– Już was nie ma! Nie będę powtarzał!

Inny, szczerbaty Sługa, wyjął pałkę neuronową. Wymachiwał nią Gormonowi przed nosem, czyniąc ohydne przymówki do jego partaczenia. Gormon najpierw wytrącił mu z rąk pałkę, niczym nie zdradzając, by odczuł przy tym nieprzyjemny wstrząs, a potem kopnął go w brzuch tak mocno, że Sługa upadł, zwinął się w kłębek i zaczął wymiotować. Na odsiecz pośpieszyli mu wybiegający z rezydencji bezpłciowcy. Gormon chwycił następnego sługę i rzucił nim w nacierającą grupę, mieszając jej szyki. Głośne wrzaski i przekleństwa zwróciły

uwagę godnego Skryby. Podszedł do drzwi, grzmiącym głosem nakazał ciszę, po czym zaczął zadawać nam pytania.

– Łatwo to sprawdzić – powiedział, kiedy Avluela skończyła tłumaczyć mu, co zaszło. Spojrzał na Sługę z pogardą. – Wyślij myśl do Rejestratora. Pośpiesz się.

Po chwili nieporozumienie wyjaśniło się i wpuszczono nas wreszcie do środka. Otrzymaliśmy osobne, lecz połączone ze sobą pokoje. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego luksusu i zapewne nigdy nie zobaczę; były wysokie, szerokie, głębokie, wchodziło się do nich przez wysuwne korytarzyki dostrojone do sygnatury ciepłej właściciela, a zatem gwarantujące prywatność. Światło zapalało się na gest. U sufitów zawieszono, a we wgłębieniach w ścianie umieszczono kolce niewolnego światła ze światów Jasnej Gwiazdy, wyuczonych cierpieniem do wykonywania wydawanych w tej formie poleceń. Okna pojawiały się i znikwały zgodnie z wolą mieszkańca, niepotrzebne przysłaniały się wstęgami pseudoświadomej zaziemskiej mgiełki, nie tylko dekoracyjnej samej z siebie, lecz wydającej zmienne aromaty o wzorach zestawianych na życzenie. Każdy pokój wyposażony był we własną czapkę myślową podłączoną do głównych banków pamięci. Specjalne kanały umożliwiały także wezwanie Sług, Skrybów, Rejestratorów czy Muzyków, wedle życzenia. Członek mojej skromnej gildii nie ośmieliłby się oczywiście użyć tego urządzenia do wzywania ludzi stojących wyżej od niego, z obawy przed wzbudzeniem ich gwałtownej niechęci, zresztą ja nie odczuwałem takiej potrzeby.

Nie spytałem Avlueli, co zdarzyło się w lektyce księcia, że nasz los aż tak się odmienił. Potrafiłem to sobie wyobrazić, tak jak z pewnością potrafił to sobie wyobrazić Gormon, którego zaledwie opanowana wściekłość wiele mówiła o głęboko skrywanym uczuciu, jakie żywił do mojej bladej, drobnej Lataczki.

Zagospodarowaliśmy się. Ustawiłem wózek przy oknie, przykryłem pasmami mgiełki i pozostawiłem go w gotowości do zbliżającego się Strażowania. Oczyszciliśmy ciało z brudu, słuchając wmontowanych w ściany bytów, uspokajających mnie swą pieśnią. Posiliłem się. Odwiedziła mnie Avluela, odświeżona, uspokojona. Siedzieliśmy w moim pokoju, rozmawiając o tym, czego doświadczyliśmy.

Gormona nie widzieliśmy już od kilku godzin. Myślałem nawet, że opuścił rezydencję, że uznał jej atmosferę za zbyt dla siebie wyrefinowaną, więc poszukał towarzystwa stworzeń swego rodzaju, partaczy, ale kiedy o zmroku wyszliśmy do otoczonego krużgankami ogrodu i wstąpiliśmy na rampę pozwalającą obserwować gwiazdy rozbłyskujące na niebie nad Roumem, już tam był. Stał w towarzystwie chudego, jakby wygłodzonego mężczyzny z szalem Pamiętającego na ramionach. Rozmawiał z nim cicho. Skinął mi głową na powitanie.

– Strażniku, przedstawiam ci mojego nowego przyjaciela – powiedział.

Wygłodzony człeczyna bawił się szalem.

– Jestem Pamiętającym, mam na imię Basil – przemówił głosem cienkim jak zdjęty z podłoża fresk. – Przybyłem z Perrisa, by zgłębić tajemnice Roumu. Zostanę tu na wiele lat.

– Pamiętający ma do opowiedzenia wiele historii – wtrącił Gormon. – Należy do grupy najważniejszych członków swej gildii. Kiedy się zjawiliście, właśnie opisywał mi techniki umożliwiające odkrycie tajemnic przeszłości. Przekopują się tunelem przez kolejne warstwy pozostałości Trzeciego Cyklu, a następnie rdzeniem próżniowym usuwają cząsteczki ziemi, pokrywające kolejne poziomy starożytności.

– Znaleźliśmy katakumby Imperialnego Roumu – pochwalił się Basil – ruiny z Czasu Oczyszczenia oraz księgi ryte na odłamkach białego metalu, pochodzące z końca Drugiego Cyklu.

Znalezione zabytki pojedą do Perrisa, gdzie zostaną zbadane, skatalogowane i rozszyfrowane, a potem wrócą tutaj. Czy interesuje cię przeszłość, Strażniku?

– Do pewnego stopnia oczywiście, ale ten Odmieniec jest nią dosłownie zafascynowany. Do tego stopnia, że zdarza mi się powątpiewać w jego autentyczność. Rozpoznałbyś zamaskowanego Pamiętającego?

Basil przyjrzał się Gormonowi bardzo dokładnie, zatrzymując wzrok na jego niesamowitej twarzy i na przesadnej muskulaturze sylwetki. Po długiej chwili wydał wyrok:

– Nie jest Pamiętającym. Ale rzeczywiście, bardzo interesuje się przeszłością. I zadał mi kilka istotnych pytań.

– Na przykład?

– Chciał poznać początki gildii. Nazwisko chirurga genetycznego, który jako pierwszy stworzył prawdziwych Lataczy. Zastanawiał się też nad pochodzeniem Odmieńców i nad tym, czy rzeczywiście są przekłęci przez Wolę.

– Znasz odpowiedzi na te pytania?

– Niektóre – powiedział Basil. – Niektóre.

– O pochodzenie gildii?

– Miały nadać strukturę i znaczenie społeczeństwu doświadczonemu przez klęskę. Społeczeństwu zdruzgotanemu. Pod koniec Drugiego Cyklu nie zostało na świecie nic stałego. Ludzie nie znali swej pozycji, nie mieli celu w życiu. Ziemię deptali pyszni zaświatowcy traktujący nas tak, jakbyśmy nic nie znaczyli. Należało koniecznie stworzyć stały układ odniesienia, pozwalający na ocenę, kto ile jest wart i jakie jest jego miejsce. Ta konieczność spowodowała powstanie pierwszych gildii: Dominatorów, Mistrzów, Handlarzy, Ziemiaków, Sprzedawców i Sług. Po nich pojawili się Skrybowie, Muzycy, Komedianci i Przewoźnicy. Następnie konieczność stworzyła Rejestratorów, a po nich jeszcze Strażników i Obrońców. Lata Magii dały nam

Lataczy i Odmieńców. Następnie wyprodukowano partaczy, bezpłciowców, celem...

– Ale przecież Odmieńcy też są partaczami – zaprotestowała Avluela.

Pamiętający spojrzał na nią, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– Kim jesteś, dziecko? – spytał.

– Jestem Avluela z Lataczy. Wędruję z tym Strażnikiem. I z Odmieńcem.

– Jak już mu mówiłem... – Basil wrócił do tematu. Wskazał na Gormona. – W dawnych czasach jego gatunek miał swą gildię. Rozwiązano ją przed tysiącem lat na rozkaz Rady Dominatorów, w odpowiedzi na podjętą przez frakcję nędzników próbę przejęcia kontroli nad świętymi miejscami Jorslemy. Po tej próbie Odmieńcy stali się partaczami i przewyższają rangą tylko bezpłciowców.

– O tym nie wiedziałem – przyznałem.

– Nie jesteś Pamiętającym – powiedział Basil z wyższością. – Naszą pracą jest odkrywanie tajemnic przeszłości.

– To prawda. Oczywiście.

– Ale ile gildii mamy dzisiaj? – spytał Gormon.

– Co najmniej sto, przyjacielu – odpowiedział wymijająco zakłopotany Basil. – Niektóre są małe, inne mają zasięg lokalny. Mnie interesują tylko te oryginalne i ich bezpośrednie sukcesorki, a tym, co zdarzyło się w ciągu kilkuset ostatnich lat, zajmują się inni. Czy chcesz, żebym zwrócił się do nich o dodatkowe informacje.

– Nie ma potrzeby – powiedział Gormon. – Tak tylko pytałem.

– Przeszłość bardzo cię interesuje.

– Więcej, fascynuje. Fascynuje mnie świat wraz z mechanizmami jego funkcjonowania. Czy to grzech?

– W każdym razie jest to dziwne – zauważył Basil. – Partaczy obchodzi na ogół tylko to, co dotyczy ich bezpośrednio, i nic więcej.

Podszedł do nas Sługa. Ugiął kolano przed Avluelą. Patrzył na nią z mieszaniną szacunku, podziwu i pogardy.

– Księżę powrócił – oznajmił. – Pragnie widzieć cię przy swoim boku, w pałacu. Bez zwłoki.

W oczach dziewczyny błysnął strach. Ale odmówić nie mogła.

– Mam pójść z tobą? – spytała.

– Proszę. Musimy cię właściwie ustroić i wyperfumować. Księżę życzy też sobie, byś pojawiła się przed nim z rozpostartymi skrzydłami.

Skinęła głową i odeszła poprzedzana przez Sługę. My zostaliśmy jeszcze chwilę, słuchając Basila opowiadającego o przeszłości Roumu. Ja skupiłem się na jego słowach, Gormon patrzył przed siebie, jakby próbował przebić wzrokiem gęstniejącą ciemność. W końcu schrypnięty Pamiętający pożegnał się z nami i odszedł dostojnie, a chwilę później otwarły się drzwi na rozciągający się poniżej dziedziniec i stanęła w nich Avluela. Zrobiła kilka kroków ale szła jakby należała do gildii Somnambulików, nie Lataczy. W srebrzystym świetle gwiazd jej kruche, nagie pod przezroczystymi szatami ciało, przeświecało przez nie upiorną bladością. Rozpostarte skrzydła poruszały się powoli w rytmie skurczów i rozkurczów mięśni. Wydawało się, że słudzy podtrzymujący ją pod łokcie z obu stron pchają dziewczynę ku pałacowi, jakby była zaledwie senną kopiaj samej siebie, a nie żywą istotą.

– Leć, leć! – warknął Gormon. – Uciekaj póki możesz!

Avluela znikła w pałacu. Odmieniec przeszył mnie spojrzeniem.

– Sprzedała się księciu, żebyśmy mieli gdzie mieszkać – powiedział.

– Na to wygląda.

– Mógłbym rozwalić ten pałac własnymi rękami!

– Kochasz ją?

– To powinno być dla ciebie oczywiste!

– Lepiej wylecz się z tej miłości – poradziłem mu. – Jesteś niezwykłym człowiekiem, ale Lataczka... to nie dla ciebie. Zwłaszcza Lataczka, która dzieliła łożę Księcia Roumu.

– Z moich ramion w jego ramiona.

Oślupiałem.

– Znałeś ją intymnie? – spytałem z niedowierzaniem.

– Więcej niż raz. – Odmieniec uśmiechnął się smutno. – W chwili rozkoszy jej skrzydła drżą niczym liście na wicherze.

Zacisnąłem dłonie na balustradzie rampy. Bałem się, że spadnę na dziedziniec. Gwiazdy wirowały mi nad głową, stary księżyc ze swymi dwiema ślepyimi towarzyszkami skakał i huśtał się jak szalony. Przeżyłem wstrząs, a jednocześnie nie potrafiłem zrozumieć, co aż tak mną wstrząsnęło. Gniewało mnie, że Gormon ośmielił się naruszyć granice zakreślona przez prawo? A może gniew był tylko manifestacją pseudojcowskich uczuć, którymi darzyłem Avluelę? Lub tylko zwykłej zazdrości o Odmieńca, który ośmielił się popełnić grzech, którego ja nie ośmieliłem się popełnić, mimo że bardzo chciałem?

– Za to mogą ci wypalić mózg – powiedziałem. – Mogą przemielić ducha. A ty właśnie uczyniłeś mnie swym współnikiem.

– I co z tego? Księżę rozkazuje, jego rozkazy są wypełniane... ale inni mieli przedtem to, czego zażądał teraz. Musiałem komuś o tym powiedzieć.

– Wystarczy. Nie chcę słyszeć nic więcej.

– Zobaczymy ją kiedyś jeszcze?

– Księżęta szybko nudzą się kobietami. Kilka dni, a może tylko jedna noc i odeśle ją, a potem pewnie każe się nam wyprowadzić. – Westchnąłem. – No, przynajmniej czeka nas kilka nocy w niezasłużonym komforcie. Miejmy nadzieję.

– I co dalej? – spytał Odmieniec.

– Pozostanę w Roumie. Przez jakiś czas.

– Nawet gdybyś musiał spać na ulicy? Zdaje się, że Strażnicy nie są tu szczególnie potrzebni.

– Poradzę sobie – powiedziałem. – A potem pewnie ruszę do Perrisa.

– Uczyć się od Pamiętającego?

– Zobaczyć Perris. A ty? Czego chcesz?

– Chcę Avlueli.

– Przestań!

– Jak sobie życzysz. – Gormon uśmiechnął się gorzko. – Tak czy inaczej, zostanę tu, zaczekam, aż książę z nią skończy. Potem będzie już moja. Przeżyjemy, znajdziemy sposób. Partacze są pomysłowi, nie mają wyboru. Być może znajdziemy sobie mieszkanie w Roumie, na krótki czas, a potem pójdziemy z tobą do Perrisa. Jeśli zechcesz wędrować w towarzystwie potwora i niewiernej Lataczki.

Wzruszyłem ramionami.

– Pomyślimy o tym we właściwym czasie.

– Znałeś wcześniej jakichś Odmieńców? Dopuszczałeś do towarzystwa?

– Nieczęsto. I nie na długo.

– Czuję się zaszczycony. – Zabębnił palcami o balustradę. – Nie pozbawiaj mnie swego towarzystwa, Strażniku. Mam powód, by chcieć pozostać przy tobie.

– Mianowicie jaki?

– Chcę zobaczyć wyraz twojej twarzy w dniu, kiedy maszyny powiedzą ci, że zaczęła się inwazja na Ziemię.

Pochyliłem się, przygarbiłem.

– W takim razie długo będziemy razem.

– Nie wierzysz w inwazję?

– Być może kiedyś nadejdzie. Ale nieprędko.

Gormon zachichotał.

– Mylisz się. Jest tuż-tuż.

– Twoje żarty mnie nie bawią.

– O co chodzi, Strażniku? Utraciłaś wiarę? Przecież wiadomo od tysiąclecia, że obca rasa pożąda Ziemi, na mocy ugody jest jej właścicielką i pewnego dnia przybędzie po swą własność. Tak postanowiono przy końcu Drugiego Cyklu.

– Wiem o tym doskonale, choć nie jestem Pamiętającym. – Odwróciłem się, spojrzałem na Gormona i wypowiedziałem słowa, których nigdy nie zamierzałem wypowiedzieć głośno. – Przez czas równy dwukrotnej długości twego życia, Odmieńcze, słuchałem gwiazd i odprawiałem Straż. Coś, co robi się tak często, traci sens. Wypowiedz swoje imię dziesięć tysięcy razy, a będzie tylko pustym dźwiękiem bez znaczenia. Odprawiam Straż, odprawiam ją dobrze, ale w najczarniejszych godzinach nocy myślę czasami, że Strażuję po nic. Że zmarnowałem życie. Jest przyjemność w tym, co robię, ale może nie ma sensu?

Gormon ścisnął mi dłoń w nadgarstku.

– Twoje wyznanie jest równie wstrząsające jak moje, Strażniku. Miej wiarę. Inwazja się zbliża.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Partacze też mają talenty.

Niepokojąca była ta rozmowa.

– Czy bardzo trudno jest być partaczem? – spytałem.

– Można się z tym pogodzić. No i brak statusu wyrównuje nam swoboda, którą się cieszymy. Mogę rozmawiać z każdym, na każdy temat.

– Zauważyłem.

– Mogę wędrować gdzie mi się podoba. Mam pewność, że zawsze dostanę coś do jedzenia i będę miał gdzie spać, choć jedzenie może być nieświeże, a nocleg nędzny. Przyciągam kobiety, mimo wszelkich zakazów, a może właśnie dzięki zakazom? No i ograniczenia powodują, że nie przeszkadza mi ambicja.

– Nigdy nie chciałeś przekroczyć granic narzuconych ci przez społeczeństwo?

- Nigdy.
- Nie bylibyś szczęśliwszy jako Pamiętający?
- Jestem szczęśliwy. Z Pamiętania czerpię radość bez odpowiedzialności.
- Jakież ty jesteś z siebie zadowolony! – krzyknąłem. – Z partactwa uczyniłeś cnotę!
- A jak inaczej można znieść wyroki Woli? – Gormon przeniósł spojrzenie na pałac. – Pokorni powstają. Moźni upadają. Przyjmij to jako proroctwo, Strażniku: nim nadejdzie lato, to pożądlive książątko pozna takie prawdy o życiu, o jakich istnieniu nie ma jeszcze pojęcia. Własnymi rękami wydrę mu oczy z głowy. Za Avluelę.
- Mocne słowa. Zdrada aż się dziś w tobie gotuje.
- Przyjmij to jako proroctwo.
- Nawet się do niego nie zbliżysz – powiedziałem i, zirytowany sam na siebie, bo przez chwilę traktowałem te nonsensy poważnie, dodałem: – I dlaczego mamy całą winę rzucić na księcia? Robi tylko to, co robią oni wszyscy. Miej pretensję do dziewczyny. Mogła mu odmówić.
- I stracić skrzydła. Lub nawet życie. Nie, ona nie miała wyboru. Ja mam. – Nagłym, strasznym gestem Odmieniec wyciągnął przed siebie dłoń z wyprostowanym kciukiem i palcem wskazującym, oboma wyposażonymi w dwa stawy i długie paznokcie, jakby wbijał je w wyimaginowane oko. – Poczekaj – powiedział. – Zobaczysz.
- Na dziedzińcu pojawili się dwaj Chronomanci. Ustawili przyrząd, narzędzie swej gildii. Zapalili długie, cienkie świece, dzięki którym poznawali kształt jutra. Poczulem mdlący zapach jasnego dymu. Straciłem ochotę na rozmowę z Odmieńcem.
- Robi się późno – powiedziałem. – Muszę odpocząć, a zbliża się czas mej Straży.
- Strażuj uważnie – pożegnał mnie Gormon.

Nocą, w swoim pokoju, odprawiłem czwartą, ostatnią w tym długim dniu Straż, i to w jej trakcie, po raz pierwszy w moim długim życiu, wykryłem anomalie. Nie potrafiłem jej zinterpretować. Przelotne wrażenie, mieszanka smaków i dźwięków, wrażenie kontaktu z niewyobrażalną masą. Przestraszony spędziłem przy instrumentach więcej czasu niż zwykle, ale do końca Straży nie dowiedziałem się już niczego nowego.

A potem spytałem sam siebie, co powinienem zrobić.

Strażnika uczy się od dziecka, że ma wszcząć alarm natychmiast, gdy tylko uzna, że świat jest zagrożony. Czy mam zawiadomić Obrońców? Za mojego życia alarm rozbrzmiewał czterokrotnie, za każdym razem fałszywy. Strażnicy, którzy go wszczęli, utracili status w przerażających okolicznościach. Pierwszy oddał swój mózg do banków pamięci, drugi ze wstydu został bezpłciowcem, trzeci zniszczył instrumenty i zamieszkał między partaczami, a czwartego, który na próżno usiłował kontynuować misję, wyśmiewali wszyscy jego towarzysze. Osobiście nie uważałem za właściwe wykpiwania Strażnika, który wszczął fałszywy alarm, bo czyż nie lepsze jest to od niewszczęcia alarmu? Takie jednak były obyczaje gildii, do których musiałem się dostosować.

Przeanalizowałem sytuację. Uznałem, że nie mam powodu, by niepokoić ludzkość.

Pamiętałem, jak wieczorem Gormon w nader sugestywny sposób przedstawił mi pewne hipotetyczne możliwości. Być

może zareagowałem tylko na jego kpiące zapewnienia o nadchodzącej inwazji.

Nie mogłem działać. Nie śmiałem narażać swej pozycji przez przesadną popędliwość. Obawiałem się, że nie jestem odpowiednio stabilny emocjonalnie.

Nie wszcząłem alarmu.

Rozgorączkowany, niepewny siebie, czując w duszy niepokój, zamknąłem wózek i zapadłem w głęboki sen, jakbym tracił przytomność.

Obudziłem się o świcie. Pośpieszyłem do okna, spodziewając się zobaczyć najeźdźców na ulicach, ale nie, nad dziedzińcem wisiały nisko szare zimowe chmury, a senni Słudzy poganiaли do roboty biernych bezpłciowców. Pierwszą Straż nowego dnia odprawiłem, czując niepokój, ale ku mej wielkiej uldze niepokojące wrażenie z wczorajszego wieczora nie powróciło. Pamiętałem jednak, że pod koniec dnia jestem znacznie wrażliwszy niż u jego początków.

Zjadłem śniadanie. Wyszedłem na dziedziniec. Gormon i Avluela już tam byli. Dziewczyna sprawiała wrażenie zmęczonej i przygnębionej, wyczerpanej po nocy spędzonej z księciem, ja jednak nie wspomniałem o tym ani słowem.

– Miałeś dobrą Straż? – spytał mnie Gormon, przygarbiony, niedbale oparty o mur udekorowany muszlami świecących mięczaków.

– Wystarczająco dobrą.

– Jakież plany na dziś?

– Zamierzam przespacerować się po Roumie. Pójdziemy razem? Avluelo? Gormonie?

– Oczywiście – powiedział Odmieniec.

Dziewczyna niemal niewidocznie skinęła głową. Jak turyści, którymi w istocie byliśmy, wybraliśmy się na zwiedzanie wspaniałego miasta Roum.

Gormon był naszym przewodnikiem po jego pokrętej przeszłości, co zaprzeczało twierdzeniom, jakoby znalazł się tu po raz pierwszy. Wędrowaliśmy krętymi uliczkami, a on objaśniał, co widzimy, jakby był Pamiętającym. Naszym oczom ukazały się wszystkie, potraskane i przemieszane, poziomy tysiącleci historii. Widzieliśmy kopuły mocy z Drugiego Cyklu i Colosseum, gdzie niewyobrażalnie dawno ludzie i zwierzęta walczyli ze sobą jak bestie w dżungli. W wydrążonym szkielecie tej siedziby potworności Gormon opowiedział nam o dzikości właściwej czasom tak odległym, że trudno było uwierzyć w ich istnienie.

– Walczyli – tłumaczył – nadzy przed wielkimi tłumami. Nieuzbrojeni mężczyźni rzucali wyzwanie potworom zwanym lwami, ogromnym kotom o opuchniętych łbach, a kiedy padały, tonąc we krwi, zwycięzcy zwracali się do Księcia Roumu z błaganem o wybaczenie im przestępstw, za które pokarano ich walką na arenie. Jeśli bili się dobrze, księżę czynił gest dłonią obdarzający ich wolnością. – Pokazał nam ten gest: ręka unosząca wyprostowany kciuk aż za prawe ramię. – Ale jeśli ktoś okazał tchórzostwo, albo jeśli lew wyróżnił się dzielną śmiercią, księżę czynił inny gest, skazujący winnego na kolejną walkę. – Ten gest też nam pokazał: w zaciśniętej w pięść dłoni wyprostowany środkowy palec, uniesiony jednym szybkim ruchem całego ramienia.

– Skąd wiadomo, co kiedyś pokazywano i jak? – zdziwiła się Avluela.

Odmieniec udał, że jej nie słyszy.

Obejrzeliśmy szereg fuzjopylonów ustawionych na początku Trzeciego Cyklu, gromadzących energię z jądra ziemi; choć brudne i zardzewiałe, nadal pracowały. Obejrzeliśmy roztrzaskane resztki maszyny pogodowej z Drugiego Cyklu, z której pozostała imponująca kolumna, wysoka co najmniej na dwudziestu mężczyzn. Byliśmy na wzgórzu białych

marmurowych ruin Roumu Pierwszego Cyklu, bladych kęp zimowych kwiatów śmierci. Po drodze do centrum miasta napotkaliśmy także wał obronny wzmacniaczy, gotowych wystrzelić pełną siłę Woli w stronę zbliżających się najeźdźców.

Byliśmy na rynku, gdzie goście z gwiazd targowali się z wieśniakami o ceny wygrzebanych z ziemi starożytności; Gormon raz po raz znikał w tłumie, dokonał nawet kilku zakupów. Trafiliśmy na dom ciał, w którym goście z daleka mogli kupić wszystko, od quasi-życia po góry lodu namiętności. Wstąpiliśmy do restauracyjki na brzegu rzeki Tyvr, obsługującej partaczy jakby to była zwyczajna rzecz. Gormon namówił nas na kopce czegoś miękkiego jak ciasto i na cierpkie żółte wino, miały to być lokalne specjały. A potem odwiedziliśmy jeszcze krytą galerię, w której z wielu stojących rzędami sklepików tłusci Sprzedawcy oferowali klientom towar z gwiazd, cenne drobiazgi z Afreeki i kruche produkty miejscowych Wytwórców. Z galerii wyszliśmy na plac z fontanną w formie łodzi pośrodku. Po jego przeciwnej stronie wytarte, spętane kamienne schody prowadziły do góry, w krainę ruin i chwastów. Zachęceni przez Gormona weszliśmy nimi w smutną strefę zniszczenia i ku naszemu wielkiemu zdumieniu w jej środku odkryliśmy piękny pałac na oko z Drugiego Cyklu, lub może nawet z końca Pierwszego, królujący nad stromym, zarośniętym wzgórzem.

– Mówią, że to środek świata – powiedział Odmieniec. – W Jorslemie też jest miejsce znane pod tą nazwą. Tutejsze wyznaczono z mapy.

– Świat jest przecież okrągły – zdziwiła się Avlluela – więc jak może mieć jeden środek?

Gormon roześmiał się głośno.

Weszliśmy za nim do pałacu. W mrocznym, wietrznym środku stała wielka, ozdobiona drogimi kamieniami, świecąca od środka kula.

– Oto wasz świat – powiedział, czyniąc zamaszty gest.

– Och! – westchnęła Avluela. – Przecież wszystko... tu jest wszystko!

Ta mapa była arcydziełem rzemiosła. Wskazywała naturalne kształty i wyniesienia, wydawało się, że morza są wypełnione wodą, pustynie sprawiały wrażenie rozpalonych słońcem, a patrzącemu zasychało w ustach, a miasta tętniły życiem. Podziwiałem obrazy kontynentów: Eropy, Afreeki, Aisy, Strayli. Przesunąłem wzrokiem po złotym pasie Mostu Lądowego, który z mozołem przekroczyłem tak niedawno na własnych nogach. Avluela podbiegła do świecącego w ciemności globu, wskazała Roum, Agupt, Jorslemę, Perris. Postukała go w miejscu, w którym, na północ od Hindii, wznosiły się wysokie góry.

– Tu się urodziłam – powiedziała cicho. – Wśród żywego lodu, w górach sięgających księżyca. Oto królestwo Lataczy, nasze królestwo. – Przeciągnęła palcem na zachód, przez Fars i straszną Pustynię Arbanską, aż po Agupt. – Tędy leciałam, gdy już nie byłam dziewczynką. Wszyscy musimy latać, więc wybrałam sobie taką trasę. Sto razy byłam pewna, że umrę. Tutaj, tu na pustyni, z piaskiem w gardle, piaskiem bijącym o skrzydła, tu musiałam wylądować. Przez wiele dni leżałam naga na gorącym piasku. Zobaczył mnie inny Latacz, wylądował, uzalił się nade mną, wziął mnie na ręce i pofrunął, a ja w powietrzu odzyskałam siły. Polecieliśmy razem ku Aguptowi. Zmarł nad oceanem, życie opuściło go, choć był młody i silny. Spadł do morza. Towarzyszyłam mu, woda była gorąca nawet w nocy, unosiłam się w niej do rana, a rano zobaczyłam żywe kamienie rosnące w morzu jak drzewa. Wielobarwne ryby podpłynęły, skubały jego ciało leżące na falach z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Zostawiłam go, wepchnęłam pod powierzchnię, żeby tam znalazł spokój, poleciałam do Aguptu, sama, przerażona, i tam cię spotkałam,

Strażniku. – Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało. – Pokaż nam to miejsce, w którym byłeś młody.

Powoli, bo nagle zeszywniały mi nogi w kolanach, obszedłem kulę. Avluela poszła za mną, Gormon trzymał się z tyłu, jakby nic go to nie interesowało. Wskazałem rozrzucone chaotycznie wyspy wyrastające w dwóch długich pasmach z dna Ziemskiego Oceanu, pozostałości Utraconych Kontynentów.

– Tutaj – powiedziałem, wskazując moją ojczystą wyspę na zachodzie. – Tu się urodziłem.

– Och, tak daleko! – krzyknęła Avluela.

– I tak dawno – dodałem. – Czasami wydaje mi się, że mniej więcej w połowie Drugiego Cyklu.

– Nie! Niemożliwe! – Ale dziewczyna spojrzała na mnie tak, jakby potrafiła uwierzyć, że mam tysiąc lat.

Uśmiechnąłem się, delikatnie dotknąłem jej gładkiego policzka.

– Nie, tylko tak mi się wydaje – wyjaśniłem.

– Kiedy opuściłeś dom?

– Miałem dwa razy więcej lat niż ty teraz. Najpierw przeniosłem się tutaj. – Wskazałem archipelag wysp na wschodzie. – Przez kilkanaście lat Strażowałem na Palachach. Potem Wola przeniosła mnie przez Ziemski Ocean do Afreeki. Przybyłem tam i przez kilka lat mieszkałem w ciepłych krajach. Następnie przeniosłem się do Aguptu. I tam poznałem pewną małą Lataczkę.

Zamilkłem. Przez długi czas przyglądałem się wyspom, które były mym domem, oczami wyobraźni widząc nie chudego, steranego wiekiem samego siebie, jakim jestem teraz, lecz tęgawego młodzieńca, wspinającego się na zielone wzgórza, pływającego w chłodnym morzu, odprawiającego Straż na białych plażach obmywanych falą.

Pogrążyłem się w niewesołych rozmyślaniach, a Avluela tymczasem zainteresowała się Gormonem.

– Teraz ty. Powiedz nam, skąd pochodzisz.

Gormon wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że miejsca mojego urodzenia nie ma na tej mapie.

– Przecież to niemożliwe!

– Doprawdy?

Próbowała dowiedzieć się czegoś więcej, ale Odmieniec zręcznie unikał odpowiedzi na jej pytania.

Opuściliśmy pałacyk bocznym wejściem. Wróciliśmy na ulice Roumu. Czuję rosnące zmęczenie, lecz Avluela była głodna miasta, chciała pożreć je całe jednego dnia, przeszliśmy więc labiryntem uliczek do strefy zabudowanej wspaniałymi rezydencjami Panów i Handlarzy, potem przez nędzną dzielnicę Sług i Sprzedawców, rozciągającą się po podziemne katakumby i do dzielnicy Komediantów i Muzykantów, i do następnej, gdzie Somnambulicy sprzedawali swój wątpliwej jakości towar. Gruba kobieta, Somnambuliczka, błagała nas, byśmy weszli do jej domu, kupili prawdę objawioną przez trans. Avlueli bardzo spodobał się ten pomysł, ale Gormon otrząsnął się tylko, a ja uśmiechnąłem. Poszliśmy dalej. Znaleźliśmy się w parku, bardzo blisko centrum. Mieszkańcy Roumu spacerowali szybko, z energią rzadko widywaną w upalnym Agupcie. Dołączyliśmy do nich.

– Popatrzcie tam – wskazała Avluela. – Światło!

Wskazała palcem lśniący łuk sfery wymiarowej zamykającej w sobie jakąś pozostałość starożytnego miasta. Dopiero kiedy przysłoniłem oczy, zobaczyłem pod kopułą fragment starego muru, a przed nim tłumek ludzi.

– To Usta Prawdy – powiedział Gormon.

– Co takiego? – zainteresowała się Avluela.

– Chodźcie, zobaczycie.

Kolejka znikła pod sferą. Dołączyliśmy do niej i już wkrótce znaleźliśmy się przy wejściu. Przed nami rozciągał się pozaczasowy fragment starego świata. Nie miałem pojęcia, dlaczego akurat ten relikwiarz i zaledwie kilka innych otrzymały taką ochronę, więc spytałem o to Gormona, dysponującego niepojętą wiedzą równie głęboką jak najlepsi Pamiętający.

– Ponieważ – usłyszałem w odpowiedzi – tu jest królestwo absolutnej pewności. Czyli wszystko, co powiesz, jest w całości zgodne z tym, co rzeczywiste.

– Nie rozumiem – przyznała Avluela.

– Nie można tu kłamać – wyjaśnił Gormon. – Potrafisz wyobrazić sobie relikwiarz równie godny ochrony?

Wszedł do środka, jego sylwetka rozmyła się na mgnienie oka. Poszedłem za nim. Avluela wahała się przez dłuższą chwilę. Stała na progu, wydawało się, że zмага się z wichrem, przewiewającym granicę między naszym światem a okrucieństwem świata zamkniętym w sferze.

W środku znajdowały się właściwe Usta Prawdy, a przed nimi kolejka, której ruch śledził poważny Rejestrator. Nie od razu pozwolono nam przesunąć się do przodu, lecz wkrótce znaleźliśmy się przed płaskorzeźbą przedstawiającą łeb okrutnego potwora, wyrytą w starym murze zniszczonym przez czas. Potwór miał otwarty pysk, między jego zębami zobaczyliśmy groźną czarną jamę. Gormon przyglądał się jej, kiwając głową, jakby w pełni spełniła jego oczekiwania.

– Co robimy? – spytała Avluela.

– Strażnikowi – rozkazał Gormon – włóż prawą rękę w Usta Prawdy.

Zmarszczyłem brwi, ale wykonałem jego polecenie.

– A teraz – oznajmił Gormon – jedno z nas zada ci pytanie. Musisz na nie odpowiedzieć. Jeśli w odpowiedzi miniesz się z prawdą, choćby w najdrobniejszym szczególe, usta zamkną się i odetną ci rękę.

– Nie! – krzyknęła Avluela.

Przyglądałem się kamiennemu potworowi z pewnym niepokojem. Strażnik bez dwóch sprawnych dłoni jest Strażnikiem bezrobotnym. W Drugim Cyklu mógłby wprowadzić otrzymane protezy, sprawniejsze od naturalnych członków, ale Drugi Cykl skończył się dawno temu i dziś na Ziemi nie można kupić niczego tak skomplikowanego.

– Jak to możliwe? – spytałem.

– Wola manifestuje się tu z wyjątkową siłą – wyjaśnił Odmieniec. – I bezbłędnie rozróżnia prawdę od fałszu. Za tą ścianą śpi trzech Somnambulików. Przemawia przez nich i to oni bezpośrednio kontrolują Usta. Boisz się Woli, Strażniku?

– Boję się własnego języka.

– Odwagi! Przed tym murem nigdy nie wypowiedziano kłamstwa. Jeszcze nikt nie stracił tu ręki.

– Doskonale – powiedziałem. – Kto zada mi pytanie?

– Ja – oznajmił Gormon. – Powiedz mi, Strażniku, czy – odkładając na bok wszelkie ozdobniki – uważasz życie poświęcone Straży za życie mądrze przeżyte?

Milczałem przez długą chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią, nie spuszczać wzroku z otwartych ust. W końcu powiedziałem:

– Poświęcić się czuwaniu nad bezpieczeństwem ludzkości, do której się należy, to zapewne najszlachetniejsze powołanie człowieka.

– Ostrożnie! – krzyknął Gormon, wyraźnie zaniepokojony.

– Jeszcze nie skończyłem – uspokoiłem go.

– Mów.

– Poświęcenie życia ochronie przed wymyślonym wrogiem pozbawione jest sensu, a podziwianie samego siebie za nieustanną, napiętą uwagę, za czujność, choć nie ma do niej powodu, to grzech i głupota. Nie, nie przeżyłem życia mądrze. Ja je zmarnowałem.

Usta Prawdy pozostały otwarte.

Cofnąłem dłoń. Przyglądałem się jej, jakby zaledwie przed chwilą wyrosła mi z nadgarstka. Poczułem się staro, równie dobrze mógłbym żyć przez wiele cykli. Avluela stała nieruchoma, zakrywając usta dłońmi. Moje słowa nią wstrząsnęły, a mnie wydało się nagle, że zastygły, wisząc w powietrzu przed ohydną maską.

– Przemówiłeś szczerze, choć bez litości dla samego siebie – orzekł Gormon. – Zbyt surowo się osądzasz, Strażniku.

– Powiedziałem, co powiedziałem, żeby ocalić dłoń. Wolałbyś, żebym skłamał?

Odmieniec uśmiechnął się.

– Twoja kolej – powiedział do Avlueli.

Mała Lataczka podeszła do Ust, nie kryjąc przerażenia. Drobną, drżącą dłoń znikła między kamiennymi blokami. Musiałem walczyć z chęcią podbiegnięcia do niej, odsunięcia jej i uwolnienia spod czaru szatańsko skrzywionej maski.

– Kto jej zada pytanie? – spytałem.

– Ja.

Skrzydła dziewczyny poruszyły się ledwie widocznie pod ubraniem. Jej twarz pobladła, zadrgały płatki nosa, górna warga nasunęła się na dolną. Stała zgarbiona przy murze, przerażona, wpatrzona w miejsce, w którym kończyło się jej ramię. Poza granicą sfery widzieliśmy rozmazane twarze wpatrujących się w nas ludzi. Mówili coś. Niewątpliwie wyrażali zniecierpliwienie, że tak długo pozostajemy przed Ustami Prawdy, nie słyszeliśmy jednak ani słowa. Tkwiliśmy w zamkniętej przestrzeni, w dusznej, lepkiej atmosferze, czując zgniły zapach, jaki mógłby wydobywać się ze studni przebijającej warstwy czasu.

– Ostatniej nocy pozwoliłaś, by Książę Roumu posiadał twe ciało. – Gormon mówił powoli, ważył słowa. – Przedtem oddałaś się Odmieńcowi Gormonowi, choć takie związki są zakazane

przez zwyczaj i prawo. A jeszcze wcześniej, dawno temu, byłaś partnerką nieżyjącego już Latacza. Mogłaś mieć innych mężczyzn, o których nic nie wiem. Dla pytania, które zaraz ci zadam, nie mają oni żadnego znaczenia. Powiedz mi, Avluelo, który z trzech dał ci największą fizyczną rozkosz, który obudził w tobie najgłębsze uczucia, którego wybrałabyś na towarzysza życia, gdybyś wybierała sobie towarzysza życia?

Chciałem zaprotestować, bo to były trzy pytania, nie jedno, Gormon zyskał więc nieuczciwą przewagę ale nie miałem szansy przemówić, bo Avluela odpowiedziała pewnym głosem, z ręką głęboko w Ustach Prawdy.

– Książę Roumu dał mi taką przyjemność ciała, jakiej nigdy wcześniej nie doznałam, ale jest zimny i okrutny. Gardzę nim. Mojego martwego Latacza kochałam jak nikogo przed nim i po nim, ale był słaby, a ja nie chcę mieć słabego partnera. Ty, Gormonie, jesteś mi obcy nawet teraz, wydaje mi się, że nie znam ni twego ciała, ni duszy. Lecz chociaż przepaść między nami jest tak głęboka, to z tobą chciałbym spędzić nadchodzące dni.

Wyciągnęła rękę z Ust Prawdy.

– Dobrze powiedziane.

Widziałem, że precyzyjna odpowiedź dziewczyny zarówno ucieszyła Gormona, jak i go zraniła. Potrafisz mówić, co? Potrafisz mówić, kiedy musisz. A teraz moja kolej. Ja też zaryzykuję rękę.

Podszedł bliżej muru.

– Ty zadawałeś nam pytania – odezwałem się. – Chcesz dokończyć dzieła? Odpytać samego siebie.

– Skąd! – Gormon niedbale machnął wolną ręką. – Możecie się naradzić i zadać mi wspólne pytanie.

Rozmawialiśmy chwilę. Z nietypową dla niej bezpośredniością dziewczyna zaproponowała pytanie,

a ponieważ miałem ochotę zadać takie samo, zaakceptowałem jej propozycję i oddałem głos.

– Kiedy staliśmy przed kulą świata, Gormonie, poprosiłam, byś wskazał mi, gdzie się urodziłeś, a ty powiedziałeś, że na mapie tego miejsca nie ma. Wydało mi się to wówczas bardzo dziwne. Powiedz mi teraz: jesteś tym, za kogo się podajesz, Odmieńcem wędrującym po świecie?

– Nie jestem – odparł Gormon. W pewnym sensie udzielił odpowiedzi na pytanie takie, jakim sformułowała je Avluela, ale dla całej naszej trójki oczywiste było, że jego odpowiedź niczego nie wyjaśnia, więc, nadal trzymając dłoń w Ustach Prawdy, kontynuował: – Nie wskazałem wam miejsca urodzenia na mapie świata, ponieważ nie urodziłem się na tym świecie, lecz innym, na świecie gwiazdy, której nie wolno mi nazwać. Nie jestem Odmieńcem w waszym rozumieniu tego słowa, choć można tak mnie określić, ponieważ ukrywam swe ciało i w moim świecie noszę inne, niż widzicie w tej chwili. Mieszkam tu od dziesięciu lat.

– W jakim celu przybyłeś na Ziemię? – spytałem.

– Mam obowiązek odpowiedzenia na jedno pytanie – powiedział Gormon i nagle uśmiechnął się szeroko – ale proszę bardzo. Zostałem wysłany na Ziemię w charakterze obserwatora. Wojskowego obserwatora. Biorę udział w przygotowywaniu inwazji, której śladów szukałeś, Strażniku, tak długo, że aż przestałeś w nią wierzyć. Inwazji, która rozpocznie się za kilka godzin.

– Kłamiesz! – krzyknąłem ile sił w płucach. – Kłamiesz!

Odmieniec roześmiał się głośno. Wysunął rękę z Ust Prawdy. Całą. Nienaruszoną.

Nie wiedziałem, co myśleć, mózg miałem jak odrętwiały. Pchając przed sobą wózek z instrumentami wybiegłem spod lśniącej sfery wprost na ulicę, zimną i mroczną, bo zimą mrok zapada szybko. A była już niemal godzina dziewiąta. Nadchodził czas na odprawienie kolejnej straży.

Kpiące słowa Gormona odbijały się echem od ścian mej czaszki. To on zaaranżował wszystko tak, jak mu się podobało. Zaprowadził nas do Ust Prawdy, skłonił mnie podstępem do przyznania, że utraciłem wiarę, wydobył innego rodzaju wyznanie od Avlueli, bezlitośnie udzielił nam informacji, której nie musiał udzielać, wypowiedział słowa, które strzaskały mi duszę.

Czyżby Usta Prawdy były prostym oszustwem. Czyżby Gormon mógł skłamać i nie ponieść kary?

Od mej pierwszej Straży nigdy, ale to nigdy nie wypełniałem swych obowiązków inaczej niż w wyznaczonym czasie. Ale dziś, kiedy rzeczywistość wokół mnie rozpadała się z hukiem, nie potrafiłem czekać cierpliwie na nadejście właściwej godziny. Kucnąłem przy wózku wprost na przewiewanej wiatrem ulicy, przygotowałem sprzęt i skoczyłem w Straż jak nurek skacze do morza.

Moja wzmocniona świadomość pomknęła ku gwiazdom.

Niczym Bóg swobodnie poruszałem się w nieskończoności. Czułem powiew wiatru słonecznego, ale nie jestem Lataczem, którego zniszczyłoby jego ciśnienie. Pofrunąłem dalej, poza

zasięg gniewnych cząsteczek światła, w ciemność na granicy dominium słonecznego.

Poczułem zgniatające mnie inne ciśnienie.

Zbliżające się statki kosmiczne.

Nie, nie liniowce pełne turystów przybywających, by pogapić się na poniżoną Ziemię. I nie zarejestrowane jednostki handlowe ani badawcze, zbierające międzygwiazdną mgłę, ani rozrywki na orbitach hiperbolicznych.

Nie. Poczułem okręty wojenne, ciemne, obce i groźne. Nie potrafiłem oszacować ich liczby, wiedziałem tylko, że pędzą z szybkością wielu jednostek świetlnych, osłonięte stożkiem odbitej energii. Ten właśnie stożek wykryłem, Strażując, czułem go także poprzednim razem, przez instrumenty wnikał mi do mózgu, otaczał mnie jak kryształowa kostka przecięta ruchomymi jaskrawymi liniami, wzorami rozkładu naprężeń.

Uczono mnie, jak wyczuć właśnie to. Przez całe życie szukałem właśnie tego, błagałem, by właśnie tego nie wyczuć, a potem, zagubiony w otaczającej mnie pustce, błagałem, by wyczuć właśnie to, a potem utraciłem wiarę. A potem, z łaski Odmieńca imieniem Gormon znalazłem, czego szukałem, Strażując poza swym czasem, skulony na ulicy zimnego, ciemnego Roumu tuż obok Ust Prawdy.

Podczas nauki Strażnika ćwiczysz się tak, by wychodził z transu zaraz po potwierdzeniu obserwacji i natychmiast ogłaszał alarm. Przełączałem się więc z kanału na kanał, dokonałem sprawdzenia, triangulowałem i nadal odbierałem złowrogi wrażenie tytanicznych sił zbliżających się do Ziemi z niewyobrażalną prędkością.

Albo zawodziły mnie zmysły, albo zaczęła się inwazja. A jednak nie potrafiłem wyjść z transu, by ogłosić alarm.

Nieśpiesznie, w ekstazie, pochłaniałem zmysłowe dane, dostrajałem urządzenia, radowałem się potwierdzeniem odzyskanej wiary. Zarazem byłem jednak świadom faktu, że

marnuję cenny czas, że moim obowiązkiem jest skończyć z rozkosznymi pieszczotami przeznaczenia i wezwać Obrońców, więc w końcu przerwałem Straż. Wróciłem do świata, którego strzegłem, bo takie było moje powołanie.

Obok mnie stała Avluela, oszołomiona, przerażona, z wciśniętymi w usta pięściami i szklistymi, niewidzącymi oczami.

– Strażniku! Strażniku! Słyszysz mnie? Co się stało? Co się stanie?

– Inwazja – powiedziałem. – Jak długo byłem nieprzytomny?

– Nie więcej niż pół minuty. Nie wiem. Oczy miałeś zamknięte. Myślałam, że umarłeś.

– Gormon mówił prawdę. Siły inwazyjne są blisko. Gdzie on jest? Dokąd poszedł?

– Znikł, kiedy wyszliśmy z tego ogrodzonego miejsca przy Ustach – szepnęła dziewczyna. – Strażniku, ja się boję. Czuję, jak wszystko się rozpada. Muszę lecieć. Nie mogę zostać tu, na ziemi.

– Czeka! – Próbowałem chwycić ją za ramię. Nie zdołałem. – Nie odlatuj! Najpierw muszę ogłosić alarm, a potem...

Ale Avluela już zrzucała ubranie. Stała półnaga, jej jasne ciało błyszczało w ciemności, a wokół nas kręcili się ludzie niemający pojęcia, co właśnie się zaczęło. Bardzo chciałem utrzymać Avluelę przy boku ale nie mogłem zwlekać z ogłoszeniem alarmu. Odwróciłem się, pochyliłem nad wózkiem. Jakby kierowała mną zbyt długa tęsknota, sięgnąłem do przełącznika, którego nigdy nie spodziewałem się użyć. Przełącznika, który miał włączyć planetarny system alarmu dla Obrońców.

A może ktoś już wszczął alarm? Jakiś inny Strażnik wyczuł to, co ja także wyczułem i – niesparaliżowany zdumieniem i będącymi moim udziałem wątpliwościami – dopełnił obowiązków?

Nie, nie, nie! Gdyby to uczynił, słyszałbym wycie syren z głośników, unoszących się na orbicie nad miastem.

Dotknąłem przełącznika. Kątem oka widziałem Avluelę, wolną od zbędnego ciężaru. Przyklękła, wypowiadała nakazane słowa, wypełniające siłą jej skrzydła. Za chwilę wzleci w powietrze, znajdzie się poza moim zasięgiem.

Jednym zdecydowanym ruchem przesunąłem dźwignię.

W tej samej chwili zobaczyłem zbliżającą się potężną postać. Gormon, pomyślałem. Wstałem odwróciłem się od wózka, wyciągnąłem rękę. Chciałem chwycić go, zatrzymać. Ale nie, to nie był Odmieniec, lecz sługa o twarzy jakby ulepionej z ciasta.

– Spokojnie, Lataczko – powiedział do Avlueli. – Spokojnie, zwiń skrzydła. Książę Roumu polecił mi, żebym cię do niego przyprowadził.

Zaczęli się szarpać. Drobne piersi dziewczyny unosiły się i opadały w rytmie szybkiego oddechu, jej oczy miały błyskawice.

– Puść mnie! Chcę lecieć!

– Wzywa cię Książę Roumu. – Sługa przyciągnął ją do siebie, objął potężnymi ramionami.

– Książę Roumu jest zajęty – powiedziałem spokojnie. – Nie będzie miał dla niej czasu.

Wprost z nieba zawyły syreny. Sługa puścił Avluelę. Jego wargi poruszały się bezgłośnie. Uczynił gest, jeden z tych, którymi oddajemy się pod opiekę Woli.

– Alarm? – wykrztusił w końcu. – Kto włączył alarm? Ty, Strażniku?

Ludzie biegali wokół nas jak szaleńcy.

Uwolniona z jego uścisku Lataczka przebiegła obok mnie z częściowo rozwiniętymi skrzydłami. Znikła w szalejącym tłumie. Zagłuszający wycie syren, dobiegający z miejskiego systemu nagłośnienia potężny głos wydawał instrukcje dotyczące obrony i systemu bezpieczeństwa. Chudy mężczyzna

ze znakiem gildii obrońców na policzku podbiegł do mnie, wykrzyczał coś, czego nie sposób było zrozumieć, i odbiegł ulicą. Miałem nieodparte wrażenie, że świat oszalał.

I tylko ja pozostałem spokojny. Spojrzałem w niebo, na pół spodziewając się zobaczyć czarne statki najeźdźców wiszące nieruchomo nad wieżami Roumu. Zobaczyłem tylko nocne lampy i inne obiekty, których obecności można się było spodziewać.

– Gormonie! – zawołałem. – Avluelo?

Zostałem sam.

Odczułem przedziwne wrażenie pustki. Ogłosiłem alarm, siły inwazji były w drodze, straciłem pracę. Strażnicy nie byli już nikomu do niczego potrzebni. Niemal z miłością dotknąłem palcami wózka będącego mi towarzyszem od tak wielu lat. Przesunąłem palcem po poplamionych, porysowanych instrumentach, a potem odwróciłem wzrok i odszedłem. Porzuciłem go, szedłem sam ciemnymi ulicami, wolny od nakazów, zakazów i ciężaru obowiązków, jak człowiek, którego życie w jednej i tej samej chwili straciło znaczenie i zyskało je. A wokół mnie rządził chaos.

Ustalono, że kiedy nadejdzie decydująca bitwa ludzkości, zmobilizowane zostaną wszystkie gildie z wyjątkiem Strażników. My, żołnierze przez wieki, niezmordowanie czuwający na pierwszej linii, nie mieliśmy swego miejsca strategii obronnej. Ogłoszenie alarmu zwalniało nas z wszelkich dotychczasowych obowiązków. Teraz swe zdolności miała pokazać gildia Obrońców. Jej członkowie mieli pół Cyklu na ćwiczenia i planowanie, co zrobią w przypadku wojny. Jakie plany wcielią teraz w życie? Czego dokonają?

Mnie zależało wyłącznie na tym, by powrócić do rezydencji przy książęcym pałacu i tam przeczekać kryzys. Głupotą byłoby choćby marzyć o znalezieniu Avlueli; plułem sobie w brodę, że w decydującej chwili pozwoliłem jej uciec nagiej, bez nikogo, kto by ją bronił. Dokąd poleci? Kto się nią zaopiekuje?

Inny Strażnik, nadal z wózkiem, pędził ulicą tak szybko, że omal się nie zderzyliśmy.

– Uważaj – warknąłem.

Spojrzał na mnie zdumiony. Dyszał ciężko.

– Czy to prawda? – spytał. – Alarm?

– Nie słyszysz?

– Ale czy prawdziwy?!

– Wiesz, jak się o tym przekonać – powiedziałem, wskazując palcem jego wózek.

– Mówią, że Strażnik, który ogłosił alarm, to stary pijak, głupiec wyrzucony wczoraj z gospody.

– Dobry opis – przyznałem.

– Jeśli alarm jest prawdziwy, to...

– ...to my wszyscy możemy odpocząć. – Uśmiechnąłem się. – Do zobaczenia, Strażniku.

– Twój wózek! Gdzie jest twój wózek?! – zawołał, ale minąłem go, nawet się nie odwracając, i znikłem za potężną rzeźbioną kamienną kolumną któregoś z reliktyw imperialnego Roumu.

Na kolumnie wyryte były sceny ze starożytności: bitwy i zwycięstwa, obcy władcy idący ulicami miasta w kajdanach, symbolu niełaski, tryumfujące orły radujące się wielkością miasta. Ogarnięty nowym dla mnie przedziwnym spokojem stałem przez długą chwilę, podziwiając te prawdziwe dzieła sztuki. Przerwał mi pędzący w moją stronę jak szalenięc człowiek. Nie od razu rozpoznałem Pamiętającego Basila.

– Ach, jak dobrze widzieć cię właśnie teraz! – Zatrzymałem go tymi słowami. – Możesz wyświadczyć mi przysługę i objaśnić te obrazy, Pamiętający? Fascynują mnie. Sam nie nasycę swej ciekowości.

– Oszalałeś? Nie słyszysz alarmu?

– To ja włączyłem alarm, Pamiętający.

– Uciekaj więc! Najeźdźcy przybywają! Musimy uciekać.

– Ja nie muszę, Basilu. Moja służba dobiegła kresu. Opowiedz mi o tych obrazach. O pokonanych królach, o pogwałconych imperatorach. Człowiek w twoim wieku z pewnością nie walczy.

– Mobilizacja dotyczy wszystkich!

– Z wyjątkiem Strażników. Poświęć mi chwilę. Narodziło się we mnie pragnienie poznania przeszłości. Gormon znikł. Poprowadź mnie po minionych cyklach.

Pamiętający potrząsnął głową, okrążył mnie, usiłował uciec. Próbowałem chwycić go za chude ramię, zatrzymać w miejscu, ale okazał się za szybki. Chwyciłem tylko szal, zerwałem mu go z szyi. Został mi w ręku.

Widziałem, jak biegł jak szalony, przebijając chudymi nogami, machając chudymi rękami. Znikł w perspektywie ulicy. Wzruszyłem ramionami i przyjrzałem się szalowi, który udało mi się zdobyć w sposób tak niespodziewany. Przeszywały go lśniące metalowe nici tworzące interesujący wzór oszukujący oko; wydawało mi się, że każda nić niknie w materiale tylko po to, by znów się pojawić w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu, jak linie genetyczne wielkich dynastii odradzające się nieoczekiwanie w odległych miastach. Jakość wykonania tego dzieła budziła podziw.

Niedbale zarzuciłem szal na ramiona.

Poszedłem przed siebie.

Nogi, które nieco wcześniej odmawiały posłuszeństwa, bardzo dobrze mi teraz służyły. Niczym młodzieniec maszerowałem przez ogarnięte paniką miasto, bez najmniejszego problemu wybierając drogę. Moim celem była rzeka. Przeszedłem na drugi brzeg. Na przeciwległym brzegu Tveru stał pałac księcia. Ciemność pogłębiła się, bo większość świateł wygaszono na rozkaz towarzyszący mobilizacji. Od czasu do czasu rozlegał się głuchy huk, to wybuchały bomby osłaniające, wyzwalające chmury mroku chroniące miasto przed większością urządzeń do obserwacji z dużej odległości. Na ulicy było już o wiele mniej przechodniów. Syreny nadal wyły. Instalacje obronne na szczytach budynków budziły się do życia, słyszałem cienkie piski rozgrzewających się odstraszaczy, widziałem długie ramiona wzmacniaczy łączące ponad ulicami kolejne budynki celem uzyskania jak największej mocy. Pozbyłem się wszystkich wątpliwości, inwazja rzeczywiście się zbliżała. Moje instrumenty mogły ulec awarii, dać mylne odczyty, ale mobilizacji nie posunięto by aż tak daleko, gdyby odkrycia jednego Strażnika nie potwierdziły setki innych członków gildii.

Byłem już niedaleko pałacu, kiedy zobaczyłem dwóch Pamiętających, biegnących ku mnie tak szybko, że szale tylko za nimi powiewały. Zawołali coś słowami, których nie rozumiałem, zapewne kodem gildii – uświadomiłem sobie po chwili – bo przecież miałem na szyi szal Basila. Zatrzymali się przy mnie, przeszli na zwykły język.

– Co z tobą?! – krzyczeli. – Na stanowisko! Musimy nagrywać! Musimy komentować! Musimy obserwować!

– Mylicie się – powiedziałem spokojnie. – To szal waszego brata Basila. Zostawił mi go pod opieką. Nie mam już stanowiska, na które mógłbym się udać.

– Strażnik! – krzyknęli jednocześnie. Przeklęli mnie każdy własnymi słowami i uciekli.

Roześmiałem się.

Podszedłem do pałacu.

Brama stała otworem. Bezpłciowcy strzegący wejścia pod portalem znikli, znikli też dwaj Rejestratorzy zwyczajowo strażujący w drzwiach. Zebracy z wielkiego placu dostali się do budynku, tam szukając schronienia, co wzbudziło wściekłość licencjonowanych dziedzicznych żebraków mających prawo przebywania w wyznaczonym miejscu „pod dachem” i skłoniło ich do ataku na wdzierający się do środka tłum. Walczyli z furją i niezwykłą, nieoczekiwaną siłą. Widziałem kaleki wymachujące kulami, ślepców wymierzających ciosy niezwykle celnie, pokornych pokutników sprawnie posługujących się bronią, od sztyletów po pistolety soniczne. Ominąłem scenę tego zawstydzającego spektaklu możliwie dużym łukiem, wszedłem głębiej. Zajrzałem do kilku kaplic, w których Pielgrzymi błagali Wolę o łaskę, a Komunikanci szukali przewodnictwa duchowego mającego objawić im rezultat zbliżającej się wojny.

Ponad hałas i zamieszanie wzniósł się nieoczekiwany ryk trąb. Towarzyszyły mu okrzyki: „Zróbcie drogę! Zróbcie

drogę!”.

Do pałacu wkroczyła grupa masywnych Sług. Pomaszerowali rzędem do książęcej komnaty w absydzie. Kilku z nich niosło kogoś, kto walczył, szarpał się i kopał w ich uścisku. Zobaczyłem na pół rozwinięte skrzydła... Avluela! Zawołałem ją, ale mój głos ugrzązł w ogłuszającym hałasie, a do niej samej też nie zdołałem się przedrzeć. Słudzy odepchnęli mnie na bok, ich procesja znikła w książęcych komnatach. Przez chwilę widziałem moją małą Lataczkę, brankę w łapach porywaczy, a potem znów straciłem ją z oczu.

Chwyciłem bełkoczącego coś bezpłciowca idącego chwiejnie śladem Sług.

– Lataczka... – dlaczego ją tu przyniesiono?

– Ona... to... oni...

– Mów!

– Książę... jego kobieta... jego rydwan... oni... oni... najeźdźcy...

Odepchnąłem nędzne stworzenie. Pobiegiem w stronę absydy. Stałem naprzeciw mosiężnej ściany dziesięciokrotnie mnie przewyższającej. Walilem w nią pięściami.

– Avluelo! – krzychałem ochryple. – Av...luuu...eee...looo!

Ani mnie nie wyrzucono, ani mnie nie przyjęto. Zostałem zignorowany. Szaleństwo przy zachodnim wejściu przeniosło się do nawy i naw bocznych. Odwróciłem się szybko. Wyszedłem przez boczne drzwi.

Pasywny, niczym zawieszony w jednej chwili życia, stałem na dziedzińcu, którym można było dojść do pałacowej rezydencji dla gości. Powietrze przesyciła niezwykła elektryczność, aż wydawało się, że trzeszczy. Uznałem, że jest ona dziełem którejś z instalacji obronnych Roumu, czegoś w rodzaju promienia chroniącego miasto przed atakiem, ale po chwili krótkiej jak mgnienie oka uświadomiłem sobie, że to ostatni etap najazdu.

Niebo rozbłysło statkami kosmicznymi.

Podczas ostatniej Straży ujawniły mi się one jako czerń na nieskończonej czerni, a teraz promieniowały światłem niczym słońca. Pasma jaskrawych kul jak drogie kamienie przeszły ciemność jedna ciasno przy drugiej. Wypełniły sobą łuk niebios, od wschodu do zachodu. Kiedy tak nagle powołały się do istnienia, usłyszałem, albo tak mi się wydawało, ostre trzaski i dudnienie, niewidzialną symfonię zapowiadającą nadejście zdobywców Ziemi.

Nie wiedziałem, jak wysoko nad moją głową unoszą się statki. Nie miałem pojęcia, ile ich jest. Nic nie wiedziałem o ich konstrukcji. Ja tylko widziałem ich niezwyklej majestat i gdybym był Obrońcą w tej chwili, na ten widok utraciłbym ducha.

Niebo przeszły pasma różnokolorowego światła. Rozpoczęła się bitwa. Nie pojmowałem sensu działań naszych wojowników, podobnie tajemnicą były dla mnie manewry tych, którzy przybyli, by pościć na własność naszą bogatą w historię, lecz ubożającą z czasem planetę. Ze wstydem przyznaję, że pozostawałem nie tyle poza bitwą, ile ponad bitwą, jakby nie dotyczyła mnie w najmniejszym stopniu. Chciałem tylko mieć przy boku Avluelę, ukrytą gdzieś w trzewiach pałacu księcia. Przyjemność sprawiłaby mi nawet obecność Gormona, Gormona Odmieńca, Gormona szpiega, Gormona potwornego zdrajcy naszego świata.

Potężny wzmocniony głos ryknął: „Droga dla Księcia Roumu! Książę Roumu prowadzi Obrońców do walki o Ziemię Ojców”.

Z pałacu wzleciał świetlisty pojazd w kształcie kropli, wyposażony w dach z lśniącego metalu i przezroczyste burty, tak by mieszkańcy miasta mogli widzieć swego władcę i na ten widok odzyskać ducha. Pojazd pilotował bowiem Książę Roumu, dumny, wyprostowany, z młodą okrutną twarzą znieruchomiałą w zaciętym grymasie. Towarzyszyła mu

drobna, mała Lataczka Avluela w stroju księżniczki. Dostrzegłem ją i zdało mi się, że jest w transie.

Książęcy rydwan wzleciał w niebo i wkrótce znikł mi z oczu. Miałem jednak wrażenie, że za rydwanem pojawił się drugi statek, że ścigał go, że księżę pojawił się znowu, że ta dwójka pilotowała swe statki w ciasnych kręgach, że doszło między nimi do walki. Oba rydwany otaczała chmura niebieskich iskier. Wznosiły się, wznosiły i oddalały, aż wreszcie znikły za grzbietem jednego ze wzgórz Roumu.

Czy bitwa toczyła się teraz nad całą planetą? Czy zagrożony był też Perris, święta Jorslema, nawet senne wysepki Utraconego Kontynentu? Czy statki kosmiczne najeźdźcy były wszędzie? Nie widziałem. Obserwowałem wyłącznie zjawiska na małym wycinku nieba, nad Roumem, a w dodatku niewiele wiedziałem, niewiele widziałem, a jeszcze mniej rozumiałem. Kilka kolejnych błysków światła pozwoliło mi ujrzeć przemykające na wysokości duże formacje Lataczy, ale ciemność wróciła szybko, jakby na miasto spadł aksamitny całun. Widziałem wielkie maszyny naszych systemów obrony strzelające nieregularnymi salwami ze szczytów budynków i widziałem także, że statki wiszą na niebie, nieporuszone. Dziedziniec wokół mnie był pusty, ale z dala dobiegały głosy pełne strachu, pełne rozpacz, piskliwe niczym śpiew ptaków. Od czasu do czasu rozlegał się głuchy huk wstrząsający miastem. W którymś momencie obok mnie przetransportowano grupkę Somnambulików. Dostrzegłem Komediantów pokrywających plac przed pałacem iskrzącą się siecią o zdecydowanie militarnym charakterze. Kolejny błysk światła ujawnił moim oczom platformę grawitacyjną i stojących na niej trzech Pamiętających, zapisujących bez wytchnienia to, co się działo. W pewnej chwili miałem wrażenie, nie więcej niż wrażenie, że znów pojawił się pojazd księcia, ścigany przez inny pojazd, będący już bardzo blisko.

– Avluelo – szepnąłem.

Dwie kropki światła ściemniały i znikły. Czy statki kosmiczne desantowały oddziały wojska? Czy z ich płomienistych orbit spływały gigantyczne kolumny mocy, by dotknąć powierzchni Ziemi? Dlaczego księżę porwał Avluelę? Gdzie znikł Gormon? Jak radzą sobie nasi Obrońcy? Dlaczego nie zmiotli z nieba hordy najeźdźców?

Bez ruchu, jak wrośnięty w starożytne kamienie dziedzińca, przez całą noc śledziłem kosmiczną bitwę, ani przez chwilę nie mając pojęcia, co się właściwie dzieje.

Przyszedł świt. Nici bladego światła przeskakiwały z wieży na wieżę. Dotknąłem oczu. Musiałem zasnąć i spać na stojąco. Może powinienem postarać się o członkostwo gildii Somnambulików? – zażartowałem sam z siebie. Położyłem obie dłonie na zarzuconej na ramiona chuście Pamiętających. Ciekawe, skąd też ją mam? – pomyślałem.

Tak! Już wiedziałem skąd.

Spojrzałem w niebo.

Statki obcych znikły. Zwykle ziemskie niebo poranka pozostało takie, jakim było, szare z przebijającym się przez tę szarość różem. Czegoś mi brakowało... rozejrzałem się za wózkiem, po czym przypomniałem sobie, że nie muszę już trzymać Straży, i poczułem się tak pusty w środku, jak nie ma prawa czuć się nikt, nawet o tej godzinie.

Czy bitwa się skończyła?

Czy pokonaliśmy nieprzyjaciela?

Czy statki najeźdźcy, strącone z nieba, leżą spalone na polach wokół Roumu?

Cisza. Z niebieskich symfonii nie pozostał ani ton. Lecz nagle tę ciszę zakłóciła nowa muzyka, pomruk pojazdów kołowych przemieszczających się ulicami miasta. Niewidzialni Muzycy zagrali jedną, ostatnią nutę, głęboką i dźwięczną, lecz cichnącą

w rozpaczliwym dysonansie, jakby wszystkie struny wszystkich instrumentów pękły naraz.

W głośnikach miejskiego systemu komunikacji rozległ się cichy głos.

– Roum upadł. Roum upadł.

Rezydencję dla pałacowych gości pozostawiono bez opieki, bezpłciowcy i członkowie gildii służebnych uciekli. Obrońcy, Panowie i Dominatorzy bez wątpienia zginęli honorowo, walcząc. Pamiętający Basil znikł gdzieś, a z nim razem wszyscy inni Pamiętający. Poszedłem do swojego pokoju, wykąpałem się i oczyściłem, zebrałem swój skromny dobytek, a następnie pożegnałem się z luksusami, z którymi zawarłem zbyt krótką znajomość. Żałowałem, że przyszło mi spędzić w Roumie niewiele czasu. Pocieszało mnie, że Gormon był doskonałym przewodnikiem i dzięki niemu udało mi się bardzo wiele zobaczyć.

Uznałem, że pora ruszać w drogę.

Pozostawanie w podbitym mieście nie wydawało się rozsądnym wyborem. Zainstalowana w moim pokoju czapka myśłówka nie odpowiadała na pytania, nie znałem więc rozmiaru klęski, ani tej poniesionej w bitwie o miasto, ani tej poniesionej w innych bitwach. Niemniej wydawało się jasne, że ludzie nie kontrolują już Roumu, wołałem więc wynieść się stąd jak najszybciej. Najpierw chciałem udać się do Jorslemy, co proponował mi wysoki Pielgrzym spotkany przed wejściem do miasta, ale zastanowiłem się głębiej i uznałem, że lepszy będzie Perris, nie tak odległy, a dodatkowo będący macierzystym miastem Pamiętających. Nie miałem już zawodu, lecz tego pierwszego dnia okupacji Ziemi poczułem dziwnie potężną potrzebę oddania się w pokorze gildii Pamiętających, poznania szczegółów naszej wspanialszej przeszłości.

Rezydencję opuściłem około południa. Najpierw poszedłem do pałacu stojącego otworem dla wszystkich. Na posadzce leżeli zebracy, niektórzy oszołomieni, niektórzy śpiący, większość martwa. Sądząc po widocznych ranach, w szale, ogarnięci paniką, pozabijali się nawzajem. Wyraźnie przybity Rejestrator przysiadł przy trzech czaszkach umieszczonego w kaplicy uchwytu przesłuchującego.

– Nie działają – powiedział, gdy tylko mnie zobaczył. – Mózgi nie odpowiadają.

– Księżę Roumu? Co z nim?

– Nie żyje. Najeźdźcy zestrzelili go z nieba.

– Miał przy boku młodą Lataczkę. Wiesz coś o niej?

– Nic. Ale przypuszczam, że też zginęła.

– Miasto?

– Upadło. Najeźdźcy są wszędzie.

– Zabijają?

– Nawet nie rabują. Zachowują się wyjątkowo taktownie. Przybyli po swoje.

– Tylko Roum upadł czy tak jest wszędzie?

Rejestrator wzruszył ramionami. Zaczął kołysać się rytmicznie w przód i w tył. Zostawiłem go w spokoju, poszedłem dalej, w głąb pałacu. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu prywatne pokoje księcia były otwarte i niechronione. Obejrzałem je sobie. Zdumiało mnie ich bogactwo: draperii, lamp, mebli. Przechodziłem z pokoju do pokoju, aż wreszcie trafiłem do księżęcej sypialni. Na łożu leżało pokrycie w postaci żywego ciała kolosalnego małża z planety dalekiej gwiazdy. Jego skorupa otworzyła się dla mnie, dotknąłem najmiększej z miękkiej materii, którą była wyścielona, pod którą spoczywał księżę, a także – uświadomiłem sobie natychmiast – Avluela. Gdybym był młodszym mężczyzną, na tę myśl zapewne bym się rozplakał.

Porzuciłem pałac. Powoli przeszedłem przez plac. Rozpocząłem wędrówkę do Perrisa.

Dopiero teraz zobaczyłem naszych pogromców. Na granicy placu zatrzymał się pojazd o obcej konstrukcji. Wsiadło z niego kilkunastu najeźdźców. Mogli niemal uchodzić za ludzi, wysokich, szerokich w ramionach, mocno zbudowanych jak Gormon, z tej odległości od nas odróżniały ich tylko długie ramiona. Skóra też wydawała się inna, a podejrzewam, że gdybym podszedł bliżej, zobaczyłbym wargi i nosy innego niż nasz kształtu. Nie zwrócili na mnie uwagi. Przeszli przez plac dziwnym, lekkim, swobodnym krokiem, niezwykle przypominającym mi sposób, w jaki poruszał się Gormon. Weszli do pałacu. Nie manifestowali radości zwycięstwa. Nie zachowywali się groźnie.

Turyści. Majestatyczny Roum zauroczył kolejnych zdobywców.

Pozostawiłem naszych nowych panów ich rozrywkom. Szedłem drogą mającą zaprowadzić mnie za granice miasta. Moją duszę mroziła szara wieczna zima. Zastanawiałem się, czy żałuję upadku Roumu? Czy raczej utraty Avlueli? A może rzecz była wyłącznie w tym, że minął czas trzech kolejnych Straży i jak nałogowiec miałem objawy odstawienia?

Uznałem, że cierpię ze wszystkich trzech powodów, ale najbardziej z tego ostatniego.

Po drodze do bram miasta nie dostrzegłem nikogo. Strach przed nowymi panami trzymał Rouman w ukryciu. Od czasu do czasu w jedną lub drugą stronę przejeżdżał pojazd obcych, jednak nikt mnie nie zaczepiał. Późnym popołudniem dotarłem do zachodniej bramy miasta. Była otwarta, zobaczyłem przed sobą łagodne wzgórza porośnięte drzewami o ciemnozielonych koronach, a kiedy przez nią przeszedłem, także postać Pielgrzyma powoli oddalającego się od Roumu.

Dogoniłem go bez problemu.

Szedł nierównym tempem, stawiał kroki z wahaniami, i to wydało mi się niezwykle, bowiem nawet gruba, brązowa pielgrzymia szata nie była w stanie ukryć jego siły, mocnej budowy, młodości. Szedł wyprostowany, nie garbił się, widziałem, jak szerokie ma ramiona, a mimo to jego krok był krokiem starca. Dopiero kiedy się z nim zrównałem i zajrzałem pod kaptur, zobaczyłem przymocowany do maski, którą nosili wszyscy Pielgrzymi, rewerberator, taki, jakim posługują się ślepcy, ostrzegający przed przeszkodami na drodze i innymi niebezpieczeństwami.

– Jestem niewidomym Pielgrzymem – powiedział, gdy wyczuł moją obecność. – Błagam, byś mnie nie napadał.

Nie mówił jak Pielgrzym, głos miał silny, surowy, rozkazujący.

– Nie napadam na nikogo – odparłem. – Jestem Strażnikiem. Tej nocy straciłem zawód.

– Tej nocy wielu straciło zawód, Strażniku.

– Ale nie Pielgrzymi.

– Nie – zgodził się ze mną. – Nie Pielgrzymi.

– Dokąd idziesz?

– Uciekam z Roumu.

– Nie obrałeś kierunku pielgrzymki?

– Nie. Powędruję przed siebie.

– Być może moglibyśmy powędrować razem – zaproponowałem. Towarzystwo Pielgrzyma w drodze przynosiło szczęście, a ja, pozbawiony Lataczki i mego Odmieńca, pozostałem sam. – Zmierzam do Perrisa. Będziesz mi towarzyszył?

– Mogę ci towarzyszyć wszędzie – powiedział Pielgrzym z goryczą. – Oczywiście. Możemy iść razem. Do Perrisa. Ale... jaki interes może tam mieć Strażnik?

– Strażnik nie ma żadnego interesu nigdzie. Zamierzam oddać się w służbę Pamiętającym.

– Ach! Byłem członkiem i tej gildii, choć honorowym.

– Teraz, kiedy Ziemia upadła, chcę dowiedzieć się więcej o Ziemi w jej chwale.

– Czyżby upadła Ziemia, a nie tylko Roum?

– Tak mi się zdaje.

– Ach... – mruknął Pielgrzym. – Ach.

Umilkł. Ruszyliśmy przed siebie. Pozwoliłem ująć się pod ramię, więc Pielgrzym nie szurał już nogami, szedł różnym krokiem młodego mężczyzny. Od czasu do czasu wzdychał, a może był to stłumiony szloch? Pytałem o szczegóły jego pielgrzymek, odpowiadał wymijająco albo wcale nie odpowiadał.

Po dobrej godzinie, gdy znaleźliśmy już wśród drzew, zatrzymał się nagle.

– Maska sprawia mi ból – oznajmił. – Pomożesz mi ją dopasować?

I ku mojemu zdumieniu zaczął zdejmować maskę. Westchnąłem z zaskoczenia, bo przecież Pielgrzymom nie wolno pokazywać twarzy. Czyżby zapomniał, że nie jestem ślepcem?

– Nie spodoba ci się to, co zobaczysz – ostrzegł mnie.

Brązowa siatka zsunęła się z czoła. Odkryła najpierw oczy, niedawno oślepione, ohydne dziury niebędące dziełem chirurgicznego skalpela, raczej ostrych pazurów, które w nie wniknęły, a potem ostry królewski nos i wreszcie skrzywione, zaciśnięte cienkie wargi Księcia Roumu.

– Wasza Wysokość! – krzyknąłem.

Na policzkach księcia pozostały ślady świeżo zaschniętej krwi. Wokół pustych oczodołów dostrzegłem smugi smarowidła. Chyba nie czuł bólu, stłumiły go te zielone pasma, za to ból, który przeszył me ciało, był bardzo prawdziwy i bardzo mocny.

– Już nie Wysokość. Pomóż mi z maską. – Wyciągnął ją ku mnie, ręce mu drżały. – Uchwyty trzeba poszerzyć, tutaj i tutaj.

Za mocno zaciskają się na policzkach...

Szybko dokonałem poprawek. Wolałem oszczędzić sobie widoku tej zniekształconej twarzy.

Księżę założył maskę.

– Teraz jestem Pielgrzymem – powiedział cicho. – Roum nie ma księcia. Możesz mnie zdradzić, Strażniku, jeśli taka jest twoja wola, lecz jeśli nie, pomóż mi dotrzeć do Perrisa, a kiedyś, gdy odzyskam władzę, zostaniesz hojnie wynagrodzony.

– Nie jestem zdrajcą.

Szliśmy dalej, w milczeniu. Nie potrafiłem prowadzić zwykłej rozmowy z księciem. Czekala nas trudna wędrówka do Perrisa, ale postanowiłem już, że zostanę jego przewodnikiem. Pomyślałem o Gormonie, o tym, jak doskonale dotrzymał danego sobie słowa. Myślałem też o Avlueli, bardzo wiele razy na końcu języka miałem pytanie, co w nocy porażki stało się z dziewczyną, z którą związał się upadły władca, ale go nie zadałem.

Zapadał zmierzch, lecz złotoczerwone słońce ciągle wisiało przed nami, na zachodnim horyzoncie. Zatrzymałem się nagle. Padł na nas cień. Z głębi gardła wydarł mi się ochryply okrzyk zdumienia.

Wysoko, wysoko na niebie leciała Avluela. Jej skóra miała barwę zachodu słońca, a skrzydła, rozwinięte w całej ich wspaniałości, skrzyły się wszystkimi barwami tęczy. Już wzniosła się na wysokość równą wzrostowi co najmniej stu mężczyzn i nadal się wznosiła, w jej oczach mogłem być zaledwie nierozpoznawalnym punkcikiem między drzewami.

– Co się stało? – spytał księżę. – Co widzisz?

– Nic.

– Powiedz mi, co widzisz!

Nie zdołałbym oszukiwać go dłużej.

– Widzę Lataczkę, Wasza Wysokość. Smukłą dziewczynę. Bardzo wysoko.

- Więc musiała nadejść noc.
- Nie – powiedziałem. – Słońce nadal jest nad horyzontem.
- Jak to? Przecież ma skrzydła nocy. Słońce rzuciłoby ją na ziemię.

Zawahałem się. Nie, nie mogę powiedzieć mu, jak to się stało, że Avluela lata w blasku zachodzącego słońca. Nie mogłem powiedzieć Księżciu Roumu, że obok niej, bezskrzydły, leciał najeźdźca Gormon, że poruszał się swobodnie w powietrzu, że obejmował ramieniem jej drobne ramiona, że ją wspierał i unosił, że pomagał jej oprzeć się ciśnieniu słonecznego wiatru. Nie mogłem powiedzieć Księżciu Roumu, że jego kat lata swobodnie w towarzystwie jego ostatniej kobiety.

- No i? – spytał Książę władczo. – Jak może latać w dzień?
- Nie wiem – skłamałem. – Dla mnie to tajemnica. Wiele jest ostatnio rzeczy pozostających dla mnie tajemnicą.

Książę chyba to zaakceptował.

- Masz rację, Strażniku. Wiele jest rzeczy pozostających dla nas tajemnicą.

I znów zapadła cisza. Bardzo chciałem zawołać Avluełę, ale wiedziałem też, że nie może i nie powinna mnie usłyszeć, szedłem więc ku zachodzącemu słońcu, ku Perrisowi, prowadząc ślepego Księcia. A nad naszymi głowami, wysoko na niebie, Avluela i Gormon latali wyraźnie widoczni na tle nieba o zachodzie, aż wzlecieli tak wysoko, że straciłem ich z oczu.

część druga

Wśród Pamiętających

Niełatwa jest wędrówka z upadłym księciem. Stracił oczy, lecz zachował dumę, ślepotą nie nauczyła go pokory, nosił szaty i maskę Pielgrzyma, ale jego dusza nie szukała spokoju i nie prosiła o łaskę. Nawet ukryty za maską nadal uważał się za Księcia Roumu.

Byłem całym jego dworem tej wczesnej wiosny, na drodze do Perrisa. Wiodłem go właściwymi drogami, na rozkaz opowiadałem mu – dla rozrywki – o mych licznych podróżach, wspierałem go w chwilach gorzkiego zwątpienia. W zamian nie dostałem niemal nic, właściwie tylko pewność, że będę regularnie jadł. Nikt nie odmawia posiłku Pielgrzymowi, w każdej mijanej wiosce wstępowaliśmy więc do gospody, gdzie karmiono go i przy okazji także mnie, jego towarzysza. Pewnego razu, na samym początku drogi, książę popełnił błąd. Zwrócił się do gospodarza z wyniosłym: „Dopilnuj, by i mój sługa został nakarmiony”. Ślepiec nie widział twarzy skrzywionej w wyrazie zdumienia – bo skąd u Pielgrzyma sługa? I po co? – ja zaś tylko uśmiechnąłem się, postukałem w czoło; zrozumiano mnie właściwie i zostaliśmy obsłużeni bez dyskusji. Potem, w drodze, wyjaśniłem księciu, jaki popełnił błąd. Zostałem „towarzyszem”, ale wiedziałem, że tak naprawdę dalej jestem sługą i nikim więcej.

Pogoda nam dopisywała. W Eyropie z nowym rokiem robiło się coraz cieplej. Rosnące wzdłuż drogi smukłe wierzby i topole zieleniły się wesoło, choć niewiele ich było; pobocza traktów wychodzących z Roumu w pod każdym względem barwnym

Drugim Cyklu obsadzono przede wszystkim roślinami z gwiazd, których ostre niebieskie liście z łatwością opierały się żalonym ziemskim zimom. Ptaki wracały ze swych zimowych stanowisk, z ciepłej Afreeki. Przemykały nam nad głowami, śpiewały, dyskutowały zawzięcie o nowych władcach Ziemi.

– Wyśmiewają mnie – powiedział książę pewnego dnia o poranku. – Śpiewają dla mnie, ale nie pozwalają mi zobaczyć swych barw w całym ich bogactwie.

Och, jaki był zgorzkniały... i nie bez powodu. Ten, kto ma wszystko i wszystko traci, wie, co opłakuje. Dla mnie klęska Ziemi oznaczała tylko zmianę przyzwyczajień. Nie musiałem już trzymać Straży, ale nadal wędrowałem po świecie, nadal sam, choć teraz miałem przecież towarzysza.

Od czasu do czasu zadawałem sobie pytanie, czy książę wie, dlaczego został oślepiiony. Czy w chwili tryumfu Gormon ujawnił, że przyczyną jego kalectwa jest coś tak prostego, wręcz prostackiego, jak zazdrość o kobietę? Mógł mu przecież powiedzieć: „Wziąłeś Avluelę. Zobaczyłeś małą Lataczkę, uznałeś, że może cię zabawić, więc powiedziałeś »chodź, dziewczyno, do mojego łóżka«. Nie pomyślałeś o niej jako o osobie. Nie pomyślałeś, że może chceć innego. Myślałeś jak władca wielkiego Roumu, którym byłeś. Po książęcemu. Zasłużyłeś sobie na to, książę”.

Rozstawione palce, wskazujący i środkowy. Długie szpony, szybkie pchnięcie i...

Nie ośmieliłem się pytać, przynajmniej tyle szacunku budził we mnie władca strącony z tronu. Ingerować w prywatność, prowokować rozmowę o popełnionych błędach i o nieszczęściach, niczym ze zwykłym towarzyszem wędrowki... nie, na to nie było mnie stać. Odpowiadałem, kiedy zadawał pytanie. Odzywałem się, kiedy tego ode mnie zażądał. Poza tym trzymałem język za zębami, jak przystało dobremu poddanemu przed obliczem pana.

A każdy kolejny dzień okazywał nam, że Księżę Roumu niczym już nie włada.

Wysoko nad naszymi głowami przelatywali zwycięzcy, niektórzy w lataczach i rydwanach, inni o własnych siłach. Niebo aż się od nich roiło. Nowi panowie poznawali zasoby swego świata. Przesuwały się po nas ich cienie, małeńkie zaćmienia słońca; podnosiłem wówczas głowę, patrzyłem na nich, lecz, co dziwne, nie czułem gniewu, a wyłącznie ulgę, że skończyło się wreszcie długie oczekiwanie. Księżę oczywiście reagował inaczej. Skądś zawsze wiedział, że przelatuje nad nami najeźdźca. Zaciskał wówczas dłonie w pięści, krzywił twarz, szeptał straszne przekleństwa. Czyżby nerwy wzrokowe rejestrowały ruchome cienie? A może inne zmysły ślepcy wyostrzyły się tak, że słyszał niesłyszalny szum ich mechanicznych lataczy, czuł zapach obcej skóry? Nie pytałem. Prawie w ogóle nie zadawałem pytań.

Były takie noce kiedy pewny, że śpię, płakał. Bardzo go wówczas żałowałem. To smutne, kiedy traci wszystko ktoś tak młody jak on. W owych mrocznych godzinach nauczyłem się, że księżę nawet szlochał inaczej niż zwykli ludzie: gniewnie, wojowniczo, wyzywająco. A jednak szloch jest szlochem.

Mimo wszystko przez większość czasu zachowywał stoicki spokój, jak człowiek pogodzony ze stratą. Szedł obok mnie szybko, stawiając równe kroki; każdy kolejny oddalał go od jego Roumu, a zbliżał do Perrisa. Mnie jednak wydawało się czasami, że przez maskę siatki z brązu mógłbym zobaczyć jego zważoną duszę. Narastający pod nią bezradny gniew szukał sobie ujść w drobnych złośliwościach. Kpił z mego wieku, niskiej pozycji społecznej, z pustki życia, które wiodłem teraz, gdy po przybyciu najeźdźcy Straż straciła sens.

– Powiedz, jak masz na imię, Strażniku.

– Nie wolno mi ujawniać imienia, Wasza Wysokość.

– Stare prawa już nie obowiązują. Pojmij wreszcie, człowieku, że czeka nas wiele miesięcy wspólnej wędrówki. Przez cały ten czas mam cię nazywać Strażnikiem?

– Taki jest obyczaj mej gildii.

– Zwyczajem mej gildii jest wydawanie rozkazów, które należy wykonać. Twe imię!

– Nawet Dominator nie pozna imienia Strażnika bez uzasadnionego powodu i pisemnej zgody cechmistrza.

Książę splunął.

– Szakalu! Wypowiadasz mi posłuszeństwo, gdy upadłem tak nisko? Gdybyśmy byli teraz w pałacu, nie ośmieliłbyś się sprzeciwić mej woli!

– W pałacu, Wasza Wysokość, nie ośmieliłbyś się postawić mi tego pytania dla kaprysu, nie przed dworem. Dominatorzy też mają obowiązki, a jednym z nich jest szacunek dla zasad obowiązujących w pomniejszych gildiach.

– On mnie uczy – powiedział książę.

Zirytowany padł na ziemię. Leżąc na porośniętym trawą łagodnym zboczku, wyciągnął rękę, zerwał ostre liście jednego z gwiazdnych drzew, zacisnął je w dłoni, choć musiały kłóć go boleśnie.

Przystanąłem obok niego. Minął nas ciężki pojazd, pierwszy dzisiejszego ranka na pustej do tej chwili drodze. Jechali nim najeżdźcy. Kilku z nich pomachało do nas.

– Ja mam na imię Enric – powiedział książę po długiej chwili milczenia głosem spokojnym, niemal kuszącym. – A ty?

– Błagam cię, byś mnie więcej nie męczył, Wasza Wysokość.

– Przecież poznałeś moje, a mnie nie wolno go było ujawnić, tak jak tobie nie wolno ujawnić swojego!

– Ja cię o nic nie pytałem.

Opierałem mu się do końca. Nie było to wielkie zwycięstwo, odmówić żądaniu bezsilnego władcy, a zapłaciłem za ten sprzeciw setką drobnych szykan. Książę dręczył mnie,

strofował i marudził, kpił, przeklinał i poniżał w każdy dostępny mu sposób. Mówił z pogardą o mojej gildii. Kazał mi wykonywać najprostsze czynności, jak słudze. Smarowałem jego metalową maskę, czyściłem maściami rany twarzy, świadczyłem mu usługi zbyt poniżające, by chciało się je pamiętać. I tak wędrowaliśmy drogą do Perrisa, stary człowiek o jałowej duszy i młody, którego duszę wyjałowiono, nienawidzący się nawzajem, a jednak związani ze sobą obowiązkami i potrzebami wędrowców.

Był to bardzo trudny czas. Musiałem radzić sobie z jego zmiennymi humorami, bo książę to szybował na kosmicznych wysokościach, snując plany uwolnienia Ziemi, to popadał w otchłanie rozpaczy, dochodząc do nieuniknionego wniosku, że jej podbój jest ostateczny. W wioskach, przez które przechodziliśmy i w których się zatrzymywaliśmy, musiałem bronić go przed jego własną popędliwością, zdarzało mu się bowiem zachowywać tak, jakby nadal był księciem Roumu, wydającym rozkazy i oczekującym, że zostaną wykonane natychmiast. Bywało, że nawet policzkował tego i owego, co z całą pewnością nie pasowało do wizerunku świętego męża. Co gorsza, musiałem także dbać o zaspokajanie żądz jego ciała. Kupowałem mu więc kobiety, które przychodziły do niego w ciemności, nieświadome tego, że obcują z kimś, kto podaje się za Pielgrzyma. Książę rzeczywiście był fałszywym Pielgrzymem, nie niósł bowiem ze sobą klejnotu gwiazd, który prawdziwym Pielgrzymom pozwalał na osiągnięcie komunii z Wolą. Jakimś cudem wyciągałem go ze wszystkich kłopotów, udało mi się to nawet wtedy, kiedy spotkaliśmy na drodze innego Pielgrzyma, jak najbardziej autentycznego. Był to wspaniały starzec, pełen teologicznego zapachu, zawsze gotów do dyskusji.

– Podejdz i opowiedz mi o immanentyzmie Woli! – poprosił, a książę, któremu tego popołudnia zbywało na cierpliwości,

zaklął obrzydliwie.

Kopnąłem go w pieszczel mocno, choć tak, by nie rzucało się to w oczy, a wstrząśniętemu Pielgrzymowi wyjaśniłem:

– Nasz przyjaciel źle się dziś czuje. Wczoraj wieczorem podczas komunii z Wolą doznał objawienia, które wstrząsnęło jego umysłem. Błagam cię, pozwól nam odejść i nie mów mu o świętości, póki znów nie stanie się sobą.

Improwizowałem tak przy różnych okazjach. Dzięki temu mogliśmy posuwać się w wędrownce.

Charakter księcia łagodniał w miarę, jak robiło się coraz cieplej. Być może czas godził go z doznaną klęską, a może, uwięziony w ciemnej celi ślepej czaszki, uczył się taktyki przetrwania w tak niezwykle innym życiu. Niemal obojętnie mówił teraz o sobie, o swym upadku, o upokorzeniu, które go spotkało. Wspominał o posiadanej niegdyś władzy w sposób niepozostawiający wątpliwości, że nie spodziewa się jej odzyskać. Mówił tak o swych bogactwach, o kobietach, klejnotach i dziwnych maszynach, o swych Odmieńcach, Muzykach i Sługach, o kłękających przed nim Panach i nawet innych Dominatorach. Nie, nie mogę powiedzieć, żebym go polubił, ale w owych chwilach uświadamiałem sobie, że sztywna maska osłania twarz cierpiącego człowieka.

W końcu we mnie też zobaczył człowieka. Wiem, że drogo go to kosztowało.

– Problem władzy polega na tym, Strażniku – oznajmił mi pewnego dnia – że władza odgradza od ludzi. Stają się rzeczami. Weźmy na przykład ciebie. Dla mnie byłeś wyłącznie maszyną, której zadaniem jest ostrzec nas przed inwazją. Podejrzewam, że miałeś swe marzenia i ambicje, że odczuwałeś gniew i tak dalej, ale ja widziałem w tobie wysuszonego starca, nieistniejącego poza gildią wraz z obowiązkami, które na niego nakładała. Teraz, oślepiiony, widzę więcej, niż widziałem wtedy.

– Co takiego widzisz?

– Kiedyś byłeś młody, Strażniku. Miałeś swoje miasteczko i kochałeś je. Miałeś rodzinę, może nawet przyjaciółkę? Potem wybrałeś gildię, albo ktoś wybrał ją dla ciebie, zostałeś uczniem, starałeś się, głowa cię bolała, ścisnął ci się żołądek, a w chwilach przygnębienia zastanawiałeś się pewnie, o co chodzi i po co to wszystko. Mijaliśmy cię wielokrotnie, my, Panowie, Dominatorzy i było tak, jakby obok ciebie przeleciała kometa. A teraz jesteśmy razem. Wielka fala rzuciła nas na drogę do Perrisa. Który z nas jest szczęśliwszy?

– Nie odczuwam już szczęścia ani smutku.

– Doprawdy? Doprawdy? Czy też kryjesz się tylko za tymi słowami? Powiedz mi jedno, Strażniku... wiem, że twoja gildia zabrania ci się żenić, ale czy kiedyś kochałeś?

– Więcej niż raz.

– Czy jesteś zdolny do miłości?

– Jestem stary – powiedziałem wymijająco.

– Ale nadal zdolny do miłości. Możesz kochać. Zasady gildii już ci nie ciążyą. Możesz znaleźć sobie partnerkę.

Musiałem się roześmiać.

– A która by mnie chciała? – spytałem.

– Nie mów tak. Nie jesteś zbyt stary. Masz zalety: widziałeś świat, rozumiesz, jak funkcjonuje. W Perrisie będzie wiele dziewcząt...Kusiło cię to kiedyś, gdy wiązały cię śluby?

W tym momencie przemknęła nad nami Lataczka. Była nią kobieta w średnim wieku, unosząca się w powietrzu z pewnym trudem, bo pozostało jeszcze tyle światła dnia, by wyrzucić nacisk na jej skrzydła. Serce mi drgnęło. Jakże pragnąłem odpowiedzieć księciu: „Tak, tak, kusiło mnie, nie tak dawno była przy mnie młodzieńca Lataczka, dziewczyna, jeszcze dziecko. Avluela. Kochałem ją, na swój sposób, choć nigdy jej nie dotknąłem. Nadal ją kocham”.

Nie powiedziałem o tym księciu Enricowi. Milczałem. Ale nie spuszczałem wzroku z Lataczki, wolnej – w odróżnieniu ode

mnie – bo mającej skrzydła. Poczułem, jak w ten ciepły wiosenny wieczór ogarnia mnie chłód strasznej samotności.

– Daleko do Perrisa? – spytał mnie książę.

– Idziemy – odparłem. – I pewnego dnia dojdziemy na miejsce.

– Co potem?

– Ja zostanę uczniem gildii Pamiętających. Czeka mnie nowe życie. A ciebie, Książę?

– Mam tam przyjaciół.

Szliśmy przed siebie, godzina za godziną. Zdarzało się, że ktoś przystawał, proponował, że nas podwiezie, ale odmawiałem. Najeźdźcy ustawili punkty kontrolne, z pewnością szukali takich jak książę uciekających arystokratów. Przeszliśmy przez tunel długi na wiele mil, pod górami sięgającymi nieba, o wierzchołkach pokrytych lodem, znaleźliśmy się na żyznej rolniczej równinie. Przystawaliśmy na brzegach uwolnionych od lodu rzek, chłodząc stopy w ich nurcie. Lato budziło się wokół nas, nabierało barwy złota. Przemierzaliśmy świat, ale nie należeliśmy do tego świata, nie słuchaliśmy informacji o podboju, choć i dla nas było jasne, że najeźdźcy przejęli władzę nad całą Ziemią. Niebo było dosłownie usiane małymi pojazdami, z których oglądali nasz świat będący już ich światem.

Poddawałem się księciu we wszystkich sprawach, także tych nieprzyjemnych. Usiłowałem uczynić jego życie choć odrobinę mniej nieznośnym. Dzięki mnie mógł łudzić się, że nadal rządzi, choćby i jednym bezużytecznym Strażnikiem. Nauczyłem go też, jak najlepiej udawać Pielgrzyma. Sam wiedziałem niewiele, ale udzieliłem mu wskazówek, jak powinien chodzić, mówić, odprawiać modły. Wydawało się oczywiste, że, gdy jeszcze rządził, niewiele czasu spędził w kontakcie z Wolą. Teraz deklarował wiarę, ale nieszczerze. Dla niego wiara była tylko kamuflażem.

W mieście o nazwie Dijon powiedział: „Tu kupię oczy”.

Nie prawdziwe oczy. Sekret wytwarzania takich zastępników znikł z końcem Drugiego Cyklu. Gdzieś, wśród szczęśliwszych gwiazd, wszystko można dostać za pieniądze, ale Ziemia to przecież zapomniany, prowincjonalny światek. Książę – jako książę – mógł polecieć po protezy nawet tam, tak daleko, ale teraz dostępne mu były tylko takie, które umieją odróżnić światło od ciemności i niewiele więcej. Niemniej i one byłyby zmianą na lepsze, bo w tej chwili dysponował wyłącznie rewerberatorem sygnalizującym przeszkody na drodze. Tylko skąd wie, że właśnie w Dijon znajdzie rzemieślnika z odpowiednimi kwalifikacjami? I czym zamierza mu zapłacić?

– Mieszka tu brat jednego z moich Skrybów – powiedział książę, kiedy go o to spytałem. – Jest dobrym Rzemieślnikiem, jeszcze w Roumie kupowałem wiele jego dzieł. Będzie miał dla mnie oczy.

– A zapłata?

– Dysponuję odpowiednimi środkami.

Zatrzymaliśmy się na polu porośniętym powykręcanymi drzewami korkowymi. Książę zrzucił szaty Pielgrzyma. Wskazał palcem mięsistą część uda.

– Mam tu pewną sumę, rezerwę na nieprzewidziane wypadki – powiedział. – Daj mi nóż.

Wziął go ode mnie, przycisnął wybrzuszenie na rękojęści. Pojawił się krótki, cienki promień bardzo jasnego światła. Lewą ręką książę macał udo, jakby szukał jakiegoś szczególnego miejsca, a potem naciągnął ciało palcami, wykonał precyzyjne dwucalowe cięcie. Nie krwawiło, a także nie widać było, by sprawiło mu jakikolwiek ból. Patrzyłem zdumiony, jak sięga w głąb, jak grzebie w nodze jak w worku. Odrzucił nóż w moją stronę.

Z jego uda posypały się skarby.

– Pilnuj, żeby nic nie zginęło – rozkazał.

Na trawę upadło siedem lśniących klejnotów pozaziemskiego pochodzenia, mała, artystycznie wykonana kula niebieska, pięć pochodzących sprzed wielu cykli złotych monet imperialnego Roumu, pierścień ozdobiony kroplą nibyżycia, buteleczka jakichś nieznanych mi perfum, kilka miniaturowych instrumentów muzycznych zrobionych z cennego drewna i metali, osiem posążków przedstawiających godne, królewskie postaci oraz kilka innych drogocennych przedmiotów. Zgarnięte na kupkę świeciły jasnym, odbitym światłem.

– Nadkieszeń – powiedział chłodno książę. – Zręczny chirurg wszczepił mi ją wprost w ciało. Przewidziałem, że pewnego dnia może zacząć się kryzys, że będę musiał opuścić pałac bez zwłoki. Umieściłem w niej co mi wpadło w ręce; tam, skąd pochodzą te drogocенności, jest ich znacznie więcej. Powiedz mi, powiedz mi natychmiast, co widzisz!

Opowiedziałem mu dokładnie, co wydobył z nadkieszeni. Wysłuchał mnie do końca, z uwagą. Nie zdołał ukryć napięcia, zorientowałem się więc, że doskonale wiedział, co wydobył, i tylko sprawdzał mą uczciwość. Skończyłem wyliczankę, a on z satysfakcją skinął głową.

– Weź kulę, pierścień i dwa najjaśniejsze klejnoty – polecił mi. – Schowaj je przy sobie. Reszta wraca na miejsce.

Rozchylił krawędzie cięcia. Wrzucił w otwór klejnoty, jeden po drugim; dołączyły do cudów, które przechowywał w innym wymiarze, łączącym się z naszym przez jego książęce ciało. W udzie mógł równie dobrze trzymać wszystko to, co kiedyś wypełniało jego pałac. Kiedy skończył, ścisnął palcami krawędzie rozcięcia. Zrosło się w jednej chwili, nie pozostawiając śladu. Odział się w pielgrzymie szaty.

W miasteczku bez problemu znaleźliśmy warsztat Borda Rzemieślnika. Był to niski, przysadzisty mężczyzna o gruzłowatym nosie, pocętkowanej twarzy i siwiejącej brodzie. Mrugał jednym okiem, taki miał tik, ale jego ręce były delikatne,

niemal kobiece. Warsztat, mroczny, ze ścianami, na których wisiały zakurzone drewniane półki, mógł mieć i tysiąc lat. Na wystawie leżało kilka sztuk towaru wyglądającego bardzo elegancko i o wiele więcej towaru dalekiego od elegancji. Rzemieślnik przyglądał się nam podejrzliwie. Widać było, że nie ma pojęcia, czego Pielgrzym i Strażnik szukają w jego warsztacie.

Księżę trącił mnie, to ja miałem prowadzić rozmowę.

– Mój przyjaciel potrzebuje oczu – powiedziałem.

– Robię oczy, to prawda. Ale są drogie, a praca przy nich trwa wiele miesięcy. Nie stać na nie żadnego Pielgrzyma.

Położyłem jeden z klejnotów na wytartym kontuarze.

– Mam środki.

Bordo, wyraźnie wstrząśnięty, chwycił klejnot, obrócił go w palcach, zobaczył płonący w jego sercu ogień obcych światów.

– Jeśli przyjdziecie, kiedy liście zaczną opadać z drzew...

– Nie dysponujesz gotowymi oczami? – przerwałem mu.

Rzemieślnik tylko się uśmiechnął.

– Nie ma na nie popytu. Nie trzymamy wielkich zapasów.

Na kontuarze położyłem kulę niebieską. Bordo rozpoznał w niej dzieło mistrza. Szczeka mu opadła. Położył kulę na jednej ręce, drugą szarpał brodę. Pozwoliłem mu ją trzymać aż się w niej zakocha, a potem zabrałem.

– Nie możemy czekać do jesieni – oznajmiłem. – Będziemy musieli poszukać oczu gdzie indziej. Może w Perrisie?

– Chwileczkę! Pozwólcie mi przynajmniej sprawdzić! Chyba mam gdzieś jedną parę...

Rozpoczął gorączkowe poszukiwania w nadkieszeniach umieszczonych w tylnej ścianie warsztatu.

Oczywiście okazało się, że ma oczy. Targowaliśmy się o cenę, choć niezbyt długo, w końcu zapłaciłem za nie kulą, pierścieniem i jednym klejnotem. Księżę przez cały ten czas

zachowywał milczenie. Nalegałem, by oczy wszczepić natychmiast. Bordo, entuzjastycznie kiwając głową, zamknął warsztat, założył czapkę myśłówkę, po czym wezwał niezdrowo bladego Chirurga. Rozpoczęły się przygotowania do operacji. Księżę położył się na materacu w zamkniętym, sterylnym pokoju. Odłączył rewerberator, zdjął maskę. Bordo zobaczył jego twarz o ostrych rysach, znaną mu, bo przecież bywał na dworze w Roumie. Chrząknął zdumiony. Chciał coś powiedzieć, ale mocno kopnąłem go nogę, przywołałem do porządku, a Chirurg, nie mając pojęcia, kim jest jego pacjent, rozpoczął operację.

Oczy miały formę perłowoszarych kul, mniejszych od naturalnych, ludzkich. Przecinały je poprzeczne szczeliny. Jaki mechanizm znajdował się w środku, nie wiedziałem, widziałem tylko, że są wyposażone w maleńkie złote konektory do podłączenia nerwów. Podczas pierwszej części operacji Bordo asystował Chirurgowi, ja czuwałem, a księżę spał. Później trzeba było go obudzić. Ból wykrzywił mu twarz, lecz księżę opanował się tak szybko, że Bordo aż wypowiedział ciche słowa modlitwy, dowód, że determinacja pacjenta wywarła na nim wielkie wrażenie.

– Potrzebuję światła – powiedział Chirurg.

Rzemieślnik zbliżył unoszącą się w powietrzu kulę.

– Tak – westchnął pacjent. – Tak, widzę różnicę.

– Musimy wypróbować oczy. Musimy je ustawić.

Bordo wyszedł na zewnątrz, a ja poszedłem za nim. Widziałem, jak drży. Ze strachu był blady jak papier.

– Zabijecie nas? – spytał.

– Oczywiście, że nie.

– Widziałem twarz...

– Widziałeś twarz zwykłego biednego Pielgrzyma, któremu w trakcie pielgrzymki zdarzyło się straszne nieszczęście – powiedziałem. – Nic mniej. Ale i nic więcej.

Czas oczekiwania skracałem sobie, przeglądając towar wystawiony przez Rzemieślnika na sprzedaż. W końcu pojawili się obaj, Chirurg i jego pacjent. Księżę miał już założone sztuczne oczy, otoczone warstwą fałszywego ciała, którym dopasowano je do oczodołów. Z tymi tak wyraźnie sztucznymi organami twarzy wyglądał bardziej na maszynę niż człowieka, zwłaszcza że gdy poruszał głową szczeliny rozszerzały się i zwężały, a potem znowu rozszerzały, cicho i groźnie.

– Popatrz – powiedział.

Przeszedł przez pokój, wskazując stojące w nim przedmioty, a niektóre nawet nazywając. Wiedziałem, że widzi je niczym przez gęstą siatkę, ale przynajmniej coś widział.

Założył maskę. Opuściliśmy Dijon przed nadejściem nocy. Księżę wydawał się niemal radosny, lecz bardzo szybko przekonał się, że to coś, czym się teraz posługiwał, było tylko nędzną imitacją tego, co odebrał mu Gormon. Nocą, kiedy leżeliśmy już na nieświeżych łóżkach schronienia dla Pielgrzymów, krzyczał z wściekłości. Przy zmiennym świetle prawdziwego księżyca i dwóch fałszywych widziałem, jak unosi rękę, jak zgina palce, jak paznokciami próbuje szarpać ciało nieistniejącego wroga, raz za razem, raz za razem.

Do Perrisa dotarliśmy pod koniec lata. Weszliśmy do miasta od południa, szeroką, dobrze zachowaną drogą, po obu stronach której stały prastare drzewa. Jesienny deszcz padał na nas drobnymi, gęstymi kroplami, porywy wiatru przewiewały opadłe z drzew, zeschnięte liście. Ten straszny dzień, kiedy obaj, przerażeni, uciekliśmy z podbitego Roumu, dziś wydawał się tylko koszmarem, wiosna i lato, spędzone w drodze, uczyniły nas twardszymi, a szare wieże Perrisa niosły obietnicę nowego początku. Podejrzewam, że oszukiwaliśmy się, bo co świat może dać upadłemu Księciu widzącemu tylko cienie i Strażnikowi, o wiele za staremu, by coś zacząć?

Perris okazał się miastem mroczniejszym od Roumu. Nawet późną zimą niebo nad Roumem było czyste, a słońce świeciło jasno, Perris zaś wydawał się nieodmiennie mglisty i smutny. Jego gmachy wraz z ich otoczeniem sprawiały wrażenie surowych, a szare jak popiół mury miasta nie błyszczały odbitym światłem. Brama stała otworem. Za bramą siedział niedbale rozparty Wartownik. Zachowywał się jakby nas nie widział.

Spojrzałem na niego pytająco. W odpowiedzi tylko skinął głową.

- Wejdz, Strażniku – powiedział.
- Bez kontroli? – zdziwiłem się.
- To nic nie słyszałeś? Przed sześcioma nocami wszystkie miasta zostały uznane za wolne i otwarte. Rozkaz najeźdźców.

Bramy w ogóle się nie zamyka. Połowa Wartowników nie ma pracy.

– Myślałem, że najeźdźcy szukają wrogów. Z dawnej arystokracji.

– Rozstawili jakieś posterunki, ale nie tutaj. Nas nie zatrudniają. Miasto jest wolne, otwarte. Wchodźcie, proszę bardzo.

Weszliśmy, a kiedy mijaliśmy Wartownika, spytałem go:

– Więc co ty właściwie tu robisz?

– Przez czterdzieści lat pilnowałem tej bramy. Gdzie się podzieję?

Gestem przekazałem mu, że podzielam jego smutek.

I tak wraz z księciem wkroczyliśmy do Perrisa.

– Pięć razy wjeżdżałem tu przez południową bramę – powiedział książę. – Zawsze rydwanem, poprzedzany przez Odmieńców czyniących muzykę gardłami. Szliśmy nad rzekę, mijając starożytne budynki i pomniki, szliśmy tak aż do pałacu hrabiji Perrisa. Nocą zaś... nocą tańczyliśmy na platformach grawitacyjnych, wysoko nad miastem, oglądaliśmy balet Lataczy, zorza rozświetlała się dla nas z Wieży Perrisa. Wino, czerwone wino i kobiety w skąpych sukniach, różowe sutki piersi, słodkie uda. Kąpaliśmy się w winie, wiesz, Strażniku? – Uniósł rękę, wyprostował palec wskazujący, wskazał kierunek, ale niedokładnie. – Czy to Wieża Perrisa?

– Raczej ruiny miejskiej maszyny pogodowej – powiedziałem.

– Maszyna pogodowa to pionowa kolumna, a to, co widzę, ma szeroką podstawę i wąski wierzchołek, jak Wieża Perrisa.

– A ja widzę – powiedziałem bardzo łagodnie – pionową kolumnę wysokości co najmniej trzydziestu mężów, z brutalnie obłamanym szczytem. Wieża Perrisa nie stoi przecież tak blisko południowej bramy, prawda?

– Prawda. – Książę zaklął pod nosem. – Więc to jednak maszyna pogodowa, tak? Oczy Borda nie widzą aż tak dobrze?

Oszukiwałem się, Strażniku. Oszukiwałem sam siebie. Znajdź czapkę myśłówkę i sprawdź, czy hrabija uciekł.

Przez chwilę przyglądałem się jeszcze skruszonej kolumnie, szczątkach tego fantastycznego urządzenia, które w Drugim Cyklu ściągnęło na ludzi takie nieszczęścia. Próbowałem nawet przebić wzrokiem jej gładką, jakby zaolejoną marmurową ścianę, zobaczyć zwoje tajemniczych instalacji zdolnych zatopić kontynenty, a moją rodzinną górską krainę zmienić w łańcuch wysepek. Potem odwróciłem się, włożyłem myśłówkę, zapytałem o hrabiję, dostałem odpowiedź, której się spodziewałem i spytałem jeszcze o to, gdzie moglibyśmy zamieszkać.

– No i? – zniecierpliwił się Książę.

– Hrabija Perrisa zginął podczas podboju wraz ze wszystkimi swoimi synami. Dynastia wymarła, używanie tytułu hrabiji zostało zakazane, a w pałacu najeźdźcy urządzili muzeum. Znajdę ci miejsce w tawernie pielgrzymów.

– Nie. Zabierz mnie ze sobą do Pamiętających.

– Zamierzasz szukać pomocy tej gildii?

Książę niecierpliwie machnął ręką.

– Nie, głupcze! Ale nie zostanę sam w obcym mieście, pozbawiony przyjaciół. Co powiedziałbym Pielgrzymowi w ich schronieniu? Zostanę z tobą. Pamiętający nie odmówią gościny ślepemu Pielgrzymowi.

Nie dał mi wyboru. Poszedł ze mną do siedziby gildii Pamiętających.

Musieliśmy przemierzyć piechotą mniej więcej połowę miasta, zabrało nam to prawie cały dzień. Miałem wrażenie, że w Perrisie panuje chaos. Przybycie najeźdźców zniszczyło strukturę społeczeństwa, pozbawiło wielkie grupy ludzi życiowego celu. Część gildii po prostu przestała funkcjonować. Minęliśmy kilkudziesięciu Strażników. Niektórzy nadal pchali swe wózki, inni porzucili je jak ja i teraz nie bardzo wiedzieli,

co zrobić z rękami. Widoczne przybici poruszali się jak automaty, wielu wyglądało tak, jakby nie mogli przestać pić i szaleć teraz, kiedy dyscyplina już ich nie krępowała. Smutni, przygnębieni Wartownicy nie mieli czego pilnować, Obrońcy, pomniejszeni i oszołomieni, przegrali w walce i też nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Nie widziałem Panów i oczywiście nie widziałem także Dominatorów, za to w oczy rzucali się liczni Komedianci, Muzycy, Skryby i tak dalej, żyjący niegdyś na ich dworach. No i oczywiście wszędzie pełno było otępiałych bezpłciowców, nieruchawych, pogwałconych teraz, kiedy nikt nie korzystał z ich ciał. Tylko Sprzedawcy i Somnambulicy funkcjonowali jak zawsze.

Najeźdźcy nie ukrywali się przed ludźmi. Byli wszędzie, gdzie tylko spojrziałem, na każdej ulicy i uliczce. Spacerowali po dwóch, trzech, długonogie stworzenia, którym ręce zwisały niemal do kolan, o ciężkich powiekach, z nosami ukrytymi pod torebkami filtracyjnymi. Usta mieli pełne, a kiedy ich nie rozdzielali, stykały się, niemal nie pozostawiając śladu. W większości nosili identyczne szaty w kolorze ciemnej zieleni, być może mundury zbrojnych okupantów, choć widoczną broń miało niewielu i wydawała się ona dziwnie prymitywna, ciężka; wieszali ją na plecach. Poruszali się wśród nas, ludzi, pozornie swobodnie, bardzo pewnie, dzielni zwycięzcy, dumni, nieczujący zagrożenia ze strony podbitych, ale sam fakt, że zawsze widziało się w ich grupach, świadczył, że zachowywali czujność. Nie potrafiłem wzbudzić w sobie uczucia niechęci, nie przeszkadzała mi nawet arogancja, z jaką przyglądali się zabytkom Perrisa, jakby należały do nich od wieków, lecz Książę Roumu, dla którego wszystkie postaci były przecież tylko słupami szarości na tle jaśniejszej szarości, instynktownie wyczuwał ich bliskość. Reagował na nią milczącym gniewem, słyszałem jego oddech, szybki, urywany.

W oczy rzucał się także tłum gości z gwiazd, przedstawiciele setek przeróżnych gatunków. Niektórzy oddychali naszym powietrzem, inni zamykali się w hermetycznych kulach, używali małych piramidek oddechowych albo modelowanych kombinezonów. Oczywiście goście odwiedzali nas już wcześniej, ale nie w tak oszałamiającej liczbie. Byli dosłownie wszędzie, wchodzili do świątyń starych ziemskich religii, kupowali błyszczące modele Wieży Perrisa od stojących na rogach ulic Sprzedawców, wspinali się chwiejnie na wiszące przejścia, zaglądali przez okna do mieszkań, robili zdjęcia, wymieniali waluty u podejrzanych przekupniów, flirtowali z Lataczkami i Somnambuliczkami, ryzykowali życiem w naszych restauracjach, przechodzili grupami, z przewodnikiem, od jednej turystycznej atrakcji do drugiej. Zupełnie jakby najeźdźcy zdążyli się już zareklamować we wszystkich galaktykach: PRZYBYWAJCIE NA STARĄ ZIEMIĘ POD NOWYM KIEROWNICTWEM.

Przynajmniej naszym żebrakom zmiana władzy przyniosła prawdziwe szczęście. Zaświatowcom wiodło się kiepsko, goście skąpili im jałmużny, za to Ziemianom dawali ją podwójnie, za wyjątkiem Odmieńców, w których nie rozpoznawali tubylców. Na moich oczach rozczarowani tym mutanci występowali przeciw szczęśliwszym od nich, atakowali ich, bili, odbierali im datki, a turyści filmowali te sceny ku uciechu tych, którzy pozostali w swym galaktycznym domu.

I wreszcie dotarliśmy do domu cechowego Gildii Pamiętających. Był to budynek imponujący ogromem i taki też powinien być, skoro zawierał w sobie pamięć o całej historii naszej planety. Wznosił się, nieprawdopodobnie wręcz wysoko, na południowym brzegu Senny, dokładnie naprzeciw równie imponującego pałacu hrabiji. Siedziba nieżyjącego już władcy była jednak gmachem wiekowym, prawdziwie starożytnym, pochodzącym wręcz z Pierwszego Cyklu: długim, postawionym

na skomplikowanym planie, zbudowanym z szarego kamienia, z zielonym blaszanym dachem w tradycyjnym perriskim stylu, Gildia Pamiętających zaś mieściła się w pionowej lśniącej białej igle, gładkiej, pozbawionej okien, wokół której wiła się spirala złotego metalu, sięgająca od podstawy na poziomie ziemi do samego szczytu. Na zewnętrznej ścianie zapisano historię ludzkości. Górne zwoje pozostały puste. Z dużej odległości nie byłem w stanie odczytać inskrypcji, nie wiedziałem więc, czy Pamiętający pofatygowali się już zapisać na budynku swej gildii historię naszej ostatecznej klęski. Potem dowiedziałem się że nie, nie zapisali jej, opis kończył się wraz z końcem Drugiego Cyklu. Nie zrelacjonowali bardzo wielu wydarzeń, z których bardzo niewiele było dla nas szczęśliwych.

Zapadała noc. Perris, tak smutno odpychający w chmurny, deszczowy dzień, wypiękniał nagle niczym starszawa wdowa wracająca z Jorslemy odmłodzona, kwitnąca. Światła miasta swym jasnym, lecz miękkim blaskiem odmieniały stare szare budynki siłą prawdziwie magiczną, zacierały ich kontury, ukrywały brud wieków, a brzydotę czyniły poezją. Masywny, rozłożysty Pałac Hrabiji wyglądał teraz tak lekko, jakby przeniesiono go tu wprost z pięknej baśni. Wieża Perrisa, narysowana jasną kreską na tle ciemnego nieba, górowała nad nami niczym gigantyczny pająk, ale pająk urodziwy i pełen wdzięku. Czysta, biała siedziba gildii Pamiętających porażała pięknem, a złota spirala historii już nie godziła w jej szczyt, lecz raczej w serce patrzącego. Nadszedł też czas Lataczy Perrisa, unoszących się nad nami, tańczących swój niezwykły balet, ze skrzydłami rozpostartymi szeroko, by chwycić każdą drobinę przeciekającego ku nim z Ziemi światła. Widziałem ich smukłe ciała mknące ku horyzontowi. Jakże piękne były te genetycznie odmienione dzieci ziemi, szczęśliwi członkowie gildii wymagającej od nich tylko tego, by cieszyli się życiem. Nas, przykutych do ziemi, obdarzali pięknem, jej małe księżyce.

W powietrznym tańcu uczestniczyli także najeźdźcy. Latali mocą dla mnie niepojętą, przyciskając do ciała długie ramiona. Zauważyłem, że tych, którzy dzielą z nimi zabawę, Latacze nie uznają za wrogów, nie okazują im niechęci, że zaświatowców witają przychylnie i dają im miejsce w swym tańcu.

Wyżej, znacznie wyżej, na samym niebie, wirowały dwa fałszywe, ciemne, błyszczące księżycy, przesuając się jednocześnie z zachodu na wschód. Niżej, w atmosferze, rozbłyskiwały kule sterowanego światła, ozdoba, jak przypuszczałem, typowo perrisowska. Wiszące pod chmurami głośniki zalewały nas falą dźwięcznej muzyki. Słyszałem dobiegający z bliska śmiech młodej dziewczyny, czułem zapach musującego wina. Jeśli tak wygląda Perris podbity, pomyślałem, to jak wyglądał Perris czasów wolności?

– Jesteśmy już w Gildii Pamiętających? – spytał Księżę Enric ostro.

– Blisko – odpowiedziałem. – Gildia jest tam. To ta biała wieża.

– Wiem, jak wygląda, idioto! Ale... po zmierzchu gorzej widzę... to ten gmach tam?

– Wskazałeś pałac hrabiji, Wasza Wysokość.

– A więc tam?

– Tak jest.

– Dlaczego jeszcze nie weszliśmy do środka?

– Oglądam Perris. W życiu nie widziałem takiego piękna. Roum też jest ciekawy, ale w zupełnie inny sposób. Roum to cesarz, Perris to kurtyzana.

– Przemawia przez ciebie poezja, starcze.

– Młodnieję. Mógłbym tańczyć na ulicy. Słyszę śpiew miasta.

– Chodź. Idziemy. Przyszliśmy tu na spotkanie z Pamiętającymi. Miasto może pośpiewać ci później.

Westchnąłem. Poprowadziłem go ku wejściu do siedziby gildii. Przeszliśmy pomostem z jakiegoś czarnego lśniącego

kamienia, oświetlani promieniami białego światła, skanowani i nagrywani. Ogromne mahoniowe drzwi, szerokie na pięciu mężczyzn i wysokie na dziesięć, okazały się tylko iluzją; rozpoznałem ją, kiedy się do nich zbliżyliśmy, wyczułem ich głębię i rozmiar sklepionego przejścia. Przeszliśmy przez nie, poczułem delikatne ciepło, któremu towarzyszył dziwny zapach.

Znaleźliśmy się w przeogromnej sali niemal tak zdumiewającej rozmiarami, jak sala recepcyjna pałacu Księcia Roumu, białej, zbudowanej z kamienia promieniującego światłem docierającym do najdalszych jej zakątków. Drzwi po prawej i po lewej stronie prowadziły głębiej w trzewia wielkiego gmachu. Choć nadeszła noc, przy tylnej ścianie widać było ludzi korzystających z ekranów i z myślówek, dających dostęp do największej biblioteki wiedzy gildii Pamiętających. Uderzyło mnie, że wśród zainteresowanych odpowiedziami na pytania o przeszłość ludzkości jest wielu najeźdźców.

Przemierzaliśmy salę, słysząc stuk naszych własnych kroków na płytach podłogi.

Wśród zgromadzonych nie dostrzegłem żadnego prawdziwego Pamiętającego, podszedłem więc do jednego z punktów dostępu, założyłem myślówkę i poinformowałem zakonserwowany mózg, do którego się podłączyłem, że szukam Pamiętającego Basila, z którym zetknąłem się w Roumie.

– Cel spotkania?

– Mam ze sobą szal, który mi zostawił, gdy uciekał z Roumu.

– Pamiętający Basil powrócił do Roumu, by dokończyć zaplanowane badania. Dostał na to pozwolenie najeźdźców. Przyślę innego przedstawiciela gildii celem odebrania szala.

Nie musieliśmy długo czekać. Stanęliśmy przy tylnej ścianie sali. Przyglądałem się najeźdźcom, którzy musieli nauczyć się o nas tak wiele, kiedy zobaczyłem podchodzącego krępego mężczyznę o ponurej twarzy, kilka lat młodszego ode mnie, lecz

niemłodego. Szerokie ramiona okrywał mu ceremonialny szal jego gildii.

- Jestem Pamiętający Elegro – przedstawił się ceremonialnie.
- Chcę oddać ci szal Basila.
- Chodźcie ze mną.

Wyszedł do nas jakby wprost z obracającego się na trzpieniach fragmentu kamiennej ściany. Teraz uchylił ten sam fragment przed nami, po czym szybko poszedł korytarzem. Zawołałem za nim, że mój towarzysz jest niewidomy, że nie zdoła go dogonić. Zatrzymał się, nie kryjąc zniecierpliwienia; jego usta z opuszczonymi kącikami drżały, szarpał brodę krótkimi palcami. Podeszliśmy, a on ruszył przed siebie, ale już wolniej. Szliśmy krzyżującymi się, pozornie nieskończonymi korytarzami i wreszcie dotarliśmy do jego mieszkania, znajdującego się gdzieś wysoko.

Pokój był ciemny, pełen ekranów, myślówek, środków zapisu, pudełek głosowych i innych atrybutów jego specjalizacji. Ścianę osłaniała fioletowo-czarna tkanina, ewidentnie żywa, bowiem pulsowała rytmicznie. Trzy wiszące w powietrzu kule świeciły słabo.

- Szal.

Sięgnąłem do torby. Nosiłem szal Pamiętających przez kilka dni, zaraz po podboju, nawet mnie to bawiło. Uciekając, Basil sam zostawił mi w rękach oznakę swej gildii – nie zamierzałem mu jej przecież wyrywać – i raczej się tym nie przejął. Wkrótce zdjąłem go jednak i schowałem, bowiem Strażnik ustrojony w atrybut Pamiętającego prowokował tylko nieporozumienia. Elegro wyjął mi go z ręki i obejrzał dokładnie, jakby chciał się upewnić, że nie został zawieszony.

- Jak trafił w twoje ręce? – spytał.
- Spotkaliśmy się na ulicy, dokładnie w godzinie inwazji. Basil był bardzo poruszony. Próbowałem go uspokoić, lecz wyrwał mi się, pozostawiając szal.

- On zrelacjonował to inaczej.
- Bardzo mi przykro, że zarzucam kłam jego relacji.
- W każdym razie zwróciłeś mu szal. Jeszcze dziś przekażę wieść o tym do Roumu. Oczekujesz nagrody?
- Tak – przyznałem.
- Jakiej? – Elegro nie ukrywał, że moja odpowiedź go rozczarowała.
- Dopuszczenia do gildii Pamiętających jako ucznia. Zaskoczyłem go.
- Przecież należysz do gildii! – zaprotestował.
- Dziś być Strażnikiem oznacza być partaczem. Na cóż komuś jakieś Strażowanie.
- Być może. Ale jesteś stary...
- Nie jestem za stary.
- Nasza gildia należy do najbardziej wymagających.
- Jestem gotów ciężko pracować. Chcę się uczyć. Na stare lata obudziła się we mnie ciekawość.
- Zostań Pielgrzymem jak twój przyjaciel. Poznaj świat.
- Świat już poznałem. Chcę dołączyć do Pamiętających, poznać jego przeszłość.
- Tam, na dole, nie brakuje punktów dostępowych. Czekają na ciebie, Strażniku.
- To nie to samo. Przyjmijcie mnie.
- Zostań uczniem u Rejestratorów – zaproponował Elegro. – Zajmują się podobnymi sprawami, lecz ich praca nie jest aż tak wymagająca.
- Chcę zostać uczniem Pamiętających.

Elegro westchnął ciężko, splótł palce, pochylił głowę, zacisnął wargi. Bez wątpienia znalazł się w sytuacji zupełnie dla niego nowej. Kiedy tak się zastanawiał, przez wewnętrzne drzwi do pokoju weszła kobieta, Pamiętająca, niosąc w złożonych dłoniach turkusową kulę muzyczną. Po kilku krokach

zatrzymała się, wyraźnie zaskoczona obecnością gości. Skinęła głową przepraszająco.

– Przyjdę później – oznajmiła.

– Zostań – poprosił Elegro. – To moja żona, Pamiętająca Olmayne – przedstawił kobietę mnie i Księciu, po czym zwrócił się do niej. – Ci podróżni właśnie dotarli tu z Roumu. Przynieśli mi szal Basila. Strażnik chce zostać uczniem naszej gildii. Co ty o tym sądzisz?

Na białym czole Olmayne pojawiły się zmarszczki. Włożyła kulę muzyczną do czarnej kryształowej wazy, jednocześnie niechcący ją aktywując; usłyszeliśmy kilka srebrzystych dźwięków, nim ją wyłączyła. Następnie przyjrzała się nam bardzo uważnie, a my równie uważnie przyglądaliśmy się jej. Wydawała się znacznie młodsza od męża, człowieka w średnim wieku, jakby zaledwie wyszła z wieku dziewczęcego, jednak była w niej także siła zaprzeczająca temu pierwszemu wrażeniu. Pomyślałem, że może nawet odnawiała młodość w Jorslemie, lecz gdyby na to się zdecydowała, mąż powinien jej towarzyszyć, chyba że bardzo cenił sobie wrażenie powagi. W każdym razie Olmayne była bez wątpienia atrakcyjna. Miała szeroką twarz, wysokie czoło, wystające kości policzkowe, szerokie, zmysłowe usta, lekko wystającą brodę i lśniące czarne włosy, kontrastujące z bardzo jasną cerą. Taka bladość jest wśród nas rzadkością, wiedziałem jednak, że zdarzała się często w przeszłości, kiedy ludzie wyglądali zupełnie inaczej. Avluela, moja kochana mała Lataczka, także miała jasną cerę i czarne włosy, lecz na tym kończyło się ich podobieństwo między delikatną, kruchą dziewczynką a tą kobietą, będącą prawdziwym wcieleniem siły. Kształtne ramiona, duże piersi, zgrabne nogi; Pamiętająca Olmayne wyglądała jak królowa.

Przyglądała się nam bardzo długo, z trudnością wytrzymałem spojrzenie jej szeroko rozstawionych ciemnych oczu.

– Czy Strażnik uważa się za godnego zostania jednym z nas? – spytała.

Pytanie to skierowane było do wszystkich obecnych, nie tylko do mnie. Zawahałem się, Elegro także milczał, tylko Księżę Roumu, nie słysząc naszych odpowiedzi, powiedział tonem rozkazu:

– Strażnik jest godny wstąpienia do waszej gildii!

– Kim ty jesteś? – zwróciła się do niego Olmayne.

Księżę przypomniał sobie o pokorze.

– Biednym ślepyim Pielgrzymem, pani, który przyszedł tu z Roumu, wraz z tym człowiekiem.

– A ty? – spytał Elegro. – Jakie ty masz plany?

– Szukam schronienia – wyjaśnił księżę. – Zmęczyły mnie wędrówki, odczuwam potrzebę medytacji. Może pozwolicie mi wypełniać tu jakieś drobne obowiązki? Pragnę pozostać przy boku przyjaciela.

Olmayne zwróciła się do mnie.

– Naradzimy się w twojej sprawie – oznajmiła. – Jeśli zostaniesz wysłuchany, czekają cię próby. Obejmę nad tobą opiekę.

– Olmayne! – wykrzyknął zdumiony Elegro.

Jego żona uśmiechnęła się do nas, zachowując niezwykle spokoj.

W powietrzu zawisła groźba kłótni rodzinnej, jednak do niej nie doszło. Pamiętający oferowali nam gościnę, soki, także mocniejsze napoje, oraz nocleg. Jedliśmy osobno, w jednym kącie mieszkania, podczas gdy w drugim oni rozważali, czy przyjąć mnie do swego grona mimo tak nietypowego zgłoszenia. Księżę wydał mi się dziwnie podniecony, nie jadł, tylko przesuwiał jedzenie na talerzu, przewrócił butelkę wina, upuszczał sztuce, raz za razem sięgał palcami do szarych metalicznych oczu, jakby próbował podrapać swędzące go pod nimi półkule mózgowe.

W końcu nie wytrzymał.

– Opisz ją! – polecił mi.

Opisałem mu Pamiętającą ze szczegółami, tak dobierając barwę i odcień słów, by powstał jak najwierniejszy jej portret.

– Mówisz, że jest piękna?

– Tak mi się wydaje. Musisz jednak zrozumieć, że w moim wieku taka ocena formułowana jest niejako abstrakcyjnie, nie ma nic wspólnego z reakcjami ciała.

– Jej głos mnie podnieca – wyznał ksiązę. – Słyszę w nim potęgę, władzę. Ta kobieta jest jak królowa. Musi być piękna. Gdyby jej uroda nie dorównywała urodzie głosu, na świecie nie istniałaby sprawiedliwość.

– Jest też – powiedziałem z wielkim naciskiem – żoną człowieka, który oferował nam gościnę.

Pamiętałem ten dzień, kiedy księcia wyniesiono w palankinie z jego komnat pałacu w Roumie, kiedy dostrzegł Avluelę, wezwał ją do siebie, przeciągnął przez zasłonę i użył jej dla własnej przyjemności. Dominatorom wolno wykorzystywać tak niższe kasty, ale Pielgrzymom nie. Bałem się tego, co być może w tej chwili planował.

Ksiązę Enric znów potarł oczy. Widać było, jak pracują mięśnie jego twarzy.

– Obiecuj, że nie narobisz nam przez nią kłopotu – zażądałem.

Kąciki ust mu drgnęły, był gotów dać mi gniewną odpowiedź, ale opanował się i powiedział z wysiłkiem:

– Źle mnie oceniasz, starcze. Znam prawa gościnności i dostosuję się do nich. A teraz wyświadcz mi przysługę. Przynieś więcej wina.

Wcisnąłem przycisk dostawczy kuchni. Wziąłem dostarczoną butelkę. To było mocne, czerwone wino, a nie delikatne, złociste, jak w Roumie. Nalałem, wypiliśmy, szybko opróżniliśmy butelkę. Chwyciłem ją wzdłuż linii polaryzacji,

obróciłem dłoń, pękła i znikła niczym balon. Chwilę później podeszła do nas Pamiętająca Olmayne. Przebrała się z popołudniowego stroju skrojonego z szorstkiego materiału w stłumionym kolorze w spiętą na piersiach szkarłatną szatę. Widziałem płaszczyzny i cienie jej ciała. Zaskoczyło mnie, że postanowiła zachować pępek. To małe wgłębienie w płaskim ciele brzucha wywierało efekt tak bardzo, tak świadomie podniecający, że omal i u mnie nie pojawiły się jego objawy.

– Spełnimy twoje życzenie – powiedziała zadowolona. – Pozostajesz pod moją opieką. Testy przeprowadzimy jeszcze dziś. Jeśli zdasz, zostaniesz przydzielony do naszego oddziału. – Jej oczy błysnęły wesoło. – Powinieneś wiedzieć, że mój mąż jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Ale tym nie musicie się przejmować. Chodźcie ze mną, obaj.

Wyciągnęła ręce, jedną do mnie, drugą do księcia. Palce miała chłodne. Płonąłem z gorączki, choć niczego po sobie nie pokazywałem. Zachwycała mnie młodość dająca się odczuć tak nagle, i to bez udziału wód domu odnowy w świętej Jorslemie.

– Idziemy. – Olmayne poprowadziła nas tam, gdzie miały się odbyć me próby.

Tak zostałem członkiem gildii Pamiętających. Próby okazały się nader pobieżne. Olmayne zaprosiła nas do okrągłego pokoju o ścianach wyłożonych rzadkim drewnem w rozmaitych kolorach, mieszczącego się wysoko, być może blisko szczytu wieży. Z podłogi wyrastały lśniące ławki, pośrodku zaś znajdowała się spirala wysoka na jednego mężczyznę, zapisana literkami zbyt małymi, by można je było odczytać. W Sali znalazło się pięciu, może sześciu Pamiętających, znudzonych, najwyraźniej wypełniających życzenie Olmayne i w żaden sposób niezainteresowanych jakimś starym, obdartym Strażnikiem, którego z niewiadomych przyczyn postanowiła sponsorować.

Otrzymałem czapkę myślową. Zgrzytliwy głos zadał mi za jej pośrednictwem kilka pytań, sprawdził typowość odpowiedzi, dowiedział się także kilku faktów z mojego życiorysu. Podał identyfikator, by Pamiętający mogli skontaktować się z lokalnym cechmistrzem Strażników i sprawdzić me bona fides, a także zdobyć formalne zwolnienie mnie z przynależności do starej gildii. Przed najazdem Strażników nie zwalniano ze ślubów, było to niedozwolone, ale żyliśmy po najeździe i wiedziałem, że moja gildia rozsypała się jak domek z kart.

Formalności zajęły niespełna godzinę. Olmayne osobiście założyła mi szal na ramiona.

– Otrzymasz mieszkanie niedaleko naszego – powiedziała. – Musisz oddać szaty strażnika, ale twój przyjaciel może

zatrzymać swoje, pielgrzymie. Naukę rozpoczniesz po okresie próbnym. Od tej chwili masz pełny dostęp do wszystkich naszych banków pamięci. Jesteś oczywiście świadom, że minie dziesięć lub więcej lat, nim zostaniesz pełnoprawnym członkiem gildii.

– Jestem tego świadom – odparłem.

– Twoje nowe imię brzmi: Tomis. Jeszcze nie Pamiętający Tomis, ale już Tomis z Pamiętających. To duża różnica. Twoje poprzednie imię traci swe znaczenie.

Odprawiono nas do małego pokoju, który mieliśmy zajmować wspólnie, ja i księżę. Raził prostotą, ale można się w nim było umyć, miał wejścia do myślówek oraz innych urzędzeń informacyjnych, a także szyb kuchenny. Księżę Enric obszedł go, badając drogę dotykiem, uczył się jego geografii. Wpadał na kontrolki; szafki, łóżka, krzesła i inne meble to wyskakiwały ze ścian, to się w nich chowały. W końcu uspokoił się, przestał się poruszać po omacku, aktywował łóżko. Ze ściany wysunęła się wiązka światła. Rozciągnął się na niej wygodnie.

– Powiedz mi coś, Tomisie z Pamiętających.

– Co?

– Zaspokój mój głód wiedzy, Tomisie z Pamiętających. Jakie imię nosiłeś w poprzednim życiu?

– Teraz nie ma to żadnego znaczenia.

– Nie wiąże cię już przysięga milczenia. Zamierzasz nadal zachowywać tajemnicę?

– Wiąże mnie dawny zwyczaj. Przez czas równy twemu dwukrotnemu życiu wymuszano na mnie zachowanie imienia w tajemnicy, chyba że prawo wymaga jego podania.

– Wypowiedz je teraz!

– Wuellig.

To było jak wyzwolenie. Dawne imię spłynęło mi z ust, zawisło w powietrzu, a potem polatywało w pokoju, jakby było

uwolnionym z klatki klejnotnikiem; wzbiło się pod sufit, skręciło ostro, uderzyło w ścianę, rozbiło się na lśniące okruchy z cichutkim melodyjnym trzaskiem. Drżałem.

– Wuellig – powtórzyłem. – Miałem na imię Wuellig.

– Nie jesteś już Wuelligiem.

– Jestem Tomisem z Pamiętających.

Śmiałyśmy się obaj, aż rozboleły nas brzuchy. Ślepy książę skoczył na równe nogi, uderzył dłonią w moją dłoń, jakbyśmy w ten sposób pieczętowali przyjaźń, raz, drugi i trzeci. Wykrzykiwaliśmy moje imię, i jego, i znów moje, niczym dwaj mali chłopcy, którzy opanowali pierwsze słowa władzy, odkrywając jednocześnie, jak mało rzeczywistej władzy mają słowa.

Właśnie tak zaczęło się moje nowe życie wśród Pamiętających.

Przez długi czas miałem nie opuszczać domu cechowego ani na chwilę. Pracowałem dniami i nocami i piękny Perris pozostał całkiem mi obcy. Książę także pozostawał wewnątrz budynku, dotrzymując mi towarzystwa, choć nie był zapracowany jak ja i wychodził, gdy nie mógł znieść nudy lub dostawał ataku gniewu. Czasami towarzyszyła mu Pamiętająca Olmayne, czy też on towarzyszył jej. Dotrzymywała mu towarzystwa, by nie musiał stawać twarzą w twarz ze swą ciemnością, ale wiedziałem, że zdarza mu się też wychodzić samotnie. Pokazywał, że choć jest niewidomy, potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji.

Każdy dzień poświęcałem trzem grupom zagadnień: uczyłem się podstaw, wykonywałem codzienne obowiązki ucznia i w czasie wolnym prowadziłem badania prywatne. Nie było dla nikogo niespodzianką, że okazałem się o wiele starszy od zwykłych uczniów. W większości byli oni bardzo młodzi, te dzieci dorosłych Pamiętających, i przyglądali mi się ze zdumieniem, nie mając pojęcia, skąd wśród nich ten starzec.

Kilku osiągnęło dorosłość – ci znaleźli w sobie powołanie, przeżywszy nawet pół życia, ale żaden nawet nie zbliżał się do mnie wiekiem. To zrozumiałe, że nie utrzymywałem kontaktów towarzyskich ani z jednymi, ani z drugimi.

Część każdego dnia zajmowało nam poznawanie technik, dzięki którym Pamiętający odtwarzają historię Ziemi. Zdumiony i zachwycony zwiedzałem laboratoria, w których przeprowadzano analizy obiektów znalezionych w terenie. Szeroko otwartymi oczami chłonałem widok detektorów, zdolnych zadatować każdy artefakt przez wychwycenie procesu rozkładu kilku atomów, promieni wielokolorowego światła, padających z urządzenia składającego się z szeregu pierścieni, spalających kawałek drewna, zmuszając go w ten sposób do wydania wszystkich jego sekretów oraz obrazów zdjętych z materii nieożywionej, ukazujących życie w dalekiej przeszłości. Gdziekolwiek pojawiajemy się, my, ludzie, pozostawiamy po sobie ślady, cząsteczki światła odbite od naszych twarzy, a strumienie fotonów utrwalają je w środowisku. Pamiętający lokalizują te ślady, zdejmują z podłoża, katalogują i restaurują. Przebywałem w sali wypełnionej lepką niebieską mgłą, w której unosiły się i poruszały twarze zmarłych królów i cechmistrzów, książąt i antycznych bohaterów. Obserwowałem techników o chłodnych, nieruchomych oczach, odgadujących przeszłość z garści zwęglonej materii. Widziałem, jak kupy wilgotnych śmieci zdradzały tajemnice rewolucji i politycznych mordów, rewolucji w kulturze, odrzucania obyczajów.

Następnie poinstruowano mnie, pobieżnie, o technikach pracy w terenie. Zręczna symulacja pokazała mi Pamiętających przebijających rdzeniem próżniowym warstwy ruin starożytnych miast Afreeki i Aisy. Dzięki niej mogłem niemal brać udział w podmorskiej wyprawie do ocalałych szczątków cywilizacji Utraconych Kontynentów. Widziałem, jak zespoły

Pamiętających wchodzą na pokład przezroczystych statków w kształcie kropli zielonej żelatyny, jak statki pogrążają się w głębi Ziemskiego Oceanu, spływają coraz niżej i niżej, aż do pokrytych śluzem prerii tego, co kiedyś było lądem. Widziałem, jak Pamiętający sztyletami fioletowego światła przebijają się przez muł, przez stosy żelastwa, by znaleźć zakopane w nich skarby. Widziałem jak pracują ci zbieracze skorup, łowcy cieni, kolekcjonerzy warstewek grubości molekuł. Najbardziej efektowna z projekcji pokazywała prawdziwie bohaterskich Pamiętających, wykopujących maszynę pogodową gdzieś w południowej Afreece. Odkopali fundamenty, zaczęli wyciągarki, wyrwali ją z podłoża, wysiłek tak ogromny, że wydawało się, iż sama ziemia protestuje krzykiem. A jednak wydobyli ten potężny relikw, pamiątkę monstrualnej głupoty Drugiego Cyklu, a specjaliści w szalach gildii zabrali się bez zwłoki za sondowanie fundamentów, by przede wszystkim sprawdzić, w jaki sposób kolumnę postawiono. Od tego cudownego widoku aż bolały oczy.

Dzięki tym sesjom nabrałem wielkiego szacunku dla mojej nowej gildii. Nauczyłem się ją podziwiać. Pamiętający, których miałem okazję poznać, wydawali mi się nieznośnie uroczyści, pogardzający światem w ogólności, pyszni albo przynajmniej wyniośli. Innymi słowy nie budzili sympatii. Jednak całość jest większa od sumy części i teraz już Basil na przykład, czy choćby Elegro, tacy obojętni, jakby nie dotyczyły ich codzienne sprawy zwykłych ludzi, stali się dla mnie częścią wielkiego, wręcz gigantycznego przedsięwzięcia, mającego odebrać wieczności nasze chwalebne wczoraj. Badanie zdarzeń z czasu, który minął, było czymś wspaniałym, było jedynym właściwym substytutem niegdysiejszej wielkości Ziemian. Przegraliśmy terażniejszość, przegraliśmy przyszłość, z konieczności musieliśmy pochylić się nad przeszłością, poświęcić wszystkie posiadane przez nas środki na jej potrzeby. Przeszłości nikt

nam nie zabierze, musimy tylko objąć nad nią straż. Przez wiele dni chłonałem szczegóły tych i innych prac, we wszystkich kolejnych etapach: od zbierania drobin pyłów w terenie, przez badania i analizy, po czynność ostateczną i najważniejszą: syntezę i interpretację. Tym zajmowali się najstarsi Pamiętający mieszkający na najwyższych poziomach budynku. Mogłem ledwie rzucić okiem na tych mędrców, chudych i zgarbionych, starych tak, że mogliby być moimi dziadkami. Pochylali siwe głowy, ich bezkrwiste wargi poruszały się, monotonnym głosem dyktowali komentarze i interpretacje, zastrzeżenia i poprawki. Cichym szeptem informowano mnie, że niektórzy z nich byli w Jorslemie na odnowie dwa lub nawet trzy razy i teraz mieli się już tylko starzeć, bo procedura odmłodnieniowa na nich już nie działała.

Następnie zapoznano nas ze zbiornikami pamięci, w których Pamiętający zapisują wiedzę i z których mogą ją czerpać ciekawscy poszukujący jakichś informacji.

Jako Strażnik nie zaliczałem się do ciekawskich, a korzystanie ze zbiorników pamięci w ogóle mnie nie pociągało. No i nigdy nie widziałem tego, co zobaczyłem teraz. Zbiorniki Pamiętających mieściły nie trzy do pięciu mózgów przechowujących, o nie – te instalacje łączyły szeregi po sto mózgów lub nawet więcej. Sala, do której nas zabrano, jedna, jak się dowiedziałem, z dziesiątek ukrytych pod ziemią, była prostokątna, długa, lecz niewysoka. Pojemniki na mózgi ustawiono w niej ginącymi w mroku szeregami po dziewięć. Perspektywa płatała obserwatorowi figle, nie miałem pewności, czy rzędów jest dziesięć, czy pięćdziesiąt. Widok białych kopuł zapierał dech w piersi.

– To mózgi byłych Pamiętających? – spytałem.

– Niektóre tak – odparł nasz przewodnik. – Ale nie musimy korzystać tylko z nich. Każdy normalny ludzki mózg się nadaje, nawet ten Sługi ma większą pojemność informacyjną, niż jesteś

w stanie sobie wyobrazić. Nadmiarowość nie jest nam potrzebna w obwodach, więc każdy wykorzystujemy do maksimum.

Próbowałem zobaczyć coś przez gruby, odbijający światło blok chroniący zbiorniki pamięci przed uszkodzeniem.

– Jakiego rodzaju informacje przechowywane są w tym pomieszczeniu? – spytałem.

– Dane mieszkańców Afreeki z Drugiego Cyklu. Imiona, nazwiska i wszystkie inne, które udało się nam do tej pory zdobyć. Ponieważ komórki nie zostały w pełni naładowane, przechowujemy w nich, tymczasowo, pewne szczegóły geografii Utraconych Kontynentów oraz część danych dotyczących budowy Mostu Lądowego.

– Czyżby informacje łatwo było przenieść z magazynu tymczasowego do stałego? – zdziwiłem się.

– Owszem. Bardzo łatwo. Tu wszystko jest elektromagnetyczne. Informacje są sumą ładunków, przenosimy je z mózgu do mózgu przez zmianę biegunowości.

– A jeśli zawiedzie instalacja elektryczna? Mówiłeś o braku redundancji. Czyżby niebezpieczeństwo przypadkowej utraty danych nie istniało?

– Nie istnieje – odparł z zadowoleniem przewodnik. – Mamy szereg urządzeń dublujących zapewniających ciągłą dostawę energii. Poza tym jako komórek pamięci używamy tkanki organicznej, a to daje nam najlepsze w świecie zabezpieczenie: mózgi nie tracą danych mimo przerwy w zasilaniu. Ich odtworzenie byłoby uciążliwe, ale nie niemożliwe.

– A podczas inwazji – spytałem – doświadczyliście jakichś trudności?

– Pozostajemy pod ochroną najeźdźców. Uznali naszą pracę za istotną dla swych interesów.

Niedługo potem nam, uczniom, pozwolono przyglądać się generalnej konwokacji Pamiętających z miejsc umieszczonych

wysoko, na balkonie wielkiej Sali domu cechowego. Na parterze zasiedli Pamiętający w pełnych ceremonialnych szatach, z szalami na ramionach, wśród nich byli także Elegro i Olmayne, a na podwyższeniu, pod symbolem spirali zajęli miejsca Kanclerz Kenishał z Pamiętających, człowiek surowy, budzący szacunek, oraz ktoś znacznie ciekawszy nawet od niego: przedstawiciel gatunku tryumfujących najeźdźców.

Kenishał przemówił krótko. Dźwięczny głos nie do końca maskował banał wypowiedzianych słów. Jak wszyscy urzędnicy zadawała się banałami, chwając siebie pod pozorem wygłaszania pochwał gildii i podziękowań za jej niezwykle osiągnięcia. Następnie przedstawił gościa.

Obcy rozłożył ramiona tak szeroko, że wydawało się, iż wręcz dotykają przeciwległych ścian audytorium.

– Jestem Uwładzy Siedem – oznajmił spokojnie. – Prokurator Perrisa. Mojej szczególnej opiece powierzono gildię Pamiętających. Przybyłem tu dziś, by potwierdzić postanowienia dekretu tymczasowego rządu okupacyjnego. Wy, Pamiętający, możecie wykonywać swą pracę bez przeszkód. Macie niczym nieograniczony dostęp do dowolnego miejsca na waszej planecie i każdej innej, jeśli będzie to konieczne do prowadzenia badań. Podobnie z dostępem do informacji, z wyjątkiem dotyczących organizacji samego podboju. Kanclerz Kenishał poinformował mnie, że podbój leży poza obrębem waszych bieżących zainteresowań, więc nie powinno to być dla was utrudnieniem. My, członkowie rządu okupacyjnego, jesteśmy świadomi wagi zadań, jakie wypełnia wasza gildia. Historia tej planety jest wyjątkowo ważna. Życzymy sobie, byście mogli poznawać ją coraz pełniej.

– Dzięki czemu Ziemia stanie się atrakcyjniejsza dla turystów – powiedział z goryczą stojący obok mnie książę.

Uwładzy Siedem jeszcze nie skończył.

– Kanclerz upoważnił mnie do poinformowania was o zmianie administracyjnej wynikającej ze zmiany statusu waszej planety na okupowaną. W przeszłości wszystkie spory pomiędzy wami rozstrzygane były przez sąd cechowy z kanclerzem Kenishalem jako instancją odwoławczą. Efektywność zarządzania wymusza na nas przejęcie tych jego obowiązków. Kanclerz zgodził się przekazać nam sprawy wykraczające poza jego kompetencje.

Rozległo się wielkie zbiorowe westchnienie. Pamiętający poprawiali się w ławach, wymieniali zdumione spojrzenia.

– Kanclerz abdykuje – wykrztusił jeden ze stojących obok mnie uczniów.

– Myślisz, że miał wybór, durniu? – odparł inny.

Zebranie skończyło się w atmosferze niepokoju. Pamiętający wychodzili z sali, debatując gorąco, gestykułując, spierając się. Jeden z bardziej szacownych członków gildii doznał wstrząsu tak wielkiego, że przysiadł i rozpoczął serię ćwiczeń równoważących, nie zwracając uwagi na tłum. Ludzka fala uderzyła nas, uczniów, musieliśmy się cofać. Usiłowałem osłonić księcia, bałem się, że tłum przewróci go, zdepta, ale rozdzielono nas i na kilka długich minut znikł mi z oczu, a kiedy znów go zobaczyłem, przy jego boku stała Pamiętająca Olmayne, zarumieniona, z błyszczącymi oczami, mówiąca coś, czego księżę słuchał z uwagą, ściskając jej ramię, jakby potrzebował pomocy w zachowaniu równowagi.

Po zakończeniu pierwszego, wstępnego okresu nauki zacząłem wykonywać drobne prace, przede wszystkim takie, które kiedyś wykonywałyby wyłącznie maszyny, jak na przykład nadzór nad przepływem substancji odżywczych do pojemników, w których zamknięte były mózgi. Każdego dnia przez kilka godzin chodziłem tam i z powrotem wąskim korytarzem, szukając na panelach kontrolnych oznak świadczących o tym, że któryś z przewodów się zatkał. Urządzenie zaprojektowano w ten sposób, że gdy przewód się zatykał, rosło ciśnienie w przezroczystej rurce, w której był zamknięty. Tę część instalacji oświetlało wówczas spolaryzowane światło informujące inspektora, że doszło do awarii. Od czasu do czasu udawało mi się znaleźć blokady, a także wykonywałem inne obowiązki właściwe dla mojego skromnego statusu ucznia.

Miewałem też okazje do przeprowadzenia własnych badań przeszłości mojej planety.

Czasami człowiek nie uświadamia sobie, co posiada, dopóki tego nie utraci. Przez całe życie byłem Strażnikiem, gotowym jak najwcześniej ostrzec przed spodziewaną inwazją na Ziemię, lecz nie obchodziło mnie, kto ma na nas napaść i z jakiego powodu. Od dzieciństwa wiedziałem, że Ziemia bywała w przeszłości wspanialsza niż w Trzecim Cyklu, w którym przyszło mi żyć, ale nie interesowało mnie, jak żyło się ludziom w dawnych czasach i dlaczego wszystko się zmieniło. Dopiero gdy na niebie pojawiły się statki najeźdźców, poczułem nagły głód wiedzy. Jako najstarszy z uczniów, Tomis z Pamiętających,

zacząłem grzebać w archiwach w poszukiwaniu utraconej przeszłości.

Każdy obywatel Ziemi ma prawo korzystania z czapki myślowki, a także prawo dostępu do publicznych archiwów Pamiętających, zawierających informacje na każdy temat. Niczego się przed nikim nie ukrywa. Ale też Pamiętający nie są zobowiązani do udzielania pomocy szukającym informacji, trzeba więc wiedzieć, jak formułować pytania. Fakty poznaje się metodą kolejnych przybliżeń. Przydaje się to tym, którzy chcą poznać, powiedzmy, długoterminowe zmiany klimatu w Agupcie albo symptomy chondrokalcykozy, albo ograniczenia wpisane w statuty którejs z gildii, ale tylko przeszkadza komuś szukającemu odpowiedzi na bardziej ogólne pytania. Do tego trzeba poznać tysiące poszczególnych faktów, a i to zaledwie początek. W ich poznanie trzeba by włożyć ogromny wysiłek, niewielu jest ludzi, którym chciałoby się tak męczyć.

Jako uczeń gildii Pamiętających miałem pełny dostęp nie tylko do danych, lecz także, co ważniejsze do, rejestrów. Rejestratorzy to gildia podległa Pamiętającym, pomniejsza i służebna. Jej członkowie zapisują i indeksują to, czego czasami nawet nie rozumieją. Ich dzieła służą gildii nadrzędnej, ale nie są dostępne wszystkim. Bez nich niemal nie sposób uporać się z chaosem informacyjnym.

Nie będę tu opisywał kolejnych etapów gromadzenia wiedzy: godzin spacerów krzyżującymi się korytarzami, mnożących się niepowodzeń, kolejnych zdumień, powtarzających się raz za razem wysiłków intelektualnych. Jako początkujący, zagubiony badacz zdany byłem na łaskę i niełaskę mądrzejszych od siebie i nie raz, nie dwa uczniowie, a nawet niektórzy terminatorzy, prowadzali mnie na błędne ścieżki wyłącznie dla rozrywki. Ale ja uczyłem się, którymi warto podążać, jak formować łańcuchy pytań, jak wędrować po stopniach odnośników coraz wyżej, wyżej i jeszcze wyżej, w jasne światło prawdy. Raczej dzięki

uporowi niż walorom intelektu udało mi się z odprysków wiedzy Pamiętających zbudować uproszczoną, lecz kompletną opowieść o upadku ludzkości.

Wyglądało to tak:

Przed wieloma wiekami życie na Ziemi było równie proste jak brutalne. Czasy te nazywamy Pierwszym Cyklem. I nie mówię tu o okresie sprzed powstania cywilizacji, o mowie chrząknięć, o włochatych ciałach, o jaskiniach i kamiennych narzędziach. Za początek Pierwszego Cyklu przyjmujemy moment, kiedy ludzie nauczyli się rejestrować informacje i wpływać na środowisko. Nastąpiło to w Agupcie i Sumirze. Tak więc według naszego systemu pomiaru czasu Pierwszy Cykl zaczął się przed czterdziestu tysiącami lat, jednakże nie wiemy, ile dokładnie trwał według ówczesnego kalendarza, gdyż długość roku zmieniała się z końcem Drugiego Cyklu. Do tej pory nie udało się ustalić, jak długo w dawnych czasach nasz świat obiegał słońce. Zapewne nieco dłużej niż obecnie.

Pierwszy Cykl był okresem świetności Imperialnego Roumu oraz pierwszej świetności Jorslemy. Eyropa była dzika jeszcze długo po tym, gdy cywilizowała się Aisia i część Afreeki. Na zachodzie przestrzeń Ziemskiego Oceanu zajmowały dwa wielkie kontynenty, na których żyły dzikusy.

Według posiadanej przez nas wiedzy w owym czasie Ziemia nie utrzymywała kontaktów z innymi światami lub gwiazdami. Trudno wyobrazić sobie tak wielką samotność, a jednak przyjmujemy, że była samotna. Ludzkość tworzyła światło wyłącznie przez palenie ognisk, nie umiała leczyć chorób, a życia nie można było odnowić. Żyliśmy bez wygod, w surowym prostym świecie szarości. Śmierć przychodziła szybko i człowiek nim odszedł, zdążył zaledwie dochować się kilku synów. Ludzie bali się, choć na ogół nie tego, co rzeczywiste.

Dusza drży mi na myśl o takim życiu, a jednak w Pierwszym Cyklu powstały wspaniałe miasta: Roum, Perris, Atiny, Jorslema, dokonano także wielkich czynów. Nie sposób nie podziwiać tych naszych przodków, cuchnących (bez wątpienia) analfabetów, pozbawionych maszyn, a jednak zdolnych dojść do jakiegoś porozumienia z otaczającym ich wszechświatem i nawet nad nim zapanować, przynajmniej do pewnego stopnia.

W Pierwszym Cyklu wojny toczyły się właściwie bez przerwy, był to czas powszechnego smutku. Jednocześnie tworzono i niszczone. Płomienie pożerały najpiękniejsze miasta. Z porządkiem walczył zawsze groźny chaos. Jak człowiek zdołał przetrwać w tych warunkach długie tysiąclecia?

Pod koniec Pierwszego Cyklu taki prymitywizm należał do przeszłości. Człowiek dysponował już źródłami energii, rozwinął się transport, pojawiły środki komunikacji na duże odległości. Ziemię przekształciło wiele wynalazków dokonanych w krótkim czasie. Metody prowadzenia wojny doskonaliły się wraz z doskonaleniem techniki jako takiej, ale ludzkości udało się jakoś uniknąć zniszczenia, choć kilkakrotnie wydawało się ono pewne. Pod koniec cyklu skolonizowano Utracone Kontynenty, a także Stralię, wylądowano też na planetach naszego Układu Słonecznego.

Granica między Pierwszym i Drugim cyklem została ustalona arbitralnie – Drugi Cykl zaczyna się od momentu spotkania z inteligentnymi formami życia z dalekich planet. Pamiętający uznają, że nastąpiło to w mniej niż pięćdziesiąt pokoleń po tym, gdy poznaliśmy elektronikę oraz opanowaliśmy energię jądrową. Można więc powiedzieć, że ludzie przekroczyli granicę między stadium dzikości a kontaktem galaktycznym jednym krokiem czy też, co chyba bliższe prawdzie, zaledwie kilkoma drobniejszymi kroczkami. To też jest powodem do dumy. Pierwszy Cykl był czymś wspaniałym, mimo swych ograniczeń, Drugi Cykl nie znał ograniczeń i dokonał cudów.

W Drugim Cyklu ludzkość sięgnęła do gwiazd, a gwiazdy sięgnęły do ludzkości. Ziemia została rynkiem dla produktów wszystkich światów. Cuda stały się codziennością. Każdy człowiek miał prawo spodziewać się życia trwającego setki lat: oczy, serce, płuca, nerki wymieniano z taką łatwością, z jaką wkłada się nową parę butów, powietrze było czyste, nie znano głodu, zapomniano o wojnach. Człowiekowi służyły wszelkiego rodzaju maszyny, ale maszyny mu nie wystarczały, więc tworzył ludzi będących maszynami, czy też maszyny będące ludźmi: stworzenia genetycznie ludzkie, ale płodzone sztucznie. Poddane specjalnej kuracji traciły one zdolność przechowywania wspomnień. Podobnie jak nasi bezpłciowcy potrafiły wykonywać normalną pracę, nie były jednak w stanie gromadzić doświadczeń i formułować oczekiwań, co jest oznaką ludzkiej duszy. Miliony takich „nie całkiem ludzi” zatrudniano przy uciążliwych zajęciach niewymagających intelektu. Prawdziwi ludzie żyli szczęśliwie, spełnieni.

Po podludziach stworzono nadzwierzęta. Biochemiczne manipulowanie mózgiem dało wybranym zdolność wykonywania zadań, których niegdyś nie były w stanie wykonać: psy, koty, bydło, myszy podjęły odpowiednią dla nich pracę, a niektóre naczelne potrafiły nawet zastąpić ludzi, choć w ograniczonym zakresie. Wykorzystujący do maksimum środowisko naturalne człowiek stworzył raj na ziemi.

Ludzki duch wspiął się na niedostępne wcześniej szczyty. Poeci, pisarze, naukowcy, wszyscy pracowali dla wspólnego dobra. Ziemię pokryły lśniące miasta. Liczba ludności była wręcz niezwykła, a mimo to nikomu nie brakowało ani miejsca, ani niczego innego. Człowiek mógł zaspokajać wszystkie swe kaprysy, bez ograniczeń. Eksperymentowano powszechnie z chirurgią genetyczną, ze środkami mutagennymi i teratogennymi, więc rodzaj ludzki przyjął wiele nowych form. Ale nie istniały wówczas formy znane z naszego cyklu.

Na niebie, w powolnym szyku, przesuwały się stacje kosmiczne zaspokajające najbardziej wyrafinowane potrzeby. Właśnie w tym czasie wybudowano dwa sztuczne księżyce; Pamiętający nie potrafili jeszcze powiedzieć, czy pełniły one tylko funkcję estetyczną, czy także użytkową. Być może jednocześnie z ich budową zainstalowano zorze pojawiające się teraz każdej nocy, choć wśród Pamiętających są i tacy, którzy uważają, że zorze w klimacie umiarkowanym są wynikiem zamykającej Drugi Cykl katastrofy geofizycznej.

W każdym razie były to czasy, w których każdy chciałby żyć. Zaświatowcy powtarzali sobie „zobaczyć Ziemię i umrzeć”. Nikt odbywający wielką wycieczkę galaktyczną nie omijał naszej planety cudów. Witaliśmy obcych z otwartymi ramionami, cieszyły nas ich pieniądze i ich obecność, robiliśmy wszystko, by bawili się jak najlepiej, zgodnie z ich definicjami zabawy, i w ogóle z dumą prezentowaliśmy im naszą chwałę.

Księżę Roumu może zaświadczyć, że losem dumnych jest upokorzenie, a im wyżej się wspiąłeś, tym niżej upadniesz. Po tysiącach lat wielkości, której nie potrafiłem nawet pojąć, szczęśliwi obywatele Drugiego Cyklu przeliczyli się. Popełnili dwa błędy, jeden wynikający z nieopanowanej arogancji, drugi z przesadnej pewności siebie.

Na efekty pierwszego trzeba było długo czekać. Chodziło o stosunek Ziemi do innych gatunków galaktycznych. W trakcie Drugiego Cyklu zmienił się on radykalnie: najpierw się nimi zachwycaliśmy, potem się do nich przyzwyczailiśmy, aż wreszcie zaczęliśmy nimi pogardzać. Na początku, naiwni i prostacy, Ziemia dołączyli do towarzystwa wyżej zaawansowanych ras, które od dawna pozostawały ze sobą w kontakcie. Mogło to spowodować potężny wstrząs owocujący kompleksem niższości, ale go nie spowodowało. Wręcz przeciwnie, z niezwykłym samozaparciem najpierw dorównaliśmy im, a potem je przewyższyliśmy. Bardzo szybko

doszło do tego, że większość galaktów mogliśmy traktować jako równych sobie, a potem nawet jako gorszych. Krótka stąd droga do uznania ras nie dość rozwiniętych za „zacofane”.

Postanowiono ustanowić na Ziemi „obozy” dla egzemplarzy ras niższych w celu badania ich w warunkach dla nich naturalnych. Obozy miały być dostępne dla tych przedstawicieli świata nauki, którzy w sposób szczególny interesowali się procesami życiowymi obcych. Okazało się jednak, że koszty zebrania oraz utrzymania okazów są zbyt wielkie, w związku z czym stało się koniecznością otwarcie placówek z założenia naukowych dla szerokiej publiczności spragnionej rozrywki. I tak instytucje z założenia naukowe stały się ogrodami zoologicznymi, w których trzymano istoty inteligentne.

Początkowo w obozach gromadzono przedstawicieli ras naprawdę obcych, tak dalece odbiegających od ludzkich norm fizjologicznych i psychologicznych, że niebezpieczeństwo uznania ich za „ludzi” praktycznie nie istniało. Coś o mnóstwie odnóży, żyjące w zbiorniku metanu pod wielkim ciśnieniem, raczej nie wzbudzi współczucia wśród tych, którym mógłby nie spodobać się pomysł uwięzienia istot inteligentnych. A jeśli istoty takie stworzyły skomplikowaną cywilizację w swoim egzotycznym środowisku, cóż – był to tylko doskonały argument za rekonstrukcją środowiska na Ziemi i jak najdokładniejszym zbadaniem mechanizmów cywilizacji.

Pierwsze obozy tworzone więc tylko dla najdziwaczniejszych obcych. Łowcom narzucono też ograniczenie: przeznaczone do schwytania okazy nie mogły pochodzić z cywilizacji dysponujących technikami podróży galaktycznych. Nie wydawało się najlepszym pomysłem zamknięcie w zoo kogoś, kogo krewniacy mogą, choćby przypadkiem, odwiedzić planetę, dla której turyści byli tak ważną gałęzią ekonomii.

Sukces pierwszych obozów spowodował powstanie następnych. Złagodzone kryteria doboru, chwymano już nie

tylko istoty obce i nieludzkie, lecz także te, których światy nie było w stanie złożyć dyplomatycznego protestu. Im bardziej byliśmy zuchwali, tym mniej przejmowaliśmy się zasadami, aż na ziemi znaleźli się przedstawiciele tych gwiazdnych światów, na których istniały cywilizacje nawet starsze i bardziej skomplikowane od naszej.

W archiwach Pamiętających zachowały się informacje, że ziemskie obozy spowodowały poruszenie na wielu planetach wszechświata. Nazywano nas rabusiami, porywaczami i piratami. Formowano komitety krytykujące nasze jawne łamanie praw istot inteligentnych. Ziemianie podróżujący na inne światy bywali osaczani przez wrogie tłumy domagające się natychmiastowego zwolnienia więźniów. Protestowała jednak bardzo niewielka mniejszość, wśród większości galaktów na wzmiankę o obozach zapadała niezręczna cisza. Obcy traktowali je jako żenująco barbarzyńskie, co nie przeszkadzało im odwiedzać nas tylko ze względu na nie, bo nigdzie indziej nie obejrzy się setki zaawansowanych form życia sprowadzonych z najodleglejszych zakątków wszechświata. Dysponowaliśmy atrakcją zaliczaną do cudów kosmosu. Nasi sąsiedzi zawarli między sobą cichą umowę: uznają barbarzyństwo samego pomysłu, ale głośno nic nie powiedzą, bo ten właśnie pomysł sprawia im największą przyjemność jako widzom.

Zachował się też zapis umieszczony w jednym ze zbiorników pamięci, pionierski wśród zapisów wizualnych; miałem wielkie trudności z obejrzeniem go i musiałem nawet zwrócić się o wstawiennictwo do Pamiętającej Olmayne. Założyłem na czapkę podwójny filtr, mimo to widziałem zamazany obraz, dla moich potrzeb był on jednak wystarczająco czysty. Za wygiętą ścianą z jakiegoś przezroczystego tworzywa zobaczyłem pięćdziesiąt, a może nawet więcej, istot z nienazwanego świata. Mają piramidalne ciała, granatowe na powierzchniach,

z różową płaszczyzną wzrokową przy wierzchołku. Chodzą na krótkich, grubych nogach. Ścianki ich ciał są wyposażone w parę kończyn górnych każda. Próby interpretacji uczuć istot obcych, galaktycznych, obciążone są poważnym ryzykiem, ale w tym wypadku nie było miejsca na wątpliwości: odczuwały one skrajną rozpacz. Przez gęsty zielony gaz ich środowiska widziałem, że poruszają się powoli, bez nadziei, bez śladów ożywienia. Kilka zetknęło się czubkami, prawdopodobnie w akcie komunikacji. Jedna zapewne niedawno zmarła. Dwie pochyliły się ku podłożu, wyglądały jak przewrócone zabawki, lecz ich górne odnóża poruszały się, być może była to modlitwa. Scena ta sprawiała wrażenie przeraźliwie smutnej. Później, w zapomnianych, rzadko odwiedzanych zakamarkach budynku odkryłem więcej takich nagrań. I wiele się z nich nauczyłem.

Przez ponad tysiąc lat Drugiego Cyklu tak zwane obozy funkcjonowały bez zakłóceń i w końcu stały się czymś zwykłym i naturalnym dla wszystkich za wyjątkiem istot płacących za to okrucieństwo najwyższą cenę. Aż wreszcie, gdzieś daleko, pierwsza wyprawa, która tam dotarła, odkryła prymitywny lud na szczeblu rozwoju odpowiadającym mniej więcej ludziom w pierwszych latach Pierwszego Cyklu, istoty nieco przypominające człowieka, niewątpliwie inteligentne... i bardzo gwałtowne. Kosztem życia pewnej liczby Ziemiaków udało się pojmać ich wystarczająco wiele, by mogły się mnożyć, po czym przewieziono je do specjalnie przygotowanego obozu.

To właśnie był pierwszy z dwóch krytycznych błędów Drugiego Cyklu.

Gdy porywano jej przedstawicieli, rasa zamieszkująca świat nigdy nienazwany – w każdym razie nazwa nie występuje w aktach – oznaczony kodem H362, nie była w stanie ani skutecznie zaprotestować, ani podjąć kroków odwetowych. Nie upłynęło jednak wiele czasu, nim złożyli im wizytę przedstawiciele kilku światów zjednoczonych politycznie

niechęcią do Ziemi. Odpowiednio poinstruowani mieszkańcy H362 zażądali zwolnienia swych braci. Ziemia odmówiła. Zacytowała długa listę precedensów: zgód na założenie i prowadzenie obozów. Rozpoczęła się długa dyplomatyczna dyskusja, w trakcie której potwierdziliśmy tylko nasze prawo do działania w taki sposób, w jaki działaliśmy.

Mieszkańcy H362 odpowiedzieli groźbami.

„Pewnego dnia” – powiedzieli – „sprawimy, że pożałujecie tego, co nam zrobiliście. Najedziemy waszą planetę, podbijemy ją, uwolnimy wszystkie pojmane istoty z innych światów. Dopilnujemy, by Ziemia stała się obozem dla swej własnej rasy”.

W swoim czasie takie groźby budziły wyłącznie śmiech.

Przez następne kilka tysięcy lat niewiele słyszało się o mieszkańcach H362. W swym zapadłym kącie Uniwersum ich cywilizacja rozwijała się bardzo szybko, ale według wszelkich obliczeń zagrożeniem dla Ziemi mogła stać się po upływie czasu liczonego w jednostkach kosmicznych, nie było więc powodu, by się nimi interesować. Kto się boi dzikusów uzbrojonych w dzidy?

Ziemia tymczasem postawiła sobie kolejne zadanie: osiągnięcie pełnej kontroli nad klimatem.

Modyfikację pogody na niewielką skalę przeprowadzano już w końcu Pierwszego Cyklu. Chmury, dające szansę na deszcz, wzbudzano w ten sposób, że deszcz padał wcześniej, umiano rozpędzać mgłę, osłabiano grożące katastrofą wichury. Podjęto wysiłki zmierzające do zredukowania polarnych czap lodowych, a także przekształcenia pustyń w żyzne ziemie. Próby te miały jednak zasięg czysto lokalny i z kilkoma wyjątkami nie wywierały nieodwracalnego wpływu na środowisko.

Plan opracowany w Drugim Cyklu zakładał skonstruowanie ogromnych wież w ponad stu miejscach na całej Ziemi. Nie znamy ich wysokości, żadna bowiem nie dotrwała do naszych

czasów nietknięta, a plany się nie zachowały, ale powszechnie uważa się, że przewyższały budowane wówczas gmachy, wznosząc się do nieba na dwie mile lub więcej. W kolumnach zamknięto urządzenia pełniące różnorodne funkcje, w tym także zmieniające położenie biegunów magnetycznych ziemi.

O ile dobrze rozumiemy zamysły twórców, zadaniem wież była zmiana ziemskiej geografii według dokładnie przemyślanego planu wynikającego z istnienia kilku wielkich mas wodnych, a nie jednego Ziemskiego Oceanu. Choć połączone ze sobą, oceany uchodziły za twory indywidualne, ponieważ na granicach miały masy lądowe. W północnym regionie polarnym na przykład połączenie Aisy i północnego Utraconego Kontynentu (znanego jako Us-amrika) na zachodzie oraz bliskość Us-amriki i Eropy na wschodzie pozostawiało zaledwie wąskie cieśniny i tylko przez nie zimne polarne wody mogły łączyć się z cieplejszymi, opływającymi brzegi Utraconych Kontynentów.

Manipulacje siłami magnetycznymi spowodowały wyzwolenie Ziemi z jej orbity obliczone tak, by stopień północnej czapy polarnej pozwoliło uwięzionym w niej zimnym wodom na połączenie się z cieplejszymi wodami oceanicznymi. Jednocześnie północny ocean zyskał swobodę parowania, co miało bardzo znacząco zwiększyć opady. By nie przybrały one formy śniegu padającego na północy, dokonano kolejnych manipulacji kierunkami wiatrów, przeważnie zachodnich, niosących wilgoć nad tereny, gdzie panował klimat umiarkowany. Zaprojektowano naturalny system cyrkulacji powietrza, którego celem było nawodnienie obszarów suchych na niższych szerokościach geograficznych.

Oczywiście oryginalne plany były znacznie bardziej skomplikowane. Nasza wiedza o ich szczegółach jest bardzo wyrywkowa. Wiemy, że planowano zmianę kierunku prądów oceanicznych, zatapiając lądy w jednym miejscu, a wynosząc je

w innym, że istniały plany odbijania energii słonecznej z tropików na bieguny, a i to nie było bynajmniej wszystko. Zresztą nie chodzi o drobne szczegóły. Ważne okazały się wyłącznie konsekwencje tego wielkiego planu.

Jego konsekwencje okazały się fatalne.

Nieszczęsny program zmian klimatu w skali planetarnej doprowadził do przesunięcia biegunów geograficznych, długiego okresu zlodowacenia na niemal całej półkuli północnej, nieoczekiwanego zatonięcia Usa-meriki, a także jej sąsiadki, Sud-amriki, powstania Mostu Lądowego łączącego Afreekę z Eyropą, a w konsekwencji niemal całkowitej zagłady ludzkości. Nie zdarzyło się to oczywiście w jednej chwili. Przez pierwsze kilka wieków wydawało się, że wszystko idzie gładko, zgodnie z planem. Czapy polarne roztopiły się, poziom oceanów kontrolowały parownice fuzyjne – coś w rodzaju małych słońc – ustawione w wyznaczonych obliczeniach miejscach. Dowody na to, że maszyny klimatyczne zmieniają architekturę skorupy ziemskiej, docierały do ludzi bardzo powoli.

To zmiany skorupy, a nie klimatyczne, okazały się nieodwracalne.

Nadszedł czas gwałtownych burz, po których nastąpiły katastrofalne w skutkach susze. Ofiary liczone w setkach milionów. Przestała działać sieć komunikacyjna. Ocalali migrowali w panice z terenów skazanych za zagładę. Chaos tryumfował, wspaniała cywilizacja Drugiego Cyklu legła w gruzach, a obozy, w których więziono obcych, uległy zniszczeniu.

Władzę nad naszą planetą przejęło kilka najpotężniejszych ras galaktycznych. Udało się im uratować część jej mieszkańców. Wzniesiono pylony stabilizujące wahania nachylenia osi ziemskiej, zdemontowano te maszyny pogodowe, które nie zostały zniszczone w kataklizmie, nakarmiono głodnych, ubrano nagich, udzielono nam kredytów

na rekonstrukcję. Dla ludzi nadszedł Czas Porządków, likwidacji struktur i konwencji społecznych. Nie byliśmy już panami swego świata, przyjęliśmy dobroczynność obcych i próbowaliśmy jakoś, żałośnie, z tym żyć.

Pozostaliśmy jednak tą rasą, którą byliśmy, to się nie zmieniło. Odżyliśmy, przynajmniej w pewnym stopniu. Roztrwoniliśmy majątek naszej planety, byliśmy i mieliśmy pozostać nędzarzami, bankrutami, a jednak, choć poniżeni, wstąpiliśmy w Trzeci Cykl. Niektóre techniki naukowe z dawnych czasów pozostały do naszej dyspozycji, inne opracowaliśmy sami, opierając się na zmienionych zasadach ogólnych. Porządek nadały społeczeństwu gildie: Dominatorzy, Panowie, Handlarze i reszta. Pamiętający poświęcili się gromadzeniu wiedzy, którą można było uratować z wraku przeszłości.

Ratujące nas cywilizacje wystawiły ogromne rachunki. Jako bankruci nie mogliśmy ich spłacić, mieliśmy jednak nadzieję, że zrzekną się one roszczeń, że nasze długi zostaną umorzone. Negocjacje w tej sprawie już się toczyły, kiedy zdarzyła się rzecz niezwykła. Mieszkańcy H362 zgłosili się do planet-wierzycieli i zaoferowały refundację ziemskich należności... pod warunkiem, że wszelkie prawa i wszelkie ziemskie aktywa przejdą na ich własność.

Odpowiednie porozumienie osiągnięto wręcz błyskawicznie. Na mocy traktatu mieszkańcy H362 mogli się prawnie nazwać właścicielami Ziemi. Do „wszystkich zamieszkanym planet we wszechświecie” wysłali notę, zastrzegając w niej prawo do przejęcia jej w dowolnym momencie w przyszłości. Inaczej być nie mogło, bo nadal nie opanowali technik komunikacji międzygwiazdnej. Nie miało to znaczenia prawnego – spłacili długi bankruta, w związku z czym mieli prawo do wszystkiego, co ów bankrut posiada.

Nie umknęło niczyjej uwagi, że w ten sposób mieszkańcy H362 spełnili daną przed tysiącletniemi obietnicę, „zmienili samą Ziemię w jeden wielki obóz”. Zemścili się za to, jak potraktowaliśmy kiedyś przedstawicieli ich rasy. Zaleczyli zadaną ich cywilizacji ranę.

Na Ziemi tymczasem społeczeństwo rozwijało się w narzuconych mu ramach, wyznaczonych przez sztywną strukturę gildii. Groźby H362 potraktowaliśmy poważnie, bo przecież otrzymaliśmy więcej niż dobitne ostrzeżenie, że grózb się nie lekceważy, i wiedzieliśmy, że dziś może nas zniszczyć zagrożenie, które kiedyś uznalibyśmy za tak drobne, że właściwie nieistniejące. Powołano gildię Strażników, ich zadaniem było śledzenie nieba i wszczęcie alarmu w przypadku wykrycia sił inwazyjnych. Po nich pojawili się Obrońcy i tak dalej. Udało się nam nawet zmanifestować odrobinę znanej z przeszłości wyobraźni, co miało miejsce przede wszystkim w Latach Magii, gdy pod wpływem impulsu, tylko dlatego, że mogliśmy, stworzyliśmy samoodnawiającą się gildię zmutowanych Lataczy oraz siostrzaną Pływaków, o której dziś nie wiemy już niemal nic. Wtedy też powstała nieprzewidywalna, niepokojąca gildia Odmieńców o losowo zmiennej charakterystyce genetycznej.

Strażnicy strażowali. Dominatorzy rządzą. Latacze sięgali nieba. Życie trwało, rok po roku, w Eyropie i w Aisie, w Stralyi i Afreece, i na małych wyspach, pozostałości Utraconych Kontynentów Usa-mriki i Sud-amryki. Przysięga mieszkańców H362 z rzeczywistości zmieniła się w mit, lecz pozostaliśmy czujni. A gdzieś tam daleko, w przestrzeni, nasi wrogowie nabierali sił, aż zgromadzili potęgę pod pewnymi względami dorównującą naszej w Drugim Cyklu. Nie zapomnieli jednak o czasach, gdy trzymaliśmy w niewoli ich przodków.

Przybyli owej strasznej nocy. Zostali naszymi panami. Dotrzymali przysięgi. Przejęli, co do nich należało.

Tego – i nie tylko tego – nauczyłem się, zgłębiając gromadzoną przez tysiąclecia wiedzę gildii Pamiętających.

Podczas gdy ja uczyłem się historii, były Książę Roumu bez żadnych zahamowań nadużywał gościnności Pamiętającego Elegro, naszego gospodarza, mającego też udział we wprowadzeniu mnie do gildii. Powinienem od razu zorientować się, czego chce, bo przecież znałem go lepiej niż ktokolwiek w Perrisie. Niestety, pochłonęły mnie archiwa i poznawanie przeszłości, a kiedy ja zajmowałem się dziejami Drugiego Cyklu, łańcuchami protoplazmy, węzłami regeneracyjnymi, wichrami czasu i regulatorami przepływu fotonów, książę Enric uwodził Pamiętającą Olmayne.

Ośmielę się powiedzieć, że, jak to się najczęściej zdarza w takich wypadkach, i w tym trudno byłoby mówić o jakimś pojedynku woli. Olmayne była kobietą zmysłową, obdarzającą męża sympatią, lecz patrzącą na niego z góry. Nie kryła, że uważa go za człowieka słabego, niezdecydowanego, potykającego się o własne nogi, jemu zaś, wyniosłemu i na pozór stanowczemu, nie udało się długo ukrywać braku zdolności i zaangażowania w pracy, przez co najwyraźniej zasługiwał na jej pogardę. Nie do mnie należało dochodzenie, jakim są małżeństwem, nie miałem jednak żadnych wątpliwości, że to ona jest silniejsza, a on nie spełnia jej oczekiwań.

No i oczywiście pozostawało pytanie, dlaczego Olmayne uznała za stosowne wprowadzenie nas do gildii. Z pewnością nie pożądała starego, zmęczonego życiem Strażnika, raczej chciała poznać bliżej tajemniczego, dziwnie władczego ślepego

Pielgrzyma, jego towarzysza. Księżę Enric z pewnością pociągał ją od samego początku, on zaś oczywiście nie zamierzał odmówić przyjęcia daru, który mu oferowała.

Być może zostali kochankami już w dniu, kiedy przekroczyliśmy progi domu cechowego Pamiętających, albo niewiele później.

Ja zajmowałem się swoimi sprawami, Elegro swoimi, a Olmayne i księżę Enric swoimi. Skończyło się lato, zaczęła jesień, a potem przyszła zima. Grzebałem w archiwach równie entuzjastycznie jak niecierpliwie. Jeszcze nigdy nic mnie tak nie zainteresowało, nie budziło tak namiętnej ciekawości. Odmłodziłem bez pomocy Jorslemy. Nie widywałem księcia zbyt często, a kiedy już się spotykaliśmy, przeważnie milczeliśmy. Nie uważałem się za powołanego do zadawania mu pytań o to, czym się zajmuje, a nie zamierzałem wtajemniczać go w moje fascynacje.

Od czasu do czasu myślałem o moim poprzednim życiu, o wędrówkach z miejsca na miejsce i o Lataczce Avlueli będącej teraz, jak przypuszczałem, towarzyszką życia jednej z tych istot, których rasa nas podbiła. Jak nazwał się fałszywy Odmieniec Gormon teraz, kiedy już zrzucił przebranie, powrócił do postaci mieszkańca H362? Władcaziemi Dziewięć? Panoceanów Pięć? Nadczłowiek Trzy? Pomyślałem, że kimkolwiek był, musiał odczuwać satysfakcję na myśl o tak totalnym podboju ziemskiej cywilizacji.

O tym, co łączyło Pamiętającą Olmayne z księciem Enriciem z Roumu, dowiedziałem się pod koniec zimy. Najpierw z plotek przekazywanych szeptem w salach przeznaczonych dla uczniów, potem z uśmiezków wykrzywających wargi innych Pamiętających, gdy tylko gdzieś blisko pojawili się Olmayne i Enric, aż wreszcie z tego, jak zachowywali się wobec siebie. Zdradzały ich drobiazgi, dotknięcia dłoni, znaczące półsłówka,

porozumienie jednym spojrzeniem... ich znaczenie było więcej niż jasne.

Pamiętający poważnie traktują przysięgę małżeńską. Związki zawierają, jak Latacze, na całe życie, nie akceptują zdrady partnera, a Olmayne to właśnie robiła. Jeśli partnerem jest inny Pamiętający, jak to się dzieje najczęściej, choć nie stanowi reguły, związek uważa się za tym świętszy.

Jak zemści się Elegro, kiedy pozna prawdę? Poznać ją przecież musiał, prędzej czy później.

Do długo odwlekanego konfliktu doszło wreszcie w mojej obecności. Zdarzyło się to bardzo wczesną wiosną. Pracowałem ciężko w najgłębszych jamach zbiorników pamięci, wyciągając z nich informacje, z których nikt nie korzystał od czasu, gdy je zapisano, a gdy skończyłem, czując zawrót głowy wywołany mnóstwem obrazów chaosu, wyszedłem w jasną od świateł perriską noc, by odetchnąć świeżym powietrzem. Szedłem wzdłuż Senny. Zaczepił mnie agent Somnambulików, zaproponował wprowadzenie w tajemniczy świat snów. Samotny Pielgrzym odprawiał rytuał przed świątynią ciała. Spostrzegłem na niebie dwójkę Lataczy, uzaliłem się nad sobą, uroniłem łzę czy dwie. Zatrzymał mnie turysta, zaświatowiec w masce oddechowej i obwieszonej klejnotami tunice, zbliżył swą dziobatą twarz do mojej twarzy, wdmuchnął mi przez nos halucynacje. Długo trwało, nim powróciłem do siedziby gildii Pamiętających. Poszedłem do mieszkania naszych patronów, by przed snem złożyć im wyrazy szacunku.

Zastałem w nim Olmayne i Elegra, ale nie tylko ich, także księcia Enrica. Olmayne kiwnęła palcem, raz, każąc mi wejść, ale poza tym nie zwróciła na mnie uwagi. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Elegro chodził po pokoju od ściany do ściany krokiem tak ciężkim, że delikatne żywe formy dywanu, przestraszone, to rozchylały, to tuliły płatki.

– Pielgrzym! – krzyknął nagle. – Gdyby był jakimś nędznym śmieciem, jakimś Sprzedawcą, byłoby to tylko upokarzające, ale Pielgrzym! Cóż za potworność!

Książę Enric stał nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na piersi. Twarz krył pod maską, nie widziałem więc jej wyrazu, ale wydawał się zupełnie spokojny.

– Czy zaprzeczysz, że naruszyłeś świętość mojego związku? – spytał go Elegro.

– Nie zaprzeczę niczemu. I niczego nie potwierdzę.

– A ty? – Pamiętający zwrócił się do żony. – Powiedz prawdę, Olmayne! Chociaż raz powiedz prawdę! Ile jest jej w historiach opowiadanych o tobie i tym Pielgrzymie?

– Nie słyszałam żadnych historii – odparła Olmayne spokojnie, nie podnosząc głosu.

– Że dzieli z tobą łóżko! Że razem pijecie napoje miłosne! Że razem sięgacie po rozkosz.

Olmayne nie przestawała się uśmiechać. Szeroką twarz miała spokojną, pogodną, nieruchomą. Wydawała mi się piękniejsza niż kiedykolwiek.

Wściekły Elegro szarpał szal. Jego ponura brodata twarz pociemniała od nieprzytomnego gniewu. Sięgnął pod tunikę, a kiedy cofnął rękę, trzymał w niej nieduży szklany koralik kapsuły wizyjnej. Pokazał ją żonie i księciu na wyciągniętej dłoni.

– Nie potrzeba słów – oznajmił – bo wszystko jest tutaj. Nagrane przepływem fotonów. Byliście obserwowani. Myśleliście, że da się coś ukryć tutaj? W tym miejscu? Żono, przecież jesteś Pamiętającą! Łudziłaś się, że to możliwe?

Olmayne przyjrzała się kapsułce z daleka, jakby była to uzbrojona bomba implozyjna.

– Jak doskonale to do ciebie pasuje – powiedziała z niesmakiem. – Szpiegowanie. Wielką przyjemność sprawiało ci oglądanie naszej radości?

– Ty potworze!

Elegro schował kapsułę. Podszedł do stojącego nieruchomo księcia, twarz wykrzywił mu grymas świętego oburzenia. Zatrzymał się tuż przed nim, na odległość wyciągniętej ręki.

– Poniesiesz najcięższą karę za ten brak szacunku – oznajmił lodowato. – Obdartego z szat Pielgrzyma, czeka cię los należny potworom. Wola pochłonie twą duszę!

– Uważaj, co mówisz – ostrzegł go książę Enric.

– Mam uważać, co mówię? Kim jesteś, że ośmielasz się tak do mnie odzywać? Pielgrzym pożądamy żony tego, kto udzielił mu gościny... popełniający świętokradztwo podwójne... kłamca ociekający świętoszkowatością... – Elegro niemal krzyczał. Już nie był taki opanowany, taki lodowaty. Bełkotał w ataku wściekłości, ujawniając utratę panowania nad sobą słabości ducha.

Wszyscy troje staliśmy nieruchomo zdumieni wylewającym się z niego potokiem słów. Odzyskaliśmy zdolność ruchu, gdy Pamiętający, dając się ponieść oburzeniu, chwycił księcia za ramiona i zaczął nim potrząsać.

– Nędzniku! – krzyknął książę. – Nie wolno ci mnie dotykać!

Uderzył obiema pięściami w pierś Elegra z taką siłą, że Pamiętający stracił równowagę i poleciał do tyłu. Uderzył plecami o kołyskę wodnistych artefaktów. Trzy kolby ze skrzącym się płynem zadrżały, ich zawartość przelała się, dywan zaprotestował cienkim krzykiem. Ciężko dysząc, oszołomiony Elegro przycisnął dłoń do piersi. Spojrzał na nas, jakby oczekiwał, że udzielimy mu wsparcia.

– Napad... – wyrzeźił – ...z użyciem siły.

– Ty pierwszy napadłeś – uświadomiła go żona.

Pamiętający podniósł rękę. Palce mu drżały.

– Za to nie będzie przebaczenia, Pielgrzymie.

– Nie nazywaj mnie Pielgrzymem – powiedział Enric. Sięgnął do siatkowej maski.

Olmayne krzyknęła, chciała go powstrzymać, ale gniew Księcia był nie do powstrzymania. Cisnął maskę na podłogę. Stał ukazując nagą, surową twarz, okrutną, jastrzębią. Szare mechaniczne kule oczu maskowały jego wielki gniew.

– Jestem księciem Roumu – oznajmił głosem jak grom. – Klęknij i ukorź się! Klęknij i ukorź się! Teraz, Pamiętający. Klęknij trzy razy, padnij na twarz pięć!

Elegro wyglądał, jakby się kurczył. Patrzył przed siebie nic nierozumiejącym spojrzeniem, aż nagle skulił się i odruchowo, oszołomiony, odbył rytuał poniżenia przed człowiekiem, który uwiódł mu żonę. Po raz pierwszy od opuszczenia Roumu książę objawił swą prawdziwą naturę. Czerpał z tego widoczną przyjemność, tak wielką, że nawet jego ślepe oczy promieniowały dumą władcy.

– Wyjdź! – rozkazał. – Zostaw nas!

Elegro uciekł. Ja pozostałem, chwiejący się, oszołomiony.

– Proszę o wybaczenie, stary przyjacielu – powiedział książę niezwykle uprzejmie – ale chcielibyśmy spędzić kilka chwil we dwoje.

Człowieka słabego można pokonać, atakując z zaskoczenia, ale kiedy efekt takiego ataku minie, człowiek ten uspokaja się, zaczyna myśleć, zaczyna knuć. I tak też było z Pamiętającym Elegro. Wyrzucony z mieszkania przez objawiającego swe prawdziwe oblicze Księcia Roumu, gdy tylko usunął się z jego pola widzenia, Elegro odzyskał spokój. Ruszył głową. Tej samej nocy, choć znacznie później, kiedy już ułożyłem się w kołysce i debatowałem sam ze sobą, czy nie warto wspomóc snu pastylką, wezwał mnie do swej pracowni znajdującej się na jednym z niższych poziomów budynku.

Siedział tam wśród narzędzi swego zawodu: rolek i szpul, płatków danych, kapsuł, czterech połączonych szeregowo czaszek, kilku ekranów danych, małej dekoracyjnej spirali: symboli gromadzenia i rejestrowania informacji. W dłoniach ścisnął kryształ wysysający napięcie, pochodzący z jednego ze światów Chmury; jego mleczne wnętrze zabarwiało się sepią w miarę, jak przyjmował on w siebie niepokój i strach. Udawał surowego, władczy, jakby zdążył już zapomnieć, że widziałem go w chwili upokarzającej słabości.

– Kiedy przybyliście razem do Perrisa wiedziałeś, kim naprawdę jest ten człowiek? – spytał.

– Tak – przyznałem.

– I nic o tym nie powiedziałaś?

– Nikt mnie nie pytał.

– Zdajesz sobie sprawę, na jakie ryzyko naraziłeś nas wszystkich, każąc nam, choć nieświadomie, dać schronienie

Dominatorowi?

– Jesteśmy Ziemianami, więc chyba nadal przyznajemy Dominatorom prawo władzy?

– Nie od dnia podboju. Prawem najeźdźców rząd we wszystkich jego postaciach przestał istnieć, a rządzący mają zostać zatrzymani.

– Powinniśmy sprzeciwić się takim rozkazom!

Pamiętający spojrział na mnie spod oka.

– A czy jest rzeczą Pamiętających mieszanie się do polityki? Tomisie, jesteście posłuszni rządowi, który właśnie rządzi, jakikolwiek jest, niezależnie od tego, jak doszedł do władzy. Nie bawimy się tu w ruch oporu.

– Rozumiem.

– Z czego wynika, że musimy pozbyć się niebezpiecznego uciekiniera. Tomisie, wydaję ci polecenie udania się natychmiast do kwatery głównej sił okupacyjnych. Masz poinformować Uwładzy Siedem, że schwytaliśmy Księcia Roumu, czekającego teraz na przejęcie przez właściwe władze.

– Ja mam iść? – wykrztusiłem zdumiony. – Czemu starzec ma pełnić funkcje chłopca na posyłki? Głęboką nocą? Przecież wystarczy czapka myśłówka, zwykła transmisja...

– To zbyt ryzykowne. Informacje przekazywane myśłówką mógłby przechwycić ktoś obcy.

– Wybór nic nieznaczącego ucznia... to się wydaje dziwne.

– Tylko my dwaj wiemy o wszystkim, a ja nie pójdę. Zostajesz ty.

– Jeśli nikt nie przedstawi mnie Uwładzy Siedem, nie zostanę do niego dopuszczony.

– Powiedz jego otoczeniu, że masz informacje prowadzące do zatrzymania Księcia Roumu. Zostaniesz wysłuchany.

– Mogę powołać się na ciebie?

– Jeśli okaże się to konieczne. Możesz powiedzieć, że księżę jest przetrzymywany w moim mieszkaniu... za zgodą mojej

żony.

Na te słowa omal nie roześmiałem się głośno, lecz udało mi się zachować pozory powagi. Nie zdradziłem swoich uczuć tchórzowi niezdolnemu nawet donieść na człowieka, który przyprawił mu rogi.

– Księżę dowie się w końcu, co zrobiliśmy. Uważasz, że to w porządku? Prosić mnie, żebym zdradził człowieka, który był mi towarzyszem przez tak wiele lat?

– Kto mówi o zdradzie? Wypełniamy tylko nasze obowiązki względem rządu.

– Nie uważam, bym miał wobec tego rządu jakieś obowiązki. Jestem lojalny wobec gildii Dominatorów. To dlatego wspomogłem księcia, gdy znalazł się w niebezpieczeństwie.

– I za to możesz stracić życie z ręki zdobywców. Masz tylko jedno wyjście: przyznać się do błędu i pomóc w zatrzymaniu księcia.

W całym długim, spokojnym życiu ja, człowiek tolerancyjny, nie czułem do nikogo takiej nienawiści, jak w tej chwili do Pamiętającego Elegro. A jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mam wyboru. Cokolwiek zrobię, będzie źle. Elegro chce zniszczyć kochankę żony, brak mu jednak odwagi, by donieść na niego osobiście, więc to ja muszę wydać człowieka, którego chronilem i któremu towarzyszyłem w długiej drodze i za którego czułem się odpowiedzialny, tym, którzy nas pokonali. Jeśli odmówię, Elegro najprawdopodobniej poinformuje najeźdźców i o mnie jako współniku księcia w ucieczce z Roumu, może także wyrzucić zemstę, wykorzystując do tego maszynę gildii. Jeśli mu się podporządkuję, wyrzuty sumienia pozostaną ze mną na zawsze, a jeśli Dominatorzy kiedyś znów obejmą rządy, będę musiał się gęsto tłumaczyć.

Zastanawiałem się, co robić. A jednocześnie przeklinałem najgorszymi słowami i niewierną żonę Pamiętającego, i jego samego.

Wahałem się. Elegro naciskał. Groził, że oskarży mnie o nielegalne uzyskanie dostępu do tajnych akt i zakazane wprowadzenie do siedziby gildii wyjętego spod prawa uciekiniera. Groził, że na zawsze odetnie mnie od zbiorników informacji. Nawet wspomniał coś o zemście.

W końcu podjąłem decyzję. Powiedziałem mu, że pójde do siedziby najeźdźców i wszystko im opowiem. Zaplanowałem już kolejną zdradę z nadzieją, że zneutralizuje ona tę, którą musiałem popełnić na żądanie Elegra.

Z siedziby gildii wyszedłem tuż przed świtem. Odetchnąłem ciepłym, pachnącym słodko powietrzem. Lekka mgiełka osiadała na domach i ulicach, sprawiając, że lśniły. Nie widziałem żadnego z dwóch księżyców. Pustka na ulicach sprawiała, że czułem się niepewnie. Powtarzałem sobie, że nikomu nie będzie się chciało skrzywdzić podstarzałego Pamiętającego, ale, uzbrojony wyłącznie w mały nóż, jednak bałem się bandytów.

Droga poprowadziła mnie jedną z ramp dla pieszych, pnącą się ostro w górę. Zadyszałem się trochę, ale kiedy dotarłem na właściwy poziom, poczułem się bezpieczniej. Częściej spotykało się tu węzły patrolowe, nie było też kompletnie pusto. Minąłem widmową postać ubraną w biały atłas, przez który prześwitywały nieludzkie rysy, był to duch, upiorny mieszkaniec planety Byka, gdzie reinkarnacja jest normą, gdzie żaden mieszkaniec nie żyje w swym oryginalnym ciele. Minąłem trzy żeńskie mieszkanki Łabędzia; chichocząc, spytały mnie, czy nie spotkałem gdzieś męskich mieszkańców ich świata, koniecznych, bo zbliża się dla nich czas połączenia. Minąłem parę Odmieńców; przyjrżeli mi się podejrzliwie, ale uznali, że nie mam przy sobie nic, z czego warto byłoby mnie okraść. Odeszli, zostawiając mnie w spokoju. Ich łaciate wola kołysały się w rytm kroków, skóra promieniowała jasno.

Dotarłem wreszcie do przysadzistego ośmiokątnego budynku zajmowanego przez Prokuratora Perrisa.

Nie strzeżono go jakoś specjalnie. Najeźdźcy byli chyba przekonani, że nie spróbujemy kontrataku, i zapewne mieli rację; planeta podbita między zachodem i wschodem słońca raczej nie stworzy skutecznego ruchu oporu. Wokół budynku dostrzegłem blady poblask skanerów bezpieczeństwa, w powietrzu czuło się zapach ozonu. Na dużym placu po drugiej stronie ulicy Handlarze przygotowywali się do jarmarku. Potężne Sługi dźwigały beczki przypraw, bezpłciowcy nosili czarne kielbasy.

Przeszedłem przez strefę skanera. Naprzeciw mnie wyszedł jeden z najeźdźców. Wyjaśniłem mu, że mam ważną wiadomość dla Uwładzy Siedem. Po zdumiewająco krótkiej procedurze urzędowej, konsultacji zaledwie z jednym czy dwoma pośrednikami, znalazłem się w obliczu Prokuratora.

Najeźdźca urządził swe biuro prosto, lecz ze smakiem, wyłącznie przedmiotami ziemskiego pochodzenia. Draperie utkano w Afreece, dwie alabastrowe wazy pochodziły ze starożytnego Augyptu, a marmurowy posązek zapewne z Roumu, z początków jego świetności. W talyańskiej czarnej wazie ozdobnie wiodło kilka kwiatów śmierci. Sam Prokurator wydawał się bardzo zajęty, zonglował kilkoma kostkami informacyjnymi naraz. Najeźdźcy, jak słyszałem, woleli pracować nocami, więc ten widok mnie nie zdziwił.

Podniósł na mnie wzrok po długiej chwili.

– O co chodzi, starcze? – spytał. – Podobno wiesz coś o jakimś zbiegłym Dominatorze?

– Książę Roumu. Wiem, gdzie przebywa w tej chwili.

W zimnych oczach Prokuratora zabłysły iskierki żywego zainteresowania. Przesunął wielopalczystymi dłońmi po blacie biurka, na którym ustawione były emblematy kilku ziemskich

gildii, między innymi Przewoźników, Pamiętających, Obrońców i Klaunów.

– Mów dalej.

– Księżę jest w mieście. Przebywa w miejscu, z którego nie zdoła zbiec.

– Przyszedłeś poinformować mnie, jakie to miejsce?

– Nie. Przyszedłem kupić mu wolność.

Uwładzy Siedem zdumiał się wyraźnie.

– Potraficie mnie zaskoczyć wy, ludzie – przyznał. – Twierdzisz, że schwytaleś kryjącego się przed nami Dominatora. Założyłem, że chcesz go nam sprzedać, ale nie, ty chcesz go kupić. Po co się do nas zgłosiłeś? Czy to jakiś żart?

– Proszę o pozwolenie na udzielenie wyjaśnień.

Prokurator wpatrywał się z wyraźnie widocznym namysłem w lśniący blat biurka, a ja opowiadałem mu, jak najkrócej, o wędrowce z oślepionym księciem z Roumu do Perrisa, o naszym przybyciu do siedziby gildii Pamiętających, o tym, jak Enric uwiódł Pamiętającą Olmayne, co skłoniło jej słabego, chwiejnego męża do wydania go z zemsty nowemu rządowi. Nie kryłem, że informacji udzielam pod naciskiem i że sam nie zamierzałem go zdradzić.

– Zdaję sobie sprawę, że chcecie dostać wszystkich Dominatorów – zakończyłem. – Jednak ten już zapłacił za wolność, i to bardzo wysoką cenę. Proszę o podanie Pamiętającym do wiadomości, że księżę Roumu został objęty amnestią i ma pozwolenie na kontynuowanie Pielgrzymki do Jorslemy. To uwolni go spod władzy Elegra.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić? – spytał Uwładzy Siedem. – Jaką korzyść odniesiemy z amnestionowania tego twojego księcia?

– Podczas badań korzystałem ze zbiorników pamięci gildii. Wykorzystywałem je bardzo intensywnie.

– I?

– Znalazłem to, czego szukacie.

Uwładzy Siedem przyglądał mi się długo, uważnie.

– A skąd miałbyś wiedzieć, czego szukamy?

– W najgłębszych czeluściach głównej siedziby gildii Pamiętających znalazłem nagranie obrazu z obozu, w którym żyli porwani przez naszych przodków wasi przodkowie – powiedziałem cicho. – Widać na nim ich cierpienie. W drobnych szczegółach. To doskonałe usprawiedliwienie dokonanego przez H362 podboju Ziemi.

– Niemożliwe! Taki dokument nie istnieje! – Prokurator zareagował tak gwałtownie, że pozbyłem się obaw. Trafiłem w czułe miejsce. – Bardzo dokładnie przeszukaliśmy zasoby waszej wiedzy. Macie tylko jedno nagranie obozu, nie tego, w którym zamknięto naszych przodków. Ukazuje nieludzką rasę, istoty w kształcie piramidy, pochodzące prawdopodobnie z jednego ze światów Kotwicy.

– Widziałem je. Są też inne. Spędziłem wiele czasu na poszukiwaniach. Pożądałem wiedzy o niesprawiedliwościach nigdy przez nas popełnionych.

– Rejestry...

– ...bywają niekompletne. Tamto nagranie znalazłem przez przypadek. Sami Pamiętający nie wiedzą, że je mają. Wskażę wam miejsce przechowywania... jeśli dacie spokój księciu Roumu.

Prokurator milczał przez dłuższą chwilę.

– Nie rozumiem cię – przyznał. – Doprawdy nie wiem, czy łotr z ciebie, czy wcielenie cnót.

– Wiem, komu winien jestem lojalność.

– A jednak zdradzasz sekrety swej gildii, chociaż...

– Nie jestem Pamiętającym, lecz zaledwie uczniem, poprzednio z gildii Strażników. Nie chcę, żebyście skrzywdzili księcia, bo chce tego głupiec zdradzony przez żonę. To on go zdemaskował, on go przetrzymuje, a wy możecie dać mu

wolność. Zatem nie mam wyboru, muszę dostarczyć wam to nagranie.

– Które Pamiętający wymazali z rejestrów, by nie wpadło w nasze ręce.

– Które Pamiętający zagubili beztrosko i o którym zapomnieli.

– Bardzo w to wątpię – powiedział Uwładzy Siedem. – Ci ludzie nie bywają beztroscy. Ukryli to nagranie. Czy oddając je nam, nie zdradzasz przypadkiem całej swojej rasy, człowieku? Czy nie kolaborujesz ze znienawidzonym wrogiem?

Wzruszyłem ramionami.

– Chodzi mi wyłącznie o wolność dla księcia. Inne cele wymagające innych środków nie interesują mnie w najmniejszym stopniu. Miejsce ukrycia dokumentów w zamian za akt łaski.

Najeźdźca okazał coś, co u jego rasy było zapewne uśmiechem.

– W naszym interesie jest, by przedstawiciele gildii Dominatorów nie pozostawali na wolności. Znalazłeś się w niezręcznej sytuacji, prawda? Mogę zmusić cię, byś zdradził mi miejsce przechowywania interesującego nas dokumentu. Mieć i dokument, i księcia.

– To oczywiście możliwe – zgodziłem się. – Ryzykuję, ale zakładam, że istoty gotowe karać za zbrodnię popełnioną przeciw nim przed tysiącletkami posiadają coś, co nazywamy honorem. Jestem w waszej mocy, dane o nagraniu mam w głowie, możecie mi je odebrać.

Prokurator roześmiał się, niewątpliwie szczerze.

– Poczekaj chwilę – polecił.

Powiedział kilka słów w swoim języku do bursztynowego urządzenia komunikacyjnego. Chwilę później do pokoju wszedł inny przedstawiciel jego gatunku. Rozpoznałem go natychmiast, choć Gormon zrezygnował z co bardziej rzucających się w oczy

elementów przebrania i nie był już tym Odmieńcem, z którym tak długo wędrowałem. Uśmiechnął się do mnie charakterystycznym dla swej rasy wieloznacznym uśmiechem.

– Pozdrawiam cię, Strażniku – powiedział.

– A ja pozdrawiam ciebie, Gormonie.

– Teraz jestem Zwycięskim Trzynaście.

– A ja jestem teraz Tomisem z Pamiętających.

– Gdzie wy się tak zaprzyjaźniliście? – spytał zaciekawiony Uładzy Siedem.

– Podczas podboju – wyjaśnił Zwycięski Trzynaście – pełniłem obowiązki wysuniętego zwiadowcy. Spotkałem tego człowieka w Talyi. Razem powędrowaliśmy do Roumu.

– Gdzie Lataczka Avluela? – spytałem, drżąc.

– Zdaje się, że w Parsji – odparł Gormon obojętnie. – Mówiła, że chce wrócić do Hindii, gdzie żyje jej lud.

– Rozumiem, że krótko ją kochałeś?

– Byliśmy bardziej przyjaciółmi niż kochankami. Nie uznawaliśmy naszego związku za ważny, ani ona, ani ja.

– Może dla ciebie nie był ważny, ale...

– Dla nas obojga.

– I z powodu przelotnej znajomości wyłupiłeś człowiekowi oczy?

Gormon wzruszył ramionami.

– Zrobiłem to, żeby udzielić lekcji dumy dumnej istocie.

– Wtedy twierdziłeś, że jesteś zazdrosny – przypomniałem mu. – I że do tego czynu skłoniła cię miłość.

Ale Zwycięski Trzynaście przestał się już mną interesować.

– Co ten człowiek tu robi? – spytał Uładzy Siedem. – I dlaczego mnie wezwałeś?

– Książę Roumu jest w Perrisie – oznajmił Uładzy, a Zwycięski zareagował tak, jakby ta wiadomość bardzo go zdziwiła. – Został uwięziony przez Pamiętających. Ten człowiek

zapropował nam dziwną transakcję. Znasz księcia lepiej niż ktokolwiek z nas. Pytam cię o radę.

Prokurator przedstawił sytuację temu, który był kiedyś Gormonem, słuchającemu go uważnie, w milczeniu. Zakończył pytaniem:

– Mamy więc problem: czy objąć amnestią ściganego Dominatora?

– Jest ślepy – powiedział Zwycięski Trzynaście. – Nie ma władzy. Jego zwolennicy rozproszyli się. Ducha mu, być może, nie złamaliśmy, ale nie jest dla nas niebezpieczny. Powinniśmy zawrzeć układ.

– Uchylenie nakazu zatrzymania Dominatora niesie pewne ryzyko administracyjne – zauważył Uwładzy Siedem – niemniej zgadzam się z tobą. Przyjmiemy układ. – Zwrócił się do mnie. – Ale najpierw ujawnij miejsce przechowywania poszukiwanego dokumentu.

– Najpierw zwolnijcie księcia – odparłem spokojnie.

Rozśmieszyłem mym żądaniem obu najeźdźców.

– No oczywiście – powiedział Uwładzy Siedem. – Powiedz nam może, skąd mamy wiedzieć, że dotrzymasz słowa? Przez godzinę, którą zajmie nam przygotowanie jego uwolnienia, kto wie, co zdarzy się z tobą?

– Jeśli można – wtrącił Zwycięski Trzynaście. – Moim zdaniem nie jest to kwestia braku zaufania, lecz odpowiedniego zgrania czynności w czasie. Tomisie, dlaczego nie miałbyś nagrać informacji o lokalizacji dokumentu na kostkę z sześciogodzinnym opóźnieniem? Zaprogramujemy ją tak, by odtworzyła nagranie tylko jeśli w ciągu najbliższych sześciu godzinnych rozkaz taki wyda jej książę Roumu osobiście. On i nikt inny. Jeśli przez ten czas nie znajdziemy i nie uwolnimy księcia, kostka ulegnie samozniszczeniu. Tym sposobem po uwolnieniu księcia dostaniemy, czego chcemy, nawet gdyby... ehm... coś ci się stało.

- Gotów na każdą ewentualność, co?
- Czy mogę uznać, że zawarliśmy umowę? – spytał Uwładzy.
- Możesz uznać, że zawarliśmy umowę – odparłem.

Przynieśli mi kostkę. Odgrodzony ścianką prywatności wypisałem na jej śliskiej powierzchni numer regału i sekwencję równań dokumentu, który odkryłem. Minęło kilka chwil, kula przewróciła się na nice, informacja znikła w jej niedostępnym wnętrzu.

Oddałem ją najeźdźcom. W ten sposób zdradziłem swą ojczystą Ziemię przez wysługiwanie się niewolącym ją zaziemcom. Zrobiłem to z poczucia lojalności dla ślepego, uwodzącego cudze żony księcia.

Tymczasem nadszedł świt. Nie poszedłem z najeźdźcami do siedziby gildii Pamiętających, nie moim zajęciem była rejestracja skomplikowanych zabiegów, do których musiało tam dojść. Wolałem być gdzie indziej.

Szedłem szarymi uliczkami biegnącymi wzdłuż brzegów ciemnej Senny. Ta rzeka ponad czasem, dziobata od uderzających w jej powierzchnię kropel, napierała wytrwale na kamienne łuki starożytności z Pierwszej Ery, mostów łączących niepoliczalne millennia, pamiątek z czasów, kiedy człowiek miał tylko te kłopoty, które sprawił sobie sam. Na miasto schodził ranek. Stary, zakorzeniony tak głęboko, że niemożliwy do wymazania zwyczaj kazał mi poszukać instrumentów koniecznych do przeprowadzenia Straży; minęła chwila, nim uświadomiłem sobie, że te czasy minęły, że Strażników już nie ma, że nieprzyjaciel zaatakował i zwyciężył, i że stary Wuellig, dziś Tomis z Pamiętających, właśnie się mu sprzedał.

W cieniu starego dwuwieżowego religijnego domu antycznych Christerów dałem się skusić i wszedłem do budki Somnambulika. Z tą gildią nie miałem do tej pory częstych kontaktów; na swój sposób wystrzegam się szarlatanów, a szarlatanów w naszych czasach nie brakuje. Somnambulicy po wejściu w trans mogą – jak twierdzą – zobaczyć, co było, co jest i co będzie. Ja sam wiem o transach to i owo, niegdyś wchodziłem w nie przecież cztery razy na dobę ale Strażnicy, dumni ze swej profesji, muszą pogardzać wątpliwą etyką zawodową tych, którzy, jak Somnambulicy, używają

jasnowidzenia w celach zarobkowych. Już jako Pamiętający ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedziałem się, że wcale często bywają oni konsultowani, że służą pomocą przy nowych odkryciach bogactw dawnych czasów i okazują się przy tym bardzo przydatni. Pozostałem sceptyczny, ale niby dlaczego nie miałbym dowiedzieć się czegoś nowego? No i potrzebowałem schronienia przed burzą, niewątpliwie szalejącą w tej chwili pod dachem domu cechowego Pamiętających.

Drobna pretensjonalna figurka powitała mnie przy wejściu do prymitywnej niskiej budki przesadnie uniżonym, niemal kpiącym ukłonem.

– Jestem Samit z Somnambulików – przedstawiła się. – Witam cię i życzę ci samych dobrych wieści. Oto moja towarzyszka, Murta Somnambuliczka.

Murta była kobietą okazałą, przystrojoną w koronki, o okrągłej twarzy z obwisłymi policzkami, z oczami otoczonymi ciemnymi kręgami i śladem wąsika nad górną wargą. Somnambulicy formują dwuosobowe zespoły, jeden z nich wabi klientów, drugi z nimi pracuje. Większość tych zespołów to mąż i żona, i tak też było w tym przypadku. Mózg mi się buntował na myśl o miniaturowym Samicie przytulonym do ogromnej Murty, no ale nie był to mój problem. Zająłem miejsce wskazane mi przez Samita. Na stole leżały tabletki żywnościowe w przeróżnych kolorach, przeszkodziłem gospodarzom przy śniadaniu. Murta w głębokim transie chodziła, stąpając ciężko, tam i z powrotem, ocierając się o meble, zawsze delikatnie. Niektórzy Somnambulicy podobno spędzają w transie siedemnaście, osiemnaście godzin z dwudziestu, a wychodzą z niego tylko po to, żeby coś zjeść i zadbać o inne potrzeby ciała. Inni w ogóle z transu nie wychodzą, a o ich potrzeby dbają akolici.

Nie słuchałem tego, co miał mi do powiedzenia Samit z Somnambulików, reklamowej gadki pełnej mądrze

brzmiących zbitek słów. Taka gadka obliczona jest na ignorantów, bo głównie z nimi: Sługami, Komediantami i innymi ciężko pracującymi ludźmi bez wykształcenia mają oni do czynienia. Po dłuższej chwili, jakby wyczuwając rosnące zniecierpliwienie, Samit przestał mi wychwalać talenty Murty i po prostu spytał, czego chciałbym się dowiedzieć.

– Somnambulicy z pewnością wiedzą to równie dobrze jak ja – odparłem.

– Pragniesz ogólnej analizy?

– Chcę poznać los tych, którzy mnie otaczają. Szczególnie zależy mi, by Somnambuliczka skoncentrowała się na tym, co właśnie działo się w siedzibie gildii Pamiętających.

Samit postukał długimi paznokciami po gładkim blacie stołu. Spojrzał na przyciężką, wieśniaczą Murte.

– Czy jesteś w kontakcie z prawdą? – spytał ją.

Jej odpowiedzią było długie, ciche westchnienie, wypływające z masy drżącego ciała.

– Co widzisz? – padło kolejne pytanie.

Murta zaczęła bełkotać. Somnambulicy przemawiają językiem nieużywanym przez ludzkość, szorstkim, zgrzytliwym, zdaniem niektórych wywodzącym się z mowy starożytnego Aguptu. Jeśli o mnie chodzi, to nic o tym nie wiem, a to, co mówią, wydaje mi się niezborne, niespójne, niezdolne nieść jakiegokolwiek znaczenie. Samit słuchał jej, po czym skinął głową, nie kryjąc zadowolenia, i wyciągnął do mnie dłoń, spodnią stroną do góry.

Targowaliśmy się o wynagrodzenie, ale krótko.

– Teraz mów – ponagliłem Samita. – Zinterpretuj mi prawdę.

– Mają w tym udział zaświatowcy – rozpoczął ostrożnie. – A także członkowie gildii Pamiętających.

Milczałem, nie chciałem mu niczego zasugerować.

– Spierają się, to bardzo gwałtowna kłótnia. Toczy się o człowieka bez oczu.

Drgnąłem. Nie udało mi się ukryć zaskoczenia. Samit uśmiechnął się chłodno, tryumfująco.

– Mężczyzna bez oczu to upadły władca. Czy można powiedzieć, że jest Ziemią, okaleczoną przez najeźdźców? Jego czas dobiega końca. Chce odzyskać, co stracił, ale wie, że to niemożliwe. Przez niego jeden z Pamiętających złamał przysięgę. Do siedziby ich gildii przybyli zdobywcy... żeby go pokarać? Nie! Nie! Żeby uwolnić go z niewoli! Mam mówić dalej?

– I to szybko!

– Dostałeś wszystko, za co zapłaciłeś.

Skrzywiłem się gniewnie, bo to było wymuszenie. A jednak Somnambuliczka widziała prawdę, bez wątpienia. Nie dowiedziałem się od niej niczego, czego bym już wcześniej nie wiedział, ale dzięki temu nabrałem przynajmniej przekonania, że mogę się dowiedzieć.

Dopłaciłem. Samit ścisnął pieniądze w dłoni. Przez chwilę konferował z Murtą. Kiedy zaczęła mówić, mówiła dłużej, wyraźnie poruszona, obracała się kilkakrotnie, a raz mocno zderzyła ze starą, zatechłą otomaną.

Tłumaczenia podjął się Samit.

– Mężczyzna bez oczu wszedł pomiędzy męża i jego żonę. Oburzony mąż domaga się kary. Zaświatowcy mu w tym przeszkodzą. Zaświatowcy szukają ukrytej prawdy, znajdą ją dzięki pomocy zdrajcy. Mężczyzna bez oczu pragnie wolności i władzy, ale odnajdzie pokój. Skalana żona pożąda rozrywki, a czeka ją cierpienie.

– A ja? – przerwałem ciężką i drogo mnie kosztującą ciszę. – O sobie nie dowiedziałem się niczego.

– Wkrótce opuścisz Perris, tak jak do niego przybyłeś. Nie odejdziesz sam. Nie będziesz członkiem tej gildii, której członkiem jesteś teraz.

– Dokąd pójdę?

– Znamy odpowiedź na to pytanie, ale i ty ją znasz. Chcesz marnować pieniądze?

Znów zapadła cisza. I znów to ja ją przerwałem.

– Powiedz mi, że co mnie czeka w drodze do Jorslemy?

– Nie stać cię na zapłacenie za tę informację. Możliwe przyszłości są bardzo drogie. Radzę ci, byś poprzestał na tym, co już wiesz.

– Mam kilka pytań dotyczących tego, co już zostało powiedziane.

– Nie objaśniamy tego, co powiedzieliśmy, za żadne pieniądze.

Samit uśmiechnął się z pogardą tak wielką, że odczułem ją niemal fizycznie. Somnambuliczka Murta, nadal chodząca tam i siam, objijająca się o meble, jęknęła, a potem głośno się jej odbiło. Potęgi, z którymi była w kontakcie, przekazały jej chyba nową wiedzę, bo jęczała, drżała i cmokała pod nosem. Mąż przemówił do niej w ich języku, wysłuchał długiej odpowiedzi i spojrzał na mnie.

– Tę wiadomość dostajesz od nas za darmo. Twoje życie nie jest zagrożone ale dusza tak. Dobrze by było, gdybyś jak najszybciej pogodził się z Wolą, odzyskał poczucie moralności. Pamiętaj, komu winien jesteś lojalność. Zadośćuczynź za grzechy, nawet te popełnione z dobrej woli. Więcej nie mogę powiedzieć.

Rzeczywiście. Murta drgnęła, wyglądało na to, że się budzi. Wychodziła z transu, potężne zwały tłuszczu na jej twarzy i ciele zaczęły kołysać się i drgać. Rozchyliła powieki, ale pod nimi ukazały się tylko białka, okropny widok. Spod ściągniętych grubych warg wyjrzały gnijące zęby. Samit wyprosił mnie z budki, energicznie machając małymi rączkami.

Uciekłem w mroczny deszczowy ranek. Wracałem do siedziby gildii Pamiętających najszybciej jak potrafiłem. Kiedy dotarłem na miejsce nie mogłem złapać oddechu, a pod mostkiem czułem ostry ból. Zatrzymałem się na progu

wspaniałego gmachu, żeby odzyskać choć część sił. Nad mą głową unosiły się latacze opuszczające budynek przez wyższe piętra. Omal nie zabrakło mi odwagi, ale w końcu zdołałem zebrać jej tyle, by wejść do środka i wspiać na piętro, na którym mieszkali Elagro i Olmayne.

Hol wypełniali Pamiętający, słyszałem jednostajny szmer podnieconych szeptów. Przeciskałem się wśród tłumu, póki mężczyzna, którego widziałem kiedyś, zajmującego znaczące miejsce w hierarchii gildii, nie zatrzymał mnie, władczo unosząc rękę.

– Co tu robisz, uczniu? – spytał.

– Jestem Tomis, wprowadzony do gildii przez Pamiętającą Olmayne.

– Tomis!- wykrzyknął ktoś.

Chwycono mnie i wepchnięto do znajomego mieszkania, w tej chwili obrazu nędzy i rozpacz. Kilkunastu obecnych w nim Pamiętających, niespokojnych i przestraszonych, nerwowo bawiło się szalami. Był wśród nich łatwy do rozpoznania, szczupły, elegancki kanclerz Kenishał, patrzący przed siebie tępym, zrozpaczonym wzrokiem. Po lewej od drzwi wejściowych, przykryte kapą, leżało w kałuży krwi ciało w stroju Pielgrzyma, ciało Księcia Roumu, a obok niego poplamiona czerwienią pielgrzymia maska. Przy przeciwległej ścianie, wsparty o ozdobną komódkę, pełną pięknych zabytków z czasów Drugiego Cyklu, siedział skulony Pamiętający Elegro, wyglądający jakby spał. Na jego twarzy pozostał na zawsze wyraz wściekłego gniewu i zaskoczenia, gardło zaś przebiła mu pojedyncza delikatna strzałka. Z boku, jak najdalej od jednego i drugiego, mając przy boku dwóch mocno zbudowanych członków gildii, stała Pamiętająca Olmayne z czarnymi włosami rozczochranymi, opadającymi na czoło, w podartym szkarłatnym płaszczu nieskrywającym spoconej skóry i białych,

obfitych piersi. Miałem wrażenie że, pogrążona we śnie, nie ma nic wspólnego z tym, co tu się stało.

– Co tu się stało? – spytałem.

– Podwójne morderstwo – powiedział kanclerz Kenishał łamiącym się głosem. Podszedł do mnie, wysoki, siwy mężczyzna wyglądający jakby utracił kontakt z rzeczywistością. Powieka drgała mu w niekontrolowanym tiku. – Kiedy ostatni raz widziałeś tych ludzi żywych, uczniu?

– W nocy.

– Co robiłeś w tym mieszkaniu.

– Byłem ich gościem, nic więcej.

– Czy coś tu się wówczas zdarzyło?

– Owszem. Doszło do kłótni między Pamiętającym Elagro i Pielgrzymem – przyznałem.

– O co się kłócili? – spytał Kanclerz ledwie słyszalnie.

Spojrzałem niepewnie na Olmayne, ale ona nic nie widziała i nic nie słyszała.

– O nią – powiedziałem.

Wśród Pamiętających rozległ się szmer, tręcili się, kiwali głowami, niektórzy nawet uśmiechali się otwarcie. Dostali oto potwierdzenie, że tak, doszło do skandalu.

Kanclerz jeszcze bardziej spoważniał. Wskazał ciało księcia.

– Do Perrisa weszliście razem. Był twoim towarzyszem. Znałeś jego prawdziwą tożsamość? – spytał.

Zwilżyłem wargi.

– Miałem pewne podejrzenia – przyznałem ostrożnie.

– Że jest...?

– Że był Księciem Roumu. – Zrezygnowałem z wybiegów, w mojej sytuacji mogły mi tylko zaszkodzić.

I znów obecni kiwali głowami, tręcili jeden drugiego.

– Tego człowieka należało zatrzymać – powiedział Kanclerz. – Nie miałeś prawa zachowywać dla siebie prawdy o jego tożsamości.

Milczałem. Tylko to mi pozostało.

– Nie było cię tu przez kilka godzin – kontynuował Kanclerz. – Powiedz nam, co robiłeś po wyjściu z mieszkania Elegro i Olmayne.

– Udałem się do prokuratora Uwładzy Siedem – przyznałem.

– W jakim celu?

– Zamierzałem poinformować Prokuratora, że Księżę Roumu został zatrzymany i że znajduje się obecnie w mieszkaniu Panującego. Do poinformowania o tym Prokuratora zobowiązał mnie poleceniem Pamiętający Elegro. Po przekazaniu wiadomości przez kilka godzin spacerowałem ulicami miasta, bez żadnego określonego celu. A kiedy wróciłem, okazało się..... okazało się...

– Okazało się, że w gildii zapanował chaos – dokończył Kanclerz Kenishał. – Prokurator przybył o świcie. Skierował się wprost do tego mieszkania. Elegro i księcia zastał żywych, co do tego nie ma wątpliwości. Następnie udał się do archiwum. Usunął z niego – usunął! – materiał o niesłychanej doniosłości... doniosłości, powtarzam... mieliśmy go za dobrze... ukryty... jego doniosłość...

Kanclerz zachowywał się jak maszyna rdzewiejąca w przyśpieszonym tempie. Mówił coraz ciszej, poruszał się coraz wolniej, oddychał ciężko, zgrzytliwie, przestawał funkcjonować. Kilku wysoko postawionych Pamiętających pośpieszyło z natychmiastową pomocą, jeden z nich wstrzyknął mu lekarstwo w ramię i to ono, jak się wydaje, doprowadziło go do przytomności.

– Do morderstw doszło już po tym, jak Prokurator opuścił budynek. Pamiętająca Olmayne nie była w stanie udzielić nam informacji, co właściwie się tu stało. Być może ty, uczniu, wiesz coś, co miałoby jakąś wartość.

– Mnie tu wtedy nie było. Dwoje Somnambulików pracujących nad Senną zaświadczy, że przebywałem wówczas

w ich towarzystwie.

Na wzmiankę o Somnambulikach ktoś parsknął śmiechem. Niech mu będzie, gra nie toczyła się tu przecież o moją godność. Byłem w poważnym niebezpieczeństwie.

– Udasz się do przeznaczonego ci pokoju – powiedział powoli Kanclerz. – Zaczekasz tam na pełne przesłuchanie, a gdy zostaniesz zwolniony, opuścisz siedzibę gildii i w ciągu dwudziestu godzin także Perris. Władzą mnie powierzoną wydalam cię z gildii Pamiętających.

Mimo że od Samita wiedziałem, co mnie czeka, jego słowa uderzyły mnie obuchem.

– Zostaję wydalony z gildii? Dlaczego?

– Ponieważ nie możemy ci ufać. Jesteś przesadnie tajemniczy. Przyprowadziłeś księcia, ale nie podzieliłeś się z nami swymi wątpliwościami, byłeś świadkiem kłótni zakończonych morderstwem, odwiedzasz Prokuratora w środku nocy. Całkiem możliwe wydaje się i to, że z twoją pomocą pozbawiono nas zasobu archiwalnego, co może mieć potencjalnie tragiczne konsekwencje. Niepotrzebni nam ludzie kryjący tajemnice. Więzy, które łączyły cię z nami, uznaję za przerwane. – Kanclerze zakończył przemowę pretensjonalnie uroczystym gestem. – Oddal się teraz do swego pokoju, a po przesłuchaniu odejść.

Wyprowadzono mnie z pokoju Pamiętających. Nim wejście się za mną zamknęło, udało mi się jeszcze zobaczyć Kanclerza, z twarzą koloru popiołu, osuwającego się w ramiona współpracowników. Jednocześnie Pamiętająca Olmayne oprzytomniała nagle, osunęła się na podłogę i zaczęła krzyczeć.

Zostałem sam w swym pokoju. Przez dłuższy czas zbierałem swoje rzeczy, choć było ich tak niewiele. Dopiero bardzo późnym rankiem pojawił się Pamiętający, którego nie znałem. Przyniósł ze sobą urządzenie do przesłuchania. Przyjrzałem mu się niepewnie. Pomyślałem, że jeśli gildia dowie się, kto podał najeźdźcy lokalizację archiwalnego zapisu o obozie, będę skończony. Już mnie o to podejrzewano, a Kanclerz nie oskarżył mnie głośno chyba tylko dlatego, że nie mieściło mu się w głowie, by zwykłemu uczniowi chciało się prowadzić uciążliwe prywatne badania archiwaliów.

Szczęście mi sprzyjało. Przesłuchującego interesowały wyłącznie szczegóły zabójstw i kiedy okazało się, że ich nie znam, zostałem zwolniony z ostrzeżeniem, że jest moim obowiązkiem opuścić siedzibę gildii w wyznaczonym czasie. Obiecałem, że spełnię ten warunek.

Najpierw jednak musiałem odpocząć, skoro w nocy nie zmrużyłem oka. Wypiłem trzygodzinną dawkę i zapadłem w kojący sen, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem stojącą obok łóżka postać: Pamiętającą Olmayne. Wydało mi się, że od wczorajszego wieczora bardzo się postarzała. Miała na sobie skromną szatę w zgaszonym kolorze, pozbawioną ornamentów i ozdób. Jej nieruchoma twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Udało mi się nie okazać zaskoczenia jej obecnością. Usiadłem, wykrztusiłem przeprosiny za to, że nie powitałem jej wystarczająco szybko.

– Uspokój się – powiedziała Olmayne bardzo łagodnie. – Przerwałam ci sen?

– Spałem tak długo, jak to sobie wyznaczyłem.

– Ja w ogóle. Na sen przyjdzie czas później. Musimy coś sobie wyjaśnić, Tomisie.

– Owszem. – Wstałem, zachwiałem się lekko. – Nic ci nie jest? Kiedy widziałem cię ostatnim razem, wydawałaś się pogrążona w transie.

– Dostałam lekarstwa.

– Opowiedz mi wszystko, co możesz mi opowiedzieć o wydarzeniach ostatniej nocy.

Olmayne przymknęła oczy i zaraz znów je otworzyła.

– Byłeś przy tym, kiedy Elegro oskarżył nas i kiedy księżę wyrzucił go z mieszkania. Powrócił po kilku godzinach, w towarzystwie Prokuratora Perrisa i jeszcze kilku najeźdźców. Zachowywał się tak, jakby coś go zachwyciło. Prokurator wyjął kostkę. Kazał księciu położyć na niej dłoń. Księżę odmówił, ale Prokuratorowi udało się przekonać go do współpracy. Po tym, jak dotknął kostki wyszli obaj, Uwładzy Siedem i mój mąż, a ja znów zostałam sam na sam z księciem. Nie pojmowaliśmy, co się właściwie stało. Pod drzwiami stanęli strażnicy, księżę nie mógł wyjść. Niedługo potem obaj, Elegro i Uwładzy, wrócili i tym razem Elegro wydawał się przygnębiony i zdezorientowany, a Uwładzy radosny. Oznajmił, że były księżę Perrisa został objęty amnestią i że nikomu nie wolno zrobić mu krzywdy. Wówczas inni najeźdźcy wyszli.

– Mów dalej, proszę.

Olmayne przemawiała tak, jakby była Somnambuliczką.

– Elegro nie zrozumiał chyba, co zaszło. Krzyczał, że to zdrada i że to on został zdradzony. Doszło do awantury. Elegro piszczał jak kobieta, księżę rósł w pychę, jeden drugiemu kazał opuścić mieszkanie. Kłócili się tak gwałtownie, że dywan zaczął umierać. Płatki rozchyły się i opadały. A potem wszystko

szybko się skończyło. Elegro chwycił broń. Zagroził, że jej użyje, jeśli księżę nie wyjdzie, natychmiast. Księżę źle ocenił jego determinację, myślał, że to blef, zrobił krok jakby zamierzał się wyrzucić go z mieszkania, i zginął od ciosu. A ja złapałam strzałkę, trzymaliśmy ją na regale z zabytkami. Rzuciłam nią. Przebiłam mężowi gardło. Strzałka była zatruta. Umarł niemal natychmiast. Wezwałam ludzi... i więcej nie pamiętam.

– To była dziwna noc – powiedziałem.

– Zbyt dziwna. Powiedz mi, Tomisie, skąd ta wizyta Prokuratora? Dlaczego nie zatrzymał księcia?

– Prokurator złożył wam wizytę bo go o to poprosiłem, spełniając w ten sposób polecenie twojego świętej pamięci męża. Nie zaaresztował księcia, ponieważ jego wolność została wcześniej opłacona.

– Za jaką cenę?

– Za cenę hańby.

– Mówisz zagadkami.

– Prawda mnie zhańbi. Proszę, żebyś jej ode mnie nie wymagała.

– Kanclerz wspomniał o dokumencie skonfiskowanym przez prokuratora...

– Zapewne właśnie o to chodzi – wyznałem.

Olmayne spuściła wzrok i o nic już nie pytała.

To ja przerwałem ciszę.

– A więc popełniłaś morderstwo? Jaką poniesiesz karę?

– Zabiłam z miłości i ze strachu. Administracja cywilna nie ukarze mnie, ale zostałam wydalona z gildii, za zdradę i za akt gwałtu.

– Ofiaruję ci moje szczere współczucie.

– Polecono mi także odbyć Pielgrzymkę do Jorslemy, oczyszczającą duszę. Mam dzień na przygotowanie się do wyjazdu, a jeśli nie dotrzymam terminu, gildia stanie się panią mego życia.

– Ja też nie jestem już Pamiętającym. I też zmierzam do Jorslemy, choć z własnego wyboru.

– Możemy pielgrzymować wspólnie?

Zdradziła mnie chwila wahania. Do Perrisa przybyłem w towarzystwie ślepego księcia. Nie zależało mi na tym, żeby opuścić miasto w towarzystwie kobiety – partaczki, morderczyni. Być może przyszedł na mnie czas podróży samotnie? A jednak Somnambuliczka powiedziała, że będę miał towarzystwo.

– Nie okazałeś entuzjazmu – powiedziała Olmayne spokojnie, pewnym głosem. – Być może uda mi się wzniecić go w tobie choć odrobinę. – Rozchyliła tunikę. Między białymi wzgórzami jej piersi dostrzegłem szary mieszek. Kusila mnie nie ciałem, lecz nadkieszenią. – Mam w niej – oznajmiła – to wszystko, co książę nosił w udzie. Pokazał mi swe skarby, a ja usunęłam je z jego martwego ciała. Sama też posiadam to i owo. Nie jestem biedna. Będziemy podróżowali wygodnie.

– Trudno odmówić takiej propozycji.

– Bądź gotów za dwie godziny.

– Już jestem gotów.

– Zatem czekaj.

Zostawiła mnie samemu sobie. Powróciła niemal dwie godziny później, w masce i szatach Pielgrzyma. Miała też drugą szatę i drugą maskę dla mnie. Tak, byłem partaczem, a to stwarza wielkie ryzyko w podróży. Do Jorslemy miałem więc iść jako Pielgrzym. Włożyłem nieznany mi strój. Zebraliśmy tę część naszej własności, która miała nam towarzyszyć w wędrówce.

– Zawiadomiłam gildię Pielgrzymów – powiedziała Olmayne, gdy wyszliśmy z siedziby naszej byłej gildii. – Zostaliśmy formalnie zarejestrowani. Jeszcze dziś powinniśmy otrzymać klejnoty gwiazd. Jak tam maska, Tomisie?

– Pasuje.

– Bo i powinna.

Droga za miasto zaprowadziła nas najpierw na wielki plac przed starożytnym szarym świętym budynkiem antycznej wiary. Zgromadził się na nim tłum, w jego centrum dostrzegłem najeźdźców, po obrzeżach kręcili się żebracy robiący doskonałe interesy. Ignorowali nas, żebracy nie napastują Pielgrzymów, ale złapałem jednego dzieciaka o mocno podrapanej twarzy.

– Co to za ceremonia? – spytałem go.

– Pogrzeb Księcia Roumu. Prokurator kazał, żeby był państwowy, uroczysty i w ogóle. Zrobili z tego niezłe widowisko.

– Po co to wszystko i akurat w Perrisie? – zdziwiłem się. – Jak zmarł książę?

– Zapytaj kogoś, kto nie ma tyle roboty co ja.

Mały żebrak wyrwał mi się i znikł w tłumie.

– Weźmiemy udział w pogrzebie? – spytałem Olmayne.

– Chyba lepiej nie.

– Jak sobie życzysz.

Szliśmy w stronę ciężkiego kamiennego mostu przerzuconego przez Sennę. Za naszymi plecami rozjarzyło się oślepiające niebieskie światło, to zapłonął stos, na który złożono ciało księcia. Oświetlał nam drogę na wschód, drogę, którą kiedyś, we właściwym czasie, mieliśmy dotrzeć do Jorslemy.

część trzecia

Droga do Jorslemy

Nasz świat był teraz ich światem. Po drodze przez Eypnę widziałem, że najeźdźcy wzięli wszystko. Należeliśmy do nich, jak bydło w oborze należy do farmera.

Byli wszędzie, niczym chwasty zakorzeniające się po jakiejś dziwnej burzy. Poruszali się z chłodną pewnością siebie, jakby swobodą ruchów chcieli dać do zrozumienia, że Wola odebrała nam łaskę i przelała ją na nich. Nie traktowali nas okrutnie, ale samą swą obecnością wysysali z nas siły witalne. Nasze słońce i księżycy, nasze muzea starożytności i ruiny minionych cykli, nasze miasta i pałace, przyszłość, teraźniejszość i przeszłość, wszystko, co mieliśmy, przeszło w obce ręce, ich ręce. Tytuł własności wystawiono na nich, nasze życie straciło sens.

Nocami kpił z nas blask gwiazd. Cały wszechświat oglądał naszą hańbę.

Przenikliwe wiatry zimy mówiły nam, że za grzechy zapłaciliśmy wolnością. Słoneczne upały lata mówiły nam, że ceną dumy jest upokorzenie.

Przemierzaliśmy obcy świat, od którego odjęto przeszłych nas. Niegdyś co dzień wędrowałem wśród gwiazd, dziś nie obcowałem już z tą rozkoszą. W drodze do Jorslemy znajdowałem tylko to żalosne pocieszenie, że jako Pielgrzym, być może, doznam w świętym mieście odkupienia i odnowy. I by przybliżyć się do tego celu, wraz z Olmayne co wieczór powtarzaliśmy rytuał Pielgrzymki.

*Poddajemy się Woli.
Poddajemy się Woli.
W rzeczach wielkich i małych.
W rzeczach wielkich i małych.
Błagamy o wybaczenie.
Błagamy o wybaczenie.
Za grzechy popełnione i jeszcze nie popełnione.
Za grzechy popełnione i jeszcze nie popełnione.
Modlimy się o zrozumienie i wytchnienie.
Modlimy się o zrozumienie i wytchnienie.
Przez wszystkie nasze dni do odkupienia.
Przez wszystkie nasze dni do odkupienia.*

Powtarzaliśmy te słowa, a powtarzając je, ściskaliśmy chłodne polerowane klejnoty gwiazd, zimne jak śnieżynki. Łączyliśmy się z Wolą. Wędrowaliśmy do Jorslemy przez świat nienależący już do człowieka.

Po talyańskiej stronie Mostu Lądowego Olmayne po raz pierwszy użyła przeciw mnie oręza okrucieństwa. Okrucieństwo definiowało jej naturę, miałem tego aż nazbyt liczne dowody jeszcze w Perrisie, a jednak Pielgrzymami byliśmy od dawna, od wielu miesięcy wędrowaliśmy z Perrisa na zachód, przez góry, przez Talyę, aż do Mostu, i nigdy mnie nie zraniła.

Do teraz.

Zdarzyło się to, kiedy zatrzymała nas grupa najeźdźców kierujących się z Afreeki na północ. Było ich co najmniej trzydzieścioro: wysokich istot o poważnych, surowych twarzach, dumnych ze swej władzy nad podbitą Ziemią. Jechali lśniącym krytym pojazdem ich własnej produkcji, długim i wąskim, poruszającym się na piaskowego koloru gąsienicach, wyposażonym w małe okna. Dostrzegliśmy go z daleka. Zbliżał się, wzbijając chmurę pyłu.

Była to gorąca pora roku. Niebo też miało barwę piasku, pręgowaną skręconymi polami promieniowania cieplnego, świecącymi złowrogo strumieniami energii, turkusowymi i złotymi.

Przy drodze stało około pięćdziesięciu nas, Ziemiaków. Za sobą mieliśmy Talyę, przed sobą kontynent Afreek. Wśród nas byli Pielgrzymi, jak Olmayne i ja, w drodze do świętego miasta Jorslemy, ale przeważali przypadkowi wykorzeni, mężczyźni i kobiety wędrujący z kontynentu na kontynent z braku czegoś lepszego do zrobienia, jak choćby pięciu byłych Strażników,

kilku Rejestratorów, Wartownik, dwójka Komunikantów, Pisarz, a nawet kilkoro Odmieńców. Zebraliśmy się w grupkę, drogę oddaliśmy najeźdźcom, jakby należała się im w sposób oczywisty.

Most Lądowy nie jest bardzo szeroki, nie może z niego korzystać wiele osób naraz, ale w normalnych czasach bez problemu przekraczano go w obie strony jednocześnie. Dziś jednak, gdy najeźdźcy byli tak blisko, baliśmy się poruszyć. Staliśmy skromnie na uboczu i tuląc się do siebie, czekaliśmy na tych, którzy nas pobili.

Od grupki Odmieńców odłączył jeden z nich. Podszedł do mnie. Według standardów swego gatunku był mały, lecz szeroki w ramionach. Skóra wydawała się o wiele na niego za ciasna. Oczy miał wielkie, obrysowane zielonymi kręgami, włosy rosły mu na głowie gęstymi, ale odległymi od siebie kępami jak kolumny, nos był prawie niewidoczny, nozdrza wyglądały, jakby wyrastały wprost z górnej wargi. Mimo wszystko nie wyglądał aż tak groteskowo jak większość Odmieńców, lecz raczej poważnie, choć przy tym otaczała go dziwna atmosfera rozbawienia.

– Jak sądzicie, długo będziemy czekać, Pielgrzymi – spytał cicho, niemal niesłyszalnie.

W dawnych czasach nikt pierwszy nie odzywał się do Pielgrzymów, a zwłaszcza nie śmiał odezwać się do nich Odmieniec. Osobiście za nic miałem ten zwyczaj, ale Olmayne cofnęła się i aż syknęła z obrzydzenia.

– Będziemy czekać, póki władcy nie pozwolą nam przejść – powiedziałem. – Nic innego nie możemy zrobić.

– Rzeczywiście, przyjacielu, nic nie możemy zrobić.

Słyszając to słowo, „przyjacielu”, Olmayne znów syknęła i zmierzyła małego Odmieńca wściekłym spojrzeniem. Nie spuścił wzroku, okazał nawet gniew – na jego policzki, pod

błyszczącą skórą, wystąpiło sześć równoległych pasm szkarłatnej barwy – ale tylko skłonił się uprzejmie.

– Pozwólcie, że się przedstawię – zwrócił się do nas bardzo uprzejmie. – Jestem Bernalt, partacz oczywiście. Pochodzę z Najruby w Głębszej Afryce. Nie pytam o wasze imiona, Pielgrzymi. Zmierzacie do Jorslemy?

– Tak – powiedziałem. Olmayne odwróciła się do nas tyłem. – A ty? Znudziły ci się podróże? Wracasz do Najruby?

– Nie. Ja także idę do Jorslemy.

Znieruchomiałem. Poczułem zimny gniew. Znikła gdzieś sympatia, jaką darzyłem do tej chwili zachowującego się z niewymuszoną pewnością siebie Bernalta. Kiedyś już wędrowałem w towarzystwie Odmieńca, choć w końcu okazał się fałszywy. Prezentował podobną pewność siebie. Dość miałem jemu podobnych.

– Mogę spytać, co Odmieniec ma do roboty w Jorslemie? – spytałem niezbyt uprzejmie.

Bernalt wyczuł chłód w moim głosie. Jego wielkie oczy posmutniały.

– Przypominam ci, że nam też wolno odwiedzać święte miasto. Odmieńcom się tego nie zabrania. Obawiasz się, że znów zajmiemy świątynię odnowy, jak to uczyniliśmy przed tysiącem lat, nim wrzucono nas w otchłań partactwa? – Roześmiał się ochryple. – Nie jestem zagrożeniem, Pielgrzymie. Mam ohydną twarz, lecz nie jestem niebezpieczny. Niech Wola da ci to, czego szukasz, Pielgrzymie.

Okazał mi gestem szacunek i odszedł do swoich. Olmayne odwróciła się, spojrzała na mnie. Była wściekła.

– Dlaczego rozmawiasz z potworem?

– Ten człowiek do mnie podszedł. Zachowywał się przyjaźnie, to wszystko. Tkwimy w tym razem, Olmayne, i...

– Człowiek? Człowiek? Nazywasz Odmieńca człowiekiem?

– Oni są ludźmi, Olmayne.

– No, może. W jakimś sensie. Tomisie, ja nienawidzę tych potworów. Nie znoszę, kiedy się do mnie zbliżają, zaraz dostaję gęziej skórki. Gdybym mogła, wyгнаłabym ich z tego świata.

– Gdzie wyważona bezstronność, do której zobowiązani są Pamiętający?

Kpina w moim głosie wyprowadziła ją z równowagi.

– Nikt od nas nie wymaga, żebyśmy kochali Odmieńców, Tomisie. Są jednym z owoców przekleństwa, którym obłożono naszą planetę, parodią człowieczeństwa, wrogami prawdy i piękna. Gardzę nimi!

Olmayne nie była odosobniona w swych sądach, niemniej zamierzałem skarcić ją za skrajną nietolerancję. Nie zdążyłem. Najeźdźcy byli już blisko. Miałem nadzieję, że przejadą i będziemy mogli iść dalej, ale nie, pojazd zatrzymał się i kilku z nich wysiadło. Podeszli do nas, długie ramiona zwisały im po bokach jak luźne liny.

– Kto wami dowodzi? – spytał jeden z nich.

Nikt nie odpowiedział. Każdy z nas szedł przecież własną drogą. Najeźdźca odczekał chwilę, ale szybko stracił cierpliwość.

– Nie macie dowódcy, tak? Nie macie dowódcy? No dobrze, to posłuchajcie mnie wszyscy. Droga musi zostać oczyszczona. Nadjeżdża konwój. Wracajcie do Palerma, zaczekajcie do jutra.

– Muszę być w Agupcie już... – próbował protestować Skryba.

– Most Lądowy jest dziś zamknięty – oznajmił najeźdźca. – Wracajcie do Palerma.

Mówił spokojnie. Istoty jego gatunku nigdy nie podnosiły głosu, nie przybierały władczych póz. Pewne siebie doskonale wiedziały, co posiadają, i nie obawiały się, że mogłyby to stracić.

Skryba zadrżał, aż zakołysał mu się obwisły podbródek, i umilkł.

Zaledwie kilkoro spośród nas, zgromadzonych przy drodze, sprawiało wrażenie gotowych protestować. Wartownik

odwrócił się, splunął. Mężczyzna, który z dumą nosił na policzku oznakę rozbitej gildii Obrońców, zacisnął pięści, widać było, jak z całej siły opanowuje wściekły gniew. Odmieńcy szeptali coś pomiędzy sobą, Bernalt spojrział na mnie, uśmiechnął się gorzko, wzruszył ramionami.

Wracać do Palerma? Dodatkowy dzień marszu w tym upale? I po co to? Po co?

Najeźdźca niedbale machnął ręką. Kazał nam się rozejść.

To wówczas Olmayne zachowała się wobec mnie tak okrutnie.

– Tomisie – powiedziała cicho – wyjaśnij im, że jesteś na żołdzie Prokuratora Perrisa, to pozwolą przejść nam obojgu.

Jej czarne oczy błyszczały kpina. I pogardą. Zgarbiłem się, jakby te słowa dodały mi dziesiątek lat.

– Dlaczego tak mnie krzywdzisz? – spytałem.

– Męczy mnie ten straszny upał. Idiotyzmem jest odsyłać nas teraz z powrotem do Palerma.

– Zgadzam się, ale nic na to nie poradzę. Dlaczego próbujesz mnie zranić?

– Prawda tak bardzo cię rani?

– Nie jestem kolaborantem...

Olmayne roześmiała się głośno.

– Mówisz to tak pewnie, lecz przecież nim właśnie jesteś, Tomisie. Nim właśnie jesteś! Sprzedałeś im dokumenty.

– By ocalić księcia, twojego kochanka – przypomniałem jej.

– Tak czy inaczej, robiłeś interesy z najeźdźcą. Motywy motywami, to pozostaje faktem.

– Przestań, Olmayne.

– A teraz próbujesz mi rozkazywać?

– Olmayne...

– Porozmawiaj z nimi, Tomisie. Powiedz im, kim jesteś. Niech pozwolą nam iść dalej.

– Konwoje rozjechałyby nas, gdybyśmy zechcieli iść drogą. Ale, niezależnie od tego, nie mam przecież wpływu na najeźdźców. Nie jestem człowiekiem Prokuratora.

– Umrę, nim dojdę z powrotem do Palerma.

– Więc umrzyj – powiedziałem obojętnie i odwróciłem się do niej plecami.

– Zdradziecki stary głupiec! Zdrajca! Tchórz!

Udałem, że nie zwracam na nią uwagi, ale ogień jej obelg parzył. Nie było w nich fałszu, tylko zła wola. Owszem, zawarłem układ z najeźdźcami. Zdradziłem gildię, która udzieliła mi schronienia, złamałem zasadę podszytego wrogością biernego oporu, jedynej dostępnej nam formy protestu przeciw zajęciu naszej Ziemi. To wszystko prawda, lecz nie powinna katować mnie tą prawdą. Łamiąc zasady, nie poświęciłem ani chwili uwagi kwestiom honoru czy patriotyzmu. Próbowałem uratować życie człowiekowi, z którym czułem się związany, i nie tylko to, bo i mężczyźnie, którego kochała. Obrzydliwe z jej strony było miotanie oskarżeń o zdradę, budzenie torturującego mnie sumienia tylko dlatego, że w upał, na pokrytej pyłem drodze, doświadczyła ataku iście dziecinnego gniewu.

Ale... ta kobieta zabiła męża z zimną krwią. Dlaczego nie miałyby być okrutna także w drobiazgach?

Najeźdźcy postawili na swoim. Zeszliśmy im z drogi. Zmęczeni, powłócząc nogami, wróciliśmy do Palerma, miasteczka ponurego, sennego, gotującego się w upale. Wieczorem, jakby chcieli zadośćuczynić nam za to, co zaszło, na niebie pojawiło się pięcioro Lataczy, delikatnych, kruchych i pięknych: trzech mężczyzn i dwie kobiety. Coś w Palermie musiało ich pociągać, bo w bezksiężycową noc raz za razem przeszywali niebo nad naszymi głowami. Przyglądałem się im przez godzinę, może nawet dłużej, aż doznałem wrażenia, że dusza wyrywa mi się z ciała i wzbija w przestworza. Wielkie,

przezroczyste skrzydła nie zasłaniały gwiazd, smukłe ciała wyginały się we wdzięczne łuki, ramiona przyciskali do ciała, nogi trzymali przy sobie, na ten widok wspomniałem Avlueę i poczułem, jak budzą się we mnie niepokojące, niechciane uczucia.

Latacze przemknęli po niebie i znikli. Wkrótce potem rozbłysły fałszywe księżycy. Wróciłem do schroniska, a niedługo potem do drzwi mojego pokoju zapukała Olmayne.

Wydawała się skruszona. W rękę trzymała pękatą ośmiokątną butelkę zielonego wina, nie taliańskiego, lecz pochodzącego z innego świata. Bez wątpienia bardzo kosztownego.

– Wybaczysz mi, Tomisie? – spytała. – Proszę. Wiem, że lubisz te wina.

– Wolałbym nie słyszeć tego, co miałaś mi do powiedzenia, i nie pić wina – powiedziałem.

– Nie potrafię zachować spokoju, kiedy jest tak gorąco. Bardzo mi przykro, Tomisie. To, co ci powiedziałam, było niepotrzebne. Głupie.

Wybaczyłem jej z nadzieją, że będziemy mieli spokojniejszą podróż. Wypiliśmy prawie całe wino, a potem odeszła do swojego pokoju. Pielgrzymi zobowiązani są do zachowania czystości. Nie to, by Olmayne miała ochotę spać z taką skamieliną jak ja, ale zasady naszej adoptowanej gildii nie pozostawiały żadnych wątpiwości.

Przez długi czas leżałem, nie mogąc zasnąć, przepelniony uczuciem wstydu. Tracąc panowanie nad sobą, Olmayne ugodziła mnie boleśnie we wrażliwe miejsce. Byłem zdrajcą ludzkości. Walczyłem ze sobą niemal do rana.

Co zrobiłem?

Wskazałem zdobywcom drogę do pewnego dokumentu.

Czy mieli oni moralne prawo do tego dokumentu?

Relacjonował ohydny sposób, w jaki obchodzili się z ich przodkami nasi przodkowie.

Zatem co złego było w udostępnieniu im go?

Nie pomaga się okupantom, nawet jeśli stoją moralnie wyżej od okupowanych.

Czy mała zdrada rzeczywiście jest aż tak wielką sprawą?

Zdrada nigdy nie jest „mała”.

Być może warto poświęcić chwilę poziomowi komplikacji tej sprawy. Nie motywowała mnie miłość do wroga, tylko chęć wspomżenia przyjaciela.

Tak czy inaczej kolaborowałeś z wrogiem.

To uparte rozdrapywanie ran pachnie mi grzesznym samoponizaniem się.

– Przepęlnia mnie poczucie winy. Tonę w oceanie wstydu.

W ten równie jałowy jak i gorzki sposób spędziłem całą noc. O świcie wstałem, spojrzałem w niebo. Błagałem Wolę, by pomogła mi znaleźć odkupienie w wodach domu odnowy w Jorslemie, u kresu Pielgrzymki. A potem poszedłem obudzić Olmayne.

Most Łądowy był już otwarty. Dołączyliśmy do tłumu zmierzającego z Talyi do Afreeki. Szedłem nim po raz drugi, zaledwie przed rokiem – wydawał się tak odległy! – tylko z przeciwnej strony. Za pierwszym razem udawałem się z Aguptu do Roumu.

Pielgrzymi z Eyropy do Jorlsemy mają do wyboru dwie drogi. Północna prowadzi przez Mroczne Ziemie na wschód od Talyi do Stanboolu, po czym promem płynie się do Ais i północną częścią kontynentu idzie do Jorslemy. Sam chętnie bym ją wybrał, bo ze wszystkich wielkich miast naszego świata nie byłem tylko w Stanboole, ale Olmayne, jeszcze jako Pamiętająca, prowadziła tam badania. Nie spodobał się jej, więc poszliśmy drogą południową: przez Most Łądowy do Afreeki, a potem brzegiem wielkiego jeziora Medit, przez Agupt i wzdłuż granicy Pustyni Arbańskiej wprost do Jorslemy.

Prawdziwy Pielgrzym wędruje wyłącznie piechotą. Olmayne niezbyt się to podobało więc chociaż przede wszystkim maszerowaliśmy, to korzystaliśmy też z okazji, gdy tylko się nadarzyły, a potrafiła je wykorzystywać wręcz bezwstydnie. Zaledwie drugiego dnia wędrówki przekonała jadącego na wybrzeże bogatego Handlarza, żeby nas zabrał ze sobą. Choć nie miał on najmniejszego zamiaru dzielić z kimś swego luksusowego pojazdu, nie zdołał oprzeć się melodyjnemu, kuszącemu brzmieniu jej głosu, mimo że głos ten dobywał się zza standardowej surowej siatki pielgrzymiej maski.

Handlarz płał się w luksusach. Jeśli o niego chodzi, podobój Ziemi mógł równie dobrze wcale się nie zdarzyć, tak był pozbawiony znaczenia. Mogły nawet nie zdarzyć się długie wieki upadku w Trzecim Cyklu. Jego samonapędzający się pojazd lądowy miał długość czterech mężczyzn i szerokość wystarczającą, by wygodnie pomieścić pięć osób. Ochraniał swych pasażerów przed wpływami z zewnątrz skutecznie jak łono. Świat zewnętrzny obserwowało się nie bezpośrednio, lecz przez ekrany, pokazujące na rozkaz jego wybrane fragmenty. Temperaturę wewnętrzną można było regulować wedle gustu i zawsze pozostawała stała. Z kranów leciały napoje, nawet te mocniejsze, na życzenie otrzymywało się tace z jedzeniem, ciśnieniowe kanapy amortyzowały nierówności drogi. Ciemności rozpraszały niewolne światła dostrojone do kaprysów właściciela. Koło głównej kanapy umieszczono czapkę myślową, ale czy Handlarz woził ze sobą ukryty w trzewiach pojazdu osobny zakonserwowany mózg, czy też mógł nawiązać zdalny kontakt z bankami pamięci mijanych miast, tego się nie dowiedziałem.

Nasz gospodarz był człowiekiem potężnym, zakochanym w sobie i swym ciele. Natłuszczone gęste włosy czesał do tyłu, skórę miał ciemnooliwkową, wzrok zaś bardzo poważny i przenikliwy, jakby oceniał wartość tego wszystkiego, na co patrzył. Wyraźnie cieszyła go własna siła i pełnia kontroli nad otaczającym go, niepewnym światem. Dowiedzieliśmy się, że handluje żywnością z obcych światów, za nasze nędzne wytwory dostaje delikatesy powstałe wśród gwiazd. Udawał się do Marsai, miał tam sprawdzić jakość halucynacyjnych owadów świeżo sprowadzonych z jednej z planet Pasa.

– Podoba wam się pojazd? – spytał, widząc nasze zdumienie. Olmayne, dla której luksusy nie były rzeczą całkowicie obcą, nie kryła zachwyty widokiem wnętrza, obitego grubo usianą drobnymi diamencikami tkaniną. – Był własnością hrabiji

Perrisa. Tak, dokładnie, samego hrabiji. Wiecie o tym, że jego pałac zmieniono w muzeum?

– Wiem o tym – przyznała Olmayne.

– To był jego rydwan. Powinien zostać w muzeum. Kupiłem go od nieuczciwego najeźdźcy. Nie wiedzieliście, że wśród nich są oszuści? – Głośny śmiech handlarza sprawił, że wrażliwa tkanina na ściankach wehikułu cofnęła się z pogardą. – Jak to mówią, przyjaciela Prokuratora. Tak, tacy też są wśród nich. Szukał rzadkiego korzenia z planety Ryb, czegoś wspomagającego męskość, rozumiecie? No i dowiedział się, że ja kontroluję ten towar, nikt nie ma do niego dostępu, dzięki czemu zawarliśmy układ. Oczywiście musiałem dokonać pewnych drobnych modyfikacji. Hrabija trzymał z przodu czterech bezpłciowców. Napędzał silnik ich metabolizmem, rozumiecie? Korzystał z różnicowej termalnej. Owszem, dobry sposób napędzania pojazdu, jeśli jest się hrabiją, ale przez rok zużywa się trochę bezpłciowców, poza tym pomyślałem, że to sposób nie na moją pozycję. No i mogło mnie to wpędzić w kłopoty z najeźdźcami. Więc kazałem opróżnić komorę silnika i zamontowałem w niej standardowy ekstra wytrzymały napęd do wozów wałkowych – trudna, delikatna robota – no i, jak widzicie, wszystko jest w porządku. Macie szczęście, że tu ze mną siedzicie. Wziąłem was tylko dlatego, że jesteście Pielgrzymami. Nie lubię, kiedy obcy ludzie włączają mi do środka, bo zaraz zaczynają zazdrościć, a zazdrościcy są niebezpieczni dla ludzi, którzy coś w życiu osiągnęli. To Wola przywiodła do mnie was dwoje. Zmierzacie do Jorslemy, co?

– Tak – odpowiedziała Olmayne.

– Ja też, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. – Handlarz poklepał się po brzuchu. – W końcu tam trafię, możecie się o to założyć. Gdy przyjdzie czas odnowy. Ale to jeszcze przede mną, daleko przede mną. Jeśli Wola okaże mi łaskę. A wy? Od dawna jesteście Pielgrzymami?

– Nie – przyznała Olmayne.

– Po podboju wielu ludzi postanowiło zostać Pielgrzymami, tak mi się przynajmniej wydaje. Trudno się temu dziwić. Czasy się zmieniły, każdy przystosowuje się do tych zmian inaczej. Hej, słuchajcie, nosicie te klejnoty? Klejnoty Pielgrzymów.

– Tak – przytaknęła Olmayne.

– Któreś z was pozwoliłoby mi obejrzeć swój? Zawsze mnie fascynowały. Był pewien handlarz z jednego ze światów Ciemnej Gwiazdy, mały, chudy, ze skórą jak cieknąca smoła. Dawał mi z tysiąc funtów tego towaru. Twierdził, że to autentyki, że prowadzą do komunii, dokładnie tak, jak te klejnociki Pielgrzymów. Powiedziałem mu „nie”. Nie zamierzam igrać z Wolą. Są rzeczy, których nie robi się nawet dla zarobku. Ale potem pożałowałem, że nie zachowałem sobie choć jednego. Na pamiątkę. Nawet nie dotknąłem żadnego. – Handlarz wyciągnął rękę do Olmayne. – Mogę?

– Nie dopuścimy, by ktokolwiek prócz nas dotykał klejnotów gwiazd. To zakazane.

– Zróbcie dla mnie wyjątek. Nikomu nie powiem.

– To zakazane.

– Słuchajcie, jesteście tu tylko we trójkę. To prywatny pojazd, chroniony przed obcymi. Jest najlepiej chronionym miejscem na Ziemi...

– Proszę. Żądasz niemożliwości.

Twarz Handlarza pociemniała. Pomyślałem, że zatrzyma wóz i wyprosi nas, czego zresztą wcale bym nie żałował. Wsunąłem rękę do mieszka, musnąłem palcami chłodną kulkę klejnotu gwiazd towarzyszącego mi od początku Pielgrzymki. Poczułem drgnienie zbliżającego się transu komunii, przeszywające mnie zapowiedzią rozkoszy. Przysięgłem sobie, że mu go nie pokażę. Ale obyło się bez konsekwencji. Gospodarz sprawdził, na co może sobie pozwolić, napotkał opór i wycofał się.

Pędziliśmy w stronę Marsai.

Handlarz nie był sympatycznym człowiekiem, ale miał pewien prymitywny wdzięk sprawiający, że jego słowa nas nie obrażały. Olmayne, kobieta w gruncie rzeczy wybredna, która niemal całe życie spędziła w eleganckim, zamkniętym świecie gildii Pamiętających, znosiła go gorzej niż ja, mnie bowiem uodporniły lata wędrówki po świecie. Ale nawet ją bawiło, jak przechwala się bogactwem i wpływami, opowiada o kobietach czekających na niego na wielu obcych światach, o domach, o trofeach, o cechmistrzach walczących o jego względy, wymienia byłych przyjaciół, Panów i Dominatorów. Mówił niemal wyłącznie o sobie, z rzadka wspominał coś o nas, za co byliśmy mu wdzięczni. Raz spytał mnie, jak to jest wędrować w towarzystwie Pielgrzyma-kobiety, sugerując, że z pewnością jesteśmy kochankami. Przyznaliśmy, że nieczęsto tak się zdarza, po czym zmieniliśmy temat; chyba uwierzył, że zachowujemy czystość. Jego sprośne domysły nie obchodziły mnie nic a nic, Olmayne chyba też. I ona, i ja dźwigaliśmy nieporównanie większy ciężar win.

Życie naszego Handlarza po najeździe pozostało takie, jakim było przed najazdem – godne pozazdroszczenia. Majątku nie stracił, żył wygodnie, jak przed najazdem, mógł podróżować, dokąd chciał. Ale nawet jemu najeźdźcy przeszkadzali, od czasu do czasu. Dowiedzieliśmy się o tym wieczorem, niedaleko Marsai, gdy zatrzymał nas punkt kontrolny na drodze. Skanery śledzące dostrzegły nas, przekazały sygnał do kądziółków i w poprzek drogi, od pobocza do pobocza, wyrosła złota pajęczyna. Sensory pojazdu zarejestrowały jej obecność i natychmiast wydały polecenie zatrzymania. Na ekranach pojawiło się kilka bladych ludzkich postaci.

– Bandydzi? – spytała Olmayne.

– Gorzej – odparł Handlarz. – Zdrajcy. – Skrzywił się przeraźliwie, otworzył róg komunikacyjny. – O co chodzi?

– Wysiadać. Inspekcja.

– Z czyjego zarządzenia?

– Prokuratora Marsai – padła odpowiedź.

Była to rzecz obrzydliwa, niemal nie do zniesienia: ludzie działający jako patrol drogowy najeźdźców. Ale też oczywiste wydawało się, że niektórzy z nas przyjmą oferowane im przez nich urzędy. O pracę było trudno, na czym cierpieli przede wszystkim członkowie gildii obronnych.

Handlarz rozpoczął skomplikowany proces rozszczelnienia pojazdu. Widać było, że jest wściekły, ale pajęczyny nie byłyby w stanie sforsować. Musiał panować nad uczuciami.

– Jestem uzbrojony – szepnął do nas. – Zaczekajcie w środku. Nie macie się czego bać.

Wysiadł. Wdał się w długą dyskusję ze strażą, dyskusję, z której nie słyszeliśmy ani słowa. W którymś momencie stało się jasne, że impas w rozmowach przełamać może tylko ktoś dysponujący prawdziwą władzą. Pojawili się trzej najeźdźcy, gestem odprawili wynajętą straż, otoczyli Handlarza. Jego zachowanie zmieniło się w tym momencie, widzieliśmy, że się spocił, że zrobił chytrą minę i zaczął zamasyścić gestykulować, a oczy mu rozbłysły. Podprowadził najeźdźców do pojazdu, otworzył go, pokazał im pasażerów, czyli nas. Wydawali się zaskoczeniu tym, że Pielgrzymi podróżują w komforcie, ale nie kazali nam wysiąść.

Rozmowy trwały jeszcze chwilę, ale w końcu Handlarz wrócił, zamknął pojazd, sieć rozplynęła się i mogliśmy jechać dalej, do Marsaji.

Nabieraliśmy prędkości. Nasz gospodarz mruczał co pod nosem, przeklinał, aż wreszcie wybuchnął.

– Wiecie, jak ja załatwiłbym tych długołapych sukinsynów? Potrzebujemy tylko dobrego planu. Noc noży, na nas dziesięciu przypada jeden z nich. Grupy biorą odpowiedzialność, atakują i mamy spokój.

– Dlaczego nikt nie zorganizował jeszcze niczego takiego? – spytałem.

– Bo to zadanie dla Obrońców, tymczasem połowa z nich nie żyje, a druga połowa sprzedała się... im. Nie bardzo widzę się w roli organizatora ruchu oporu, ale moim zdaniem tak trzeba załatwić sprawę. Walka typu partyzanckiego. Podkraść się z tyłu i nożem po gardle. Szybki koniec, dobre stare metody z Pierwszego Cyklu wcale nie straciły na aktualności.

– Przyślą ich więcej – powiedziała Olmayne ponuro.

– Z nimi też sobie poradzimy!

– Odpowiedzą ogniem. Spalą nasz świat – zaprotestowała.

– Najeźdźcy udają cywilizowanych. Bardziej cywilizowanych od nas – wyjaśnił Handlarz. – Tak barbarzyński wyczyn przyniosłby im bardzo złą sławę na milionie światów. Nie, z pewnością nie użyliby ognia. Zmęcząłoby ich za to podbijanie nas ciągle od nowa, zwłaszcza przy dużych stratach. Wynieśliby się w końcu, a my odzyskalibyśmy wolność.

– Ale nie oczyścilibyśmy się z dawnych grzechów – wtrąciłem.

– Jakich dawnych grzechów, starcze? Jakich starych grzechów?

– Nie ma o czym mówić.

– Podejrzewam że nie przyłączylibyście się do nas, gdybyśmy teraz rozpoczęli walkę.

– W poprzednim życiu byłem Strażnikiem – uświadomiłem mu. – Chroniłem przed nimi naszą Ziemię, poświęciłem się temu zadaniu. Nie kocham naszych nowych panów, jak ty, i jak ty bardzo chciałbym, żeby się stąd wynieśli. Niestety, twój plan jest nie tylko niepraktyczny, ale też całkowicie pozbawiony walorów moralnych. Zwykle krwawe powstanie pokrzyżuje plany, jakie Wola ma wobec nas. Musimy wybić się na wolność w szlachetniejszy sposób. Nie przeznaczono nam tak ciężkiego

losu tylko po to, byśmy mogli wprawiać się w sztuce podrzynania gardeł.

Handlarz spojrział na mnie z pogardą. Prychnął.

– Powinienem był pamiętać, że rozmawiam z Pielgrzymami. W porządku. Zapomnijmy o tej rozmowie. Nie mówiłem poważnie, rozumiecie? Świat, jakim stał się ostatnio, może się wam nawet podobać, co ja o tym wiem?

– Nie podoba się – zaprzeczyłem.

Spojrział na Olmayne. Ja też na nią spojrziałem, bo wydawało mi się całkiem prawdopodobne, że przy pierwszej okazji opowie mu o tym, jak już kolaborowałem z najeźdźcą. Ale na szczęście w tej kwestii zachowała milczenie i miała je zachowywać jeszcze przez kilka miesięcy, aż do tego nieszczęsnego dnia tuż przed Mostem Lądowym, gdy, zniecierpliwiona, zaczęła wypominać mi przypadek niegodnego zachowania.

W Marsai rozstaliśmy się z naszym dobroczyńcą. Spędziliśmy noc w schronieniu Pielgrzymów po czym, następnego dnia, ruszyliśmy pieszo wzdłuż wybrzeża. I tak wędrowaliśmy sobie z Olmayne bardzo przyjemnym krajem, w którym aż roiło się od obcych, czasami szliśmy, czasami jechaliśmy wozem wałkowym jakiegoś wieśniaka, raz nawet towarzyszyliśmy grupce najeźdźców zwiedzających podbitą przez siebie Ziemię. Weszliśmy do Talyi, szerokim łukiem obeszliliśmy Roum, skręciliśmy na południe i dotarliśmy do Mostu Lądowego, gdzie nas zatrzymano, gdzie pokłóciliśmy się gorzko, ale potem przeszliśmy przez Most po otwartej dla nas drodze, wąskim pasie piaszczystej ziemi łączącym dwa oddzielone jeziorem kontynenty.

Byliśmy w Afreece.

Pierwszą noc po drugiej stronie, zmęczeni długą drogą, od stóp do głów obsypani jej pyłem, spędziliśmy w niechlujnej gospodzie na brzegu jeziora, przysadzistej, ceglanej, praktycznie pozbawionej okien, otaczającej chłodny wewnętrzny dziedziniec. Nocowali tu przede wszystkim Pielgrzymi, ale było też kilku przedstawicieli innych gildii, głównie Sprzedawców i Przewoźników. Pokój blisko rogu budynku zajął Pamiętający. Olmayne unikała go, choć się nie znali. Nie chciała, by coś przypominało jej gildię, do której kiedyś należała.

Zamieszkał tu także Odmieniec Bernalt. Wprowadzone w życie przez najeźdźców nowe prawo pozwalało Odmieńcom zamieszkać w każdej publicznej gospodzie, a nie tylko w przeznaczonych dla nich, niemniej trochę dziwnie było go tu zobaczyć. Minęliśmy się w korytarzu. Uśmiechnął się do mnie nieśmiało, jakby zamierzał znów zacząć rozmowę, ale natychmiast spoważniał, a z oczu znikł mu ten charakterystyczny błysk. Musiał zdać sobie sprawę, że nie jestem gotów przyjąć jego przyjaźni. Albo może tylko przypomniał sobie, że Pielgrzymów obowiązuje prawo gildii zakazujące im bliższych kontaktów z partaczami. I to prawo pozostało w mocy.

Oboje z Olmayne zjedliśmy byle jaki obiad: zupę i duszone mięso. Po kolacji odprowadziłem ją do pokoju. Mieliśmy się pożegnać, ale to ona odezwała się pierwsza.

– Zaczekaj. Wspólnie dokonamy komunii.

– Widziano, jak tu wchodzę – zaprotestowałem. – Jeśli zostanę dłużej, zaczniesz się gadać.

– Więc pójdziemy do ciebie.

Olmayne wyjrzała na korytarz. Nikogo nie zobaczyła, wzięła mnie za rękę, pociągnęła pod drzwi mojego pokoju, na drugą stronę. Zamknęła i zapieczętowała wejście.

– Twój klejnot gwiazd, szybko – ponagliła mnie.

Wyjąłem klejnot z kieszonki ukrytej w ubraniu. Olmayne swój miała już w ręku.

Zacisnęliśmy na nich palce.

W trakcie tej pielgrzymki przekonałem się, że klejnoty gwiazd przynoszą niezmierną ulgę. Wiele pór roku minęło od czasu, kiedy po raz ostatni wszedłem w trans Strażnika, ale ciągle brakowało mi starych zwyczajów. Klejnoty oferowały coś w rodzaju zastępstwa wspaniałej ekstazy, nadal tak dobrze pamiętanej.

Pochodzą z jednej z planet zewnętrznych, nie potrafię powiedzieć, z której. Otrzymać je można wyłącznie od gildii, uprzednio złożony podanie. Decydują o losie wstępujących w jej szeregi, palą bowiem dłonie tych, których uważają za niegodnych szaty. Panuje przekonanie, że każdy Pielgrzym, bez wyjątku, z wielkim niepokojem przyjmował klejnot wręczany mu po raz pierwszy.

– Bałeś się, kiedy dawano ci twój? – spytała Olmayne.

– Oczywiście.

– Ja też.

Czekaliśmy, aż klejnoty przejmą nad nami kontrolę. Ścisnąłem mój bardzo mocno: ciemny, lśniący, gładki od szkła. Lśnił w uścisku niczym kryształ lodu. Czuję, jak powoli dostrajam się do potęgi Woli.

Najpierw poczułem, jak podnosi mi się poziom percepcji otoczenia. Pęknięcia ścian starej gospody zmieniały się w doliny. Cichy szum wiatru przeszedł w głośny jęk. W słabym

światle lampy widziałem kolory niemieszczące się w spektrum, nieposiadające nazw.

Klejnoty zapewniały przeżycia, z którymi nie mogły równać się te dostępne dzięki instrumentom Strażnika. Wtedy też przekraczałem granice swego ciała i umysłu. W stanie czuwania porzucałem Ziemię, przenosiłem się z nieskończoną prędkością w nieskończone regiony wszechświata, pozostając zdolnym do odbierania wrażeń; doświadczenie tak bliskie boskości, jak tylko to możliwe dla człowieka.

Klejnot gwiazd nie dostarczał tak precyzyjnych danych jak trans. Gdy brał mnie w posiadanie, ślepe, nie potrafiłem rozpoznać otoczenia. Wiedziałem tylko że, zjednoczonego z nim, ogarnia mnie poczucie stania się jednym z czymś o wiele ode mnie większym. Że mam bezpośredni kontakt z samą macierzą wszechświata.

Nazywamy to komunią z Wolą.

Głos Olmayne dobiegł do mnie jakby z wielkiej odległości.

– Wierzysz w to, co niektórzy mówią o klejnotach? Że to żadne połączenie, tylko elektryczne oszustwo?

– Nie wyznaję żadnej teorii – odparłem. – Interesują mnie skutki, nie przyczyny.

Sceptycy twierdzą, że klejnoty gwiazd stwarzają tylko pętlę, po której fale mózgowe wracają z powrotem do mózgu, a kontakt ze zdumiewającą, zachwycającą istotą mają – sceptycy – za zaledwie oscylację pojedynczego impulsu elektrycznego krążącego pod czaszką Pielgrzyma, nabierającego niezwyklej mocy.

Być może jest właśnie tak. Być może.

Olmayne wyciągnęła do mnie rękę, w której trzymała klejnot.

– Powiedz mi, Tomisie... czy będąc wśród nas, badałeś naturę wczesnych religii? Przez całą swą historię człowiek szukał kontaktu z nieskończonym. Wiele z nich – ale nie wszystkie! – opierało się na wierze w takie właśnie boskie zjednoczenie.

– Były także narkotyki – mruknąłem.

– Tak. Niektóre ceniono za zdolność wywołania momentalnej iluzji jedności z wszechświatem. Nasze klejnoty, Tomisie, to tylko jeden z wielu, najnowszy środek, pozwalający człowiekowi przewyciężyć coś, co jest jego największym przekleństwem: zamknięcia pojedynczej duszy w pojedynczym ciele. Jesteśmy przerażająco oddzieleni od siebie nawzajem i każde z nas od Woli; większość ras we wszechświecie nie byłaby w stanie tego znieść. Wydaje się, że jest to cecha jednostkowa ludzkości.

Jej głos słabł, stawał się coraz mniej wyraźny. Mówiła coś jeszcze, dzieliła się ze mną wiedzą, którą posiadała jako Pamiętająca, ale ja już jej nie rozumiałem. Zawsze wcześniej osiągałem komunię, zapewne dzięki treningowi Strażnika, i bardzo często jej ostatnie słowa już mi umykały.

Tej nocy, jak wszystkich innych, zacisnąłem palce na klejnocie, poczułem chłód, zamknąłem oczy. Usłyszałem jakby daleki dźwięk potężnego gongu, uderzenia fal w nieznany brzeg, szept wiatru w nieziemskim lesie. Poczułem... wezwanie. I poddałem się mu. Wszedłem w stan komunii. Poddałem się Woli.

Przenikałem przez warstwy własnego życia, młodość i wiek średni, wędrówki, przeszłe miłości, cierpienia i radości, burzliwe późniejsze lata, zdrady, upadki, żale, niedoskonałości.

Uwolniłem się od siebie. Odrzuciłem swoje ja, złączyłem się z tysiącami Pielgrzymów, nie tylko Olmayne, lecz i tymi, którzy właśnie przekraczali góry Hindii i piaski Arby, z Pielgrzymami odprawiającymi obrzęd w Aisie, w Palachach, w Stralyi, z Pielgrzymami zmierzającymi do Jorslemy w wędrówce, która jednym zajmie miesiące, a innym lata. Z Pielgrzymami, którzy być może w ogóle do niej nie dotrą. Dzieliłem z nimi tę chwilę zanurzenia w Woli. W dali, na horyzoncie, zobaczyłem ciemnopurpurową łunę, rosnącą, rosnącą, aż ogarnęła

wszystko czerwonym blaskiem. Wszedłem w nią, ja niegodny,
nieczysty, uwięziony w ciele, przyjąłem oferowaną mi jedność,
modląc się o nic innego niż ten stan istnienia poza samym sobą.

Zostałem oczyszczony.

Ocknąłem się sam.

Dobrze znam Afreekę. Jako młody człowiek mieszkałem w jej ciemnym sercu przez bardzo wiele lat, póki niepokój nie kazał mi ruszyć w drogę na północ, aż do Aguptu. W Agupcie zabytki z Pierwszego Cyklu zachowały się lepiej niż gdziekolwiek, ale w owym czasie jeszcze mnie nie interesowały. Odprawiałem Straże i przenosiłem się to tu, to tam, bo Strażnik nie jest przywiązany do miejsca. Spotkałem Avluelę w chwili, gdy byłem gotów znów iść gdzie oczy poniosą. I poszedłem, najpierw do Roumu, potem do Perrisa.

A teraz wróciłem tu, z Olmayne. Trzymaliśmy się blisko wybrzeża, unikaliśmy piaskowej pustyni wnętrza kontynentu. Jako Pielgrzymi ryzykowaliśmy w podróży mniej niż zwykli podróżnicy, nie groził nam głód i nawet tam, gdzie nie było schronień gildii, zawsze mieliśmy jakiś dach nad głową. Otaczał nas powszechny szacunek. Wielka uroda Olmayne mogła jej zagrażać, towarzystwo starego mężczyzny nie było żadną ochroną, ale pielgrzymia maska i szata zapewniały bezpieczeństwo. Maski zdejmowaliśmy bardzo rzadko i tylko wtedy, gdy nikt nie mógł nas zobaczyć.

Nie miałem złudzeń, że coś dla niej znaczę. Dla Olmayne byłem częścią wyposażenia Pielgrzymki, pomocną w komunii i rytuałach, w znajdowaniu noclegów, w załatwianiu koniecznych praktycznych spraw. Ta rola doskonale mi odpowiadała. Wiedziałem, że jest kobietą niebezpieczną, kapryśną i nieprzewidywalną, przy niej nie znało się dnia ani godziny. Nie chciałem się z nią wiązać. W żaden sposób.

Nie było w niej pielgrzymiej czystości. Mimo że przeszła test klejnotu gwiazd, nie zwyciężyła swej cielesności, choć tego wymaga się od Pielgrzyma. Znikała czasami na pół nocy i dłużej, wyobrażałem ją sobie wówczas dyszącą w ramionach jakiegoś Sługi. Ale to była jej sprawa i nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem.

Tam gdzie się zatrzymywaliśmy także lekko traktowała swą cnotę. Nie braliśmy wspólnego pokoju, żadne pielgrzymie schronienie by na to nie zezwoliło, ale zajmowaliśmy zazwyczaj sąsiednie. Przywoływała mnie do siebie lub wchodziła do mnie kiedy się jej podobało. Często bywała naga, a ze szczytem groteski w jej wykonaniu miałem do czynienia pewnej nocy w Agupcie, gdy pokazała mi się wyłącznie w masce; atrakcyjne białe ciało przeczące intencji brązowej siatki osłaniającej twarz. Chyba tylko raz zaświtała jej w głowie myśl, że nie zawsze byłem stary i mogłem kiedyś odczuwać pożądanie. Przyjrzała się uważnie mojemu chudemu, wiekowemu kościstemu ciału, a potem powiedziała:

– Ciekawe, jak będziesz wyglądał po odnowie w Jorslemie. Próbuję wyobrazić sobie ciebie odpowiednio młodszego, Tomisie. Czy wówczas dasz mi rozkosz?

– Swego czasu ją dawałem – odparłem wymijająco.

Olmayne nie znosiła suchego upału Aguptu. Wędrowaliśmy głównie nocą, odpoczywaliśmy w schronieniach za dnia. Na drogach, o każdej godzinie doby, było pełno ludzi, do Jorslemy szło najwyraźniej o wiele więcej Pielgrzymów niż zazwyczaj. Oboje z Olmayne zastanawialiśmy się, ile czasu zajmie nam dotarcie do wód odnowy. Przy tym tłoku...

– Nie przechodziłeś jeszcze tego procesu, prawda? – spytała kiedyś.

– Nie – przyznałem.

– To tak jak ja. Mówi się, że nie wszyscy chętni są do niego dopuszczani.

- Odnowa to przywilej, nie prawo. Wielu nie dostępuje łaski.
- Mówi się też, że nie wszyscy z tych, którzy zanurzyli się w wodach, zostają odnowieni.
- O tym nie wiem nic.
- Podobno niektórzy starzeją się, zamiast młodnieć. Niektórzy młodnieją tak szybko, że giną. To ryzykowny zabieg.
- Nie zechcesz podjąć tego ryzyka?
- Olmayne roześmiała się.
- Tylko głupiec by go nie podjął.
- Nie musisz się odmładzać, jeszcze nie – zwróciłem jej uwagę. – Jeśli dobrze pamiętam, wysłano cię do Jorslemy w trosce o twą duszę, nie ciało.
- Duszą też się zajmę. Kiedy dotrzemy na miejsce.
- Mówisz tak, jakby dom odnowy były jedynym przybytkiem, który zamierzasz odwiedzić.
- Jest dla mnie ważny. – Olmayne wstała, przeciągnęła się kusząco. Miała wspaniałe ciało. – To prawda, muszę odprawić pokutę, ale nie sądzisz chyba, że podjęłam wysiłek tak długiej Pielgrzymki wyłącznie w trosce o mą duszę?
- Tak sądziłem.
- Tak sądziłeś? Jesteś stary! Jesteś słaby! Zajmij się lepiej swoją duszą... i ciałem. Nie zmartwiłabym się, gdybym zdołała rzucić parę lat. Nie tak znowu wiele, osiem, dziesięć w zupełności wystarczy. Tyle, ile ich zmarnowałam z tym głupcem Elegrem. Niepotrzebna mi pełna odnowa. Masz rację, jeszcze jestem młoda. – Zachmurzyła się nagle. – Ale jeśli w mieście aż roi się od Pielgrzymów, może w ogóle nie dopuszczą mnie do procesu? Powiedzą, że jestem za młoda... każą mi wrócić za czterdzieści, pięćdziesiąt lat... Tomisie, czy oni mogą to zrobić?
- Doprawdy, nie potrafię powiedzieć.
- Olmayne drżała na całym ciele.

– Tobie pozwolą na wszystko. Oczywiście. Już jesteś chodzącym trupem, muszą cię ożywić. Ale ja... Tomisie, nie pozwól im mnie oddalić. Nie, ja na to nie pozwolę, choćbym miała zniszczyć Jorslemę, kamień po kamieniu.

Osobiście miałem pewne wątpliwości, czy jej dusza jest duszą odpowiedniego kandydata. Pielgrzym winien być człowiekiem pokornym, tego się od niego oczekuje. Nie zamierzałem jednak prowokować Olmayne, znosić jej wybuchów wściekłości. Zresztą całkiem możliwe, że zyska dopuszczenie, mimo swych wad. Poza tym miałem osobiste problemy. Olmayne rządziła próżność, moje cele były nieco inne. Przeszedłem długą drogę i wiele dokonałem, nie wszystkie z mych dokonań zasługiwały na miano godnych, w świętym mieście pragnąłem oczyścić sumienie. Było to ważniejsze niż zmniejszenie ciężaru lat, przynajmniej dla mnie.

Czy też może właśnie próżność kazała mi tak myśleć?

Kilka dni wędrówki na wschód od tego miejsca, kiedy wraz z Olmayne szliśmy przez spalony słońcem kraj, obiegły nas dzieci, przekrzykujące się, przestraszone i podekscytowane jednocześnie.

– Proszę, chodźcie, chodźcie! – krzyczały. – Pielgrzymi, chodźcie.

Szarpały szatę Olmayne, zdumiewając ją i irytując.

– O co im chodzi, Tomisie? Nie radzę sobie z ich przeklętym agupskim akcentem.

– Chcą, żebyśmy im pomogli. – Wsłuchiwałem się w krzyki dzieci. – W ich wiosce wybuchła epidemia choroby krystalizacyjnej. Chcą, żebyśmy u Woli poszukali zmiłowania dla cierpiących.

Olmayne cofnęła się o krok. Wyobraziłem sobie, że pod maską krzywi się pogardliwie. Obiema rękami uczyniła taki gest, jakby coś odpychała. Nie chciała, żeby któreś z dzieci jej dotknęło.

– Nie możemy iść z nimi – powiedziała do mnie.

– Musimy – odparłem.

– Śpieszmy się! W Jorslemie już są tłumy! Po co tracić czas w jakiejś byle wiosce?

– Oni nas potrzebują, Olmayne.

– Jesteśmy Chirurgami?

– Jesteśmy Pielgrzymami – powiedziałem cicho. – Daje nam to pewne przywileje, ale nakłada też na nas obowiązki. Ludzie

okazują nam gościnność, my musimy oddać nasze dusze do dyspozycji pokornych. Chodź.

– Nie pójdę!

– Jak zabrzmiałoby to w Jorslemie? Gdy będziesz zdawać sprawę z całego swego życia?

– To straszna choroba. Co będzie, jeśli się nią zarazimy?

– Tym się martwisz? Zaufaj Woli. Jak możesz oczekiwać odnowy, jeśli twemu duchowi brakuje daru łaski?

– Obyś zgnił, Tomisie – wycedziła Olmayne tak cicho, żebym tylko ja mógł ją usłyszeć. – Od kiedy jesteś taki pokorny? Specjalnie mnie drażnisz, przez to, co powiedziałam ci przy Moście Lądowym. Zirytowałam cię w nieodpowiedniej chwili, więc z zemsty chcesz nas oboje wystawić na ryzyko zarażenia okropną chorobą. Tomisie, nie rób tego!

Nie zareagowałam na jej oskarżenia.

– Dzieci zaczynają się niepokoić, Olmayne – powiedziałam tylko. – Zaczekasz tu na mnie, czy wolisz sama dojechać do gospody w sąsiedniej wsi?

– Nie zostawiaj mnie tu, w środku niczego!

– Muszę odwiedzić chorych – powiedziałam.

A jednak poszła ze mną. Nie sądzę, by powodowało ją nagłe poświęcenie, poczucie konieczności niesienia pomocy, raczej bała się, że w Jorslemie tak gwałtowna odmowa użyta zostanie w jakiś sposób przeciw niej. Wkrótce weszliśmy do wioski, małej, zrujnowanej, bowiem w Agupcie, śpiącym w upale jak w gorączce, niewiele zmieniają nawet tysiąclecia. Uderzająco kontrastuje on pod tym względem z ruchliwymi miastami leżącym dalej na południu Afreeki, miastami prosperującymi dzięki towarom luksusowym produkowanym przez tutejszych wielkich Wytwórców.

Drżąc z gorąca, podążaliśmy za dziećmi do kolejnych domów chorych.

Choroba krystalizacyjna to szpetny dar z gwiazd. Niewiele zaświatowych chorób dosięga Ziemi, dosięgła ich jednak ta, pochodząca z planety Włóczy, przyniesiona przez jakiegoś turystę, i zadomowiła się wśród nas. Gdyby zdarzyło się to w dniach świetności Drugiego Cyklu, poradzilibyśmy sobie z nią w kilka godzin, ale te zdolności utraciliśmy bezpowrotnie i dziś zaraza pojawia się co roku, to tu, to tam.

Weszliśmy do pierwszej z glinianych chat, do których przeniesiono chorych. Olmayne nie kryła przerażenia.

Cierpiący na tę chorobę nie mają szans na ozdrowienie. Można tylko modlić się, by nie zapadli na nią zdrowi, i na szczęście nie jest ona bardzo zaraźliwa. Atakuje podstępnie, przenoszona w nieznanym nam sposób. Zdarza się, że nie przechodzi z męża na żonę, lecz przeskakuje nagle na przeciwną stronę miasta albo nawet na inny kontynent.

Najpierw łuszczy się skóra, jej płatki osiadają na ubraniu. Pojawia się swędzenie. Zapalenie. Następnie zanikają pozbawiane wapnia kości. Chory słabnie, mięknie jak guma, ale to ciągle tylko pierwsze objawy. Wkrótce zaczyna twardnieć tkanka zewnętrzna. Powierzchnię gałki ocznej zarasta gruba, nieprzejrzysta membrana, podobna membrana zarasta szczelnie nos, skóra staje się szorstka, nierówna. W tej fazie częsty jest dar proroczy. Cierpiący nabywa zdolności Somnambulika, staje się wyrocznią, a jego dusza, oddzielona od ciała, wędruje poza nim przez długie godziny, choć w ciele procesy życiowe toczą się nadal.

A potem, do dwudziestu dni od zarażenia, pojawia się krystalizacja. Szkielet rozpływa się całkowicie, skóra zaś pęka i dzieli się, przybierając formę zbioru lśniących kryształów o doskonale geometrycznym wzorze. W tym stadium chory jest niezwykle piękny: staje się kopią samego siebie sporządzoną z drogich kamieni. Kryształy wydzielają silny wewnętrzny blask, fioletowy, zielony i czerwony, ostre fasety zmieniają

kształt z godziny na godzinę, odrobina światła w pomieszczeniu, w którym leży ofiara, wywołuje jasne, drżące odbicia oślepiające, ale też zachwycające oko obserwatora. A przez ten cały czas zmienia się struktura wewnętrzna ciała, jakby formowała się w nim poczwarka. Jakimś cudem organy funkcjonują podczas tych zmian, podtrzymują życie.

W fazie krystalizacji ofiara choroby nie jest już w stanie porozumieć się ze światem zewnętrznym i prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z zachodzących w niej zmian. W końcu metamorfoza dociera do najważniejszych organów i to oznacza koniec. Obca infekcja nie jest w stanie przekształcić ich, nie zabijając organizmu gospodarza. Śmierć następuje szybko: konwulsje, błyskawiczne rozładowanie energii przez system nerwowy skryzalizowanego, ciało wygina się, wydając delikatny, melodyjny dźwięk pękającego szkła i... nic więcej. Na planecie, z której pochodzi, krystalizacja nie jest chorobą, lecz rzeczywistą metamorfozą, rezultatem tysięcy lat ewolucji, której efektem jest relacja symbiotyczna. Niestety chorych jest to, że na Ziemi przygotowanie ewolucyjne nie zaszło i czynnik powodujący zmianę w końcu zawsze zabija zmienianego.

Ponieważ proces krystalizacji jest nieodwracalny, pozbawieni możliwości dokonania czegoś, co miałyby jakiś praktyczny skutek, oboje z Olmayne mogliśmy tylko nieść pocieszenie ciemnym, przestraszonym ludziom. Od razu zorientowałem się, że zaraza nawiedziła tę wioskę jakiś czas temu. Widziałem ludzi we wszystkich stadiach, od pierwszej wysypki po ostateczną krystalizację. Ułożono ich w chacie w porządku zaawansowania choroby. Po lewej prycze zajmowały jej niedawne ofiary, przytomne, makabrycznie drapiące się po ramionach, myślące tylko o czekających je okropnościach. Przy tylnej ścianie, na pięciu pryczach, leżeli wieśniacy w stanie twardnienia skóry i prorocत्व. Po prawej miałem przypadki różnych stadiów

krystalizacji, a przed sobą klejnot w koronie, umierającego, oczekującego już tylko na śmierć. Jego ciało, inkrustowane fałszywymi szmaragdami, rubinami i opalami, lśniło niemal bolesnym pięknem. W skorupie cudownych barw umierający snił ekstatyczny sen, poznając przed śmiercią namiętności i rozkosz większe, niż mógł ich doznać w pracowitym wieśniaczym życiu.

Olmayne zajrzała do środka. Cofnęła się natychmiast.

– To straszne – szepnęła. – Nie wejdę.

– Musimy wejść. To nasz obowiązek.

– Nie chciałam zostać Pielgrzymem! Nigdy!

– Chciałaś pokuty. Pojednania. Na to trzeba zasłużyć.

– Zarazimy się!

– Jeśli Wola zechce nas dosięgnąć, dosięgnie nas wszędzie, Olmayne. Uderza losowo. Równie dobrze mogliśmy zachorować w Perrisie.

– Więc czemu tyłu zachorowało akurat w tej wiosce?

– Bo z jakiegoś powodu ściągnęła na siebie niełaskę Woli.

– Jak zręcznie potrafisz sprzedawać mistycyzm, Tomisie – powiedziała Olmayne z goryczą. – Nie doceniłam cię. Myślałam, że jesteś rozsądnym człowiekiem, a nie obrzydliwym fatalistą.

– Widziałem, jak najeźdźcy podbijają mój świat. Widziałem upadek Księcia Roumu. Klęski kształtują człowieka i jego poglądy takimi, jakimi są dziś moje. Wejdźmy, Olmayne.

Weszliśmy, Olmayne bardzo niechętnie. Mnie też ogarnął strach, lecz udało mi się go ukryć. W rozmowie ze śliczną Pamiętającą i towarzyszką Pielgrzymki prezentowałem nabożność niczym cnotę, jakbym się nią chwalił, nie zamierzam jednak kłamać. W jednej chwili strach opanował mnie całkowicie.

Zmusiłem się do zachowania spokoju. Są odkupienia i odkupienia, powiedziałem sobie. Jeśli ku mojemu poprowadzi mnie choroba, poddam się chorobie. Skoro tak chce Wola.

Być może Olmayne podjęła podobną decyzję i dlatego przekroczyła próg, a być może tylko wycucie dramatyizmu chwili skłoniło ją do przyjęcia niechcianej roli anioła miłosierdzia. Trwała przy moim boku. Z pochylonymi głowami przechodziliśmy od pryczy do pryczy, ściskając w dłoniach klejnoty. Mówiliśmy to, co chorzy chcieli usłyszeć, uśmiechaliśmy się, gdy skazani na śmierć błagali, by ich pocieszyć. Olmayne zatrzymała się przy dziewczynce w drugiej fazie, jej oczy zarastała już zrogowaciała tkanka. Uklękła, dotknęła klejnotem łuskowatego policzka. Dziewczynka prorokowała, lecz niestety w języku, którego nie potrafiliśmy zrozumieć.

Na końcu podeszliśmy do umierającego, spoczywającego w pięknym sarkofagu własnego ciała. Z jakiegoś powodu nie czułem już strachu i Olmayne też się nie bała. Przez bardzo długą chwilę staliśmy wpatrzeni w ten niezwykły widok. Milczenie przerwała Olmayne.

– To straszne! – szepnęła. – Cudowne! Takie piękne!

Czekały na nas jeszcze trzy chaty podobne do tej.

Wieśniacy tłoczyli się przy drzwiach. Zdrowi oblegali nas, ilekroć tylko przez któreś z nich przechodziliśmy, nadal zdrowi czepiali się naszych szat, domagali się, nawet bardzo stanowczo, byśmy orędownali za nimi u Woli. Wymawialiśmy słowa, które wydawały się nam właściwe i nie brzmiały nieszczerze. Chorzy przyjmowali je obojętnie, jakby już zdawali sobie sprawę, że dla nich wszystko jest skończone, ale wolni od choroby, czekający na nas pod jasnym niebem, wsłuchiwali się z nabożeństwem w każdą sylabę. Zarządzający wioską – pełniący obowiązki zarządzającego, bo wódz wieśniaków leżał skryzalizowany – dziękował nam wylewnie, jakbyśmy naprawdę komuś pomogli. Cóż, oferowaliśmy pociechę, a pociechy się nie lekceważy.

Wyszliśmy z ostatniej chaty i zobaczyliśmy, że ktoś przygląda się nam z daleka. Odmieniec Bernalt. Olmayne szturchnęła mnie w bok.

– Ten stwór tropił nas, Tomisie, przez całą drogę od Mostu Lądowego.

– On też idzie do Jorslemy – powiedziałem.

– Zgoda, ale dlaczego zatrzymał się właśnie tutaj? To okropne miejsce.

– Ciszej, Olmayne. Bądź dla niego uprzejma.

– Uprzejma? Mam okazywać uprzejmość Odmieńcowi?

Bernalt podszedł do nas. Miał na sobie długą białą szatę ukrywającą jego mutację. Przyglądał się wiosce, w oczach miał smutek.

– Straszna tragedia – powiedział. – Wola złożyła na to miejsce wielki ciężar.

Wyjaśnił, że przybył tu przed kilkoma dniami. W wiosce spotkał przyjaciela z rodzinnego miasta, Najruby. Założyłem, że ma na myśli innego Odmieńca, ale nie, jego przyjaciel był Chirurgiem, pracującym tu i niosącym cierpiącym każdą możliwą pomoc. Przyjaźń Odmieńca i Chirurga, która mnie wydała się nieco dziwna, dla Olmayne była godna tylko pogardy. Nie ukrywała, że nienawidzi Bernalta.

Z jednaj z chat wytoczyła się częściowo skryształizowana postać z zaciśniętymi sztywnymi, sękatymi dłońmi. Bernalt podszedł do niej i delikatnie odprowadził ją z powrotem do środka.

– Zdarza się, że Odmieniec ma za co być wdzięczny losowi – powiedział, wracając. – Wiecie, że na tę chorobę nie zapadamy?

– Oczywiście. – Narzucam się wam, Pielgrzymi? Mam wrażenie, że wasze maski zakrywają twarze jak z kamienia. Nie chcę sprawiać wam przykrości. Mam odejść?

– Oczywiście, że nie – odparłem, choć czułem coś zupełnie innego. Wprawiał mnie w zakłopotanie. Być może powszechna

pogarda do Odmieńców jest na tyle zaraźliwa, że w końcu i ja na nią zapadłem. – Możemy porozmawiać, czemu nie? Zaproponowałbym ci wspólną wędrówkę do Jorslemy, ale wiesz, że dla nas to zakazane.

– Oczywiście, oczywiście, rozumiem.

Okazywał nam chłodną uprzejmość, lecz wyczuwałem w nim bliską przelania gorycz. Większość Odmieńców to zdehumanizowane monstra niezdolne zrozumieć, jakie uczucia budzą w normalnych ludziach należących do gildii, jednakże Bernalta los najwyraźniej obdarzył przekleństwem świadomości. Nagle uśmiechnął się, wyciągnął rękę.

– Idą moi przyjaciele – oznajmił.

Podeszły do nas trzy osoby: Chirurg, przyjaciel Bernalta, drobny, ciemnoskóry mężczyzna o cichym głosie, zmęczonych oczach i rzadkich jasnych włosach, w towarzystwie urzędnika, najeźdźcy oraz zaświatowica z innej niż on planety.

– Dowiedziałem się, że wieśniacy wezwali dwójkę Pielgrzymów – powiedział najeźdźca. – Jestem wam wdzięczny za to, że przynieśliście ulgę cierpiącym. Nazywam się Posiadaziemię Dziewiętnaście. Jestem administratorem tego okręgu. Chciałbym przyjąć was u siebie. Kolacją.

Nie byłem pewien, czy powinniśmy przyjąć gościnę u najeźdźcy, a Olmayne która, co widziałem, zacisnęła dłoń na klejnocie, też widocznie miała wątpliwości. Posiadaziemię Dziewiętnaście wyraźnie zależało, byśmy zaakceptowali jego zaproszenie. Nie był tak wysoki jak większość przedstawicieli jego gatunku, nieproporcjonalnie długie ramiona sięgały mu poniżej kolan. Pod okrutnym słońcem Aguptu jego woskowata skóra lśniła, choć się nie pocił.

Zapadła długa, pełna napięcia, niezręczna cisza. Przerwał ją Chirurg.

– Nie odmawiajcie. Proszę. Dołączcie do nas. W tej wiosce wszyscy jesteśmy braćmi.

I tak zgodziliśmy się skorzystać z uprzejmości najeźdźcy.

Posiadaziemię Dziewiętnaście mieszkał w willi na brzegu jeziora Medit. W jasnym, czystym świetle późnego popołudnia wydawało mi się, że widzę stąd, po lewej, wbiegający w jezioro Most Lądowy i nawet Eyropę po jego drugiej stronie. Zaopiekowali się nami członkowie gildii Sług, przynieśli na patio zimne napoje. Najeźdźca dysponował licznym ich zastępem. W moim przekonaniu oznaczało to, że podbój został już zinstytucjonalizowany i w pełni zaakceptowany przez większość Ziemian. Rozmawialiśmy długo, popijając drinki, a na niebie tańczyły zorze zwiastujące nadejście nocy. Bernalt Odmieniec trzymał się z dala, być może nie czuł się swobodnie w naszym towarzystwie. Olmayne przeważnie milczała, ponura, zamknięta w sobie. Pobyt w zarażonej wiosce spowodował, że wybuchy energii przeplatały się u niej z głęboką depresją, uciszyła ją zaś obecność Bernalta na kolacji; najwyraźniej nie wiedziała, jak zachować się uprzejmie wobec Odmieńca. Nasz uroczy gospodarz, najeźdźca o nienagannych manierach, otaczający nas niezwykłymi względami, próbował jakoś ją ożywić. Widziałem już w życiu uroczych najeźdźców, wędrowałem przecież z jednym z nich, udającym ziemskiego Odmieńca Gormonem. Nasza znajomość trwała do samego najazdu.

Posiadaziemię Dziewiętnaście na swej rodzinnej planecie był poetą.

– Wydaje mi się dziwne – powiedziałem – że ktoś o twoich zainteresowaniach zechciał brać udział w okupacji wojskowej.

– Różnorodność doświadczeń wzmacnia sztukę – usłyszałem w odpowiedzi. – Szukam możliwości wzbogacenia samego siebie. W każdym razie nie jestem wojownikiem, lecz administratorem. Czy to takie dziwne, że jest nim poeta, czy też że administrator jest także poetą? – Roześmiał się. – Pośród waszych gildii nie ma poetów. Dlaczego?

- Są Komunikanci. Służą twojej muzie.
- Lecz służą jej na sposób religijny. Przemawiają w imieniu Woli, a nie własnych dusz.
- One są ze sobą nierozzerwalnie związane. Ich utwory inspirowane boskością, jednak wyrastają wprost z serc twórców. Posiadaziemię Dziewiętnaście nie wydawał się przekonany.
- Zapewne można argumentować, że poezja jest religijna z samej swej natury, przynajmniej tak przypuszczam. Ale to, co robią wasi Komunikanci, jest jednak zbyt ograniczone. Mówi tylko o poddaniu się Woli.
- Paradoks – wtrąciła się do rozmowy Olmayne. – Wola obejmuje sobą wszystko, a jednak twierdzisz, że skala naszych Komunikantów jest ograniczona.
- Istnieją inne rodzaje poezji, przyjaciele, poza tą, głoszącą rozpląnięcie się w Woli. Wzajemna miłość, radość obrony domu, cud stania nago pod płonącymi gwiazdami. – Najeźdźca roześmiał się. – Być może Ziemia upadła tak szybko, bo macie wyłącznie poetów głoszących uległość wobec przeznaczenia?
- Ziemia upadła – powiedział Chirurg – z wyroku Woli wymagającej zadośćuczynienia za grzech popełniony przez naszych przodków, którzy twoich przodków potraktowali jak zwierzęta. Jakość naszej poezji nie ma z tym nic wspólnego.
- A więc Wola zdecydowała, że ulegniecie nam za karę, co? Ale jeśli jest wszechpotężna, to ona kazała waszym przodkom przewinąć, za co należy im się kara. Mam rację? Mam? Czyżby Wola uprawiała gry sama ze sobą? Rozumiecie teraz, na czym polega problem wiary w siłę boską determinującą wszystkie zdarzenia? Gdzie element wyboru czyniący cierpienie znaczącym? Zmuszenie do popełnienia grzechu, a potem wymaganie przyjęcia klęski jako zadośćuczynienia wydaje mi się pustą igraszką. Jeśli to bluźnierstwo, proszę o wybaczenie.
- Nie rozumiesz – odezwał się Chirurg. – Wszystko, co dzieje się na tej planecie, to proces nauki moralności. Wola nie

kształtuje każdego zdarzenia, wielkiego i małego, lecz tylko dostarcza surowego materiału, ciągu zdarzeń. Pozwala nam samodzielnie wybrać drogę.

– Jakiś przykład?

– Wola wyposażyła Ziemiaków w zdolności i wiedzę. W Pierwszym Cyklu cywilizowaliśmy się od dzikości. W bardzo krótkim czasie. W Drugim Cyklu osiągnęliśmy wielkość rodzącą pychę, każącą nam nie uznawać ograniczeń. Zniewałaliśmy inteligentnych mieszkańców innych światów pod pretekstem „badań”, gdy w istocie, w naszej arogancji, pożyliśmy wyłącznie rozrywki. Bawiliśmy się klimatem naszego świata, aż połączyły się oceany, zatoneły kontynenty, a cywilizacja legła w gruzach. W ten sposób Wola nauczyła nas, że ambicje też mają granice.

– Taka mroczna filozofia tym bardziej mi się nie podoba – przerwał mu Posiadziemię Dziewiętnaście. – Moim zdaniem...

– Daj mi skończyć. Wieńcząca Drugi Cykl katastrofa była karą. Pokonanie Ziemi Trzeciego Cyklu, czego dokonała twoja rasa, przybyła z gwiazd, to z jednej strony ostatni element kary, z drugiej zaś początek nowej fazy. Jesteście instrumentami naszego odkupienia. Upokarzając nas ostatecznie, zwycięstwem i podbojem, spychając jak najniżej można upaść, sprawicie, że odnowimy nasze dusze i zaczniemy rosnać tym silniejsi, że zahartowani przez przeciwieństwa.

Zdumiony zwróciłem całą moją uwagę na tego Chirurga. Potrafił ubrać w słowa to wszystko, o czym myślałem przez całą drogę do Jorslemy, samą ideę odkupienia, osobistego i ogólnoziemskiego. Popełniłem błąd, nie zwracając na niego uwagi wcześniej.

– Czy wolno mi coś powiedzieć? – odezwał się Bernalt, po raz pierwszy od wielu godzin.

Spojrzeliliśmy na niego wszyscy jak na komendę. Pasy pigmentu na jego twarzy wyglądały, jakby płonęły, oznaka

emocji.

Odmieniec skinieniem głowy wskazał Chirurga.

– Przyjacielu, mówiłeś o odkupieniu dla Ziemi. Czy myślałeś o wszystkich Ziemiach, czy też tylko o tych należących do gildii?

– O wszystkich oczywiście. Bo czy nie wszyscy zostaliśmy jednak podbici?

– Lecz pod innymi względami nie jesteśmy przecież równi sobie. Czy może być odkupienie dla świata, który skazał na partactwo miliony swych obywateli? Mówię o sobie podobnych oczywiście. Dawno temu zgrzeszyliśmy, sądząc, że uderzamy w tych, którzy uczynili nas potworami. Usiłowaliśmy wydrzeć wam Jorslemę, za co zostaliśmy ukarani. Odbywamy tę karę od tysiąca lat. Nadal jesteśmy wyrzutkami, temu nie zaprzeczycie. Gdzie nasza szansa na odkupienie? Czy wy, członkowie gildii, możecie uznać się za odkupionych, oczyszczonych cierpieniem doznawanym od niedawna, jeśli nadal gnębicie nas?

Chirurg sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Wypowiedziałeś nieprzemyślane słowa, Bernalcie – zaprotestował. – Wiem, że wy, Odmieńcy, macie się na co skarżyć, ale wiesz równie dobrze jak ja, że nadchodzi dla was czas wyzwolenia. Nadchodzą dni, kiedy nikt z Ziemi wami nie pogardzi, a gdy odzyskamy wolność, to ramię w ramię z wami.

Bernalt wbił wzrok w podłogę.

– Wybacz mi, przyjacielu. Mówisz prawdę, oczywiście, że mówisz prawdę. Poniosło mnie. Upał... i to doskonałe wino... to, co powiedziałem, było głupie, wiem.

– Dajecie mi do zrozumienia – zaciekawiał się Posiadziemię Dziewiętnaście – że powstaje ruch oporu, który wkrótce wyprze nas z waszego świata?

– Nie mówiłem o niczym konkretnym – zaprotestował Chirurg.

– Obawiam się, że wasz ruch oporu też nie byłby niczym konkretnym. – Najeźdźca uśmiechnął się. – Wybaczcie mi, proszę, ale nie widzę siły w mieszkańcach planety, których świat można podbić w jedną noc. Spodziewamy się, że będziemy okupować Ziemię długo, nie napotykając żadnego liczącego się oporu. Od naszego zwycięstwa minęły miesiące, a my nie zauważyliśmy żadnych oznak wrogości. Wręcz przeciwnie. Wydaje się, że jesteśmy coraz szerzej akceptowani.

– To część procesu, o którym mówiłem – wyjaśnił Chirurg. – Jako poeta z pewnością rozumiesz, że słowa mają wiele znaczeń. Nie musimy pokonywać naszych zaziemskich panów, by się od nich uwolnić. Czy jest to dla ciebie wystarczająco poetyckie?

– Brzmi wspaniale. – Posiadaziemię Dziewiętnaście wstał. – Zapraszam was na kolację.

Nie wróciliśmy do tematu, nie było takiej możliwości. Trudno jest prowadzić filozoficzną dysputę podczas posiłku, a gospodarz nie wydawał się zachwycony naszą analizą wyroków przeznaczenia. Gdy tylko dowiedział się, że Olmayne była Pamiętającym, nim została Pielgrzymem, zwrócił się bezpośrednio do niej. Wypytywał ją o naszą historię i o wczesną poezję. Jak większość najeźdźców i jego fascynowała przeszłość Ziemi. Olmayne, do tej pory milcząca, ożywiła się wreszcie. Opowiadała o swych badaniach w Perrisie, szczegółowo i z wielką znajomością rzeczy, Posiadaziemię Dziewiętnaście zadawał jej przemyślane, inteligentne pytania, a my tymczasem delektowaliśmy się wyszukanymi daniami z wielu światów. Całkiem możliwe, że pochodziły z importu tłustego, prostackiego Handlarza, który przewiózł nas z Perrisa do Marsai. W willi panował miły chłód, Słudzy reagowali na każde skinienie, załóżni, chorzy wieśniacy z wioski odległej o pół godziny spacerem mogli równie dobrze żyć na drugim krańcu galaktyki, tak daleki był ich los od tego, o czym rozmawialiśmy.

Rano, gdy wybieraliśmy się w dalszą drogę, Chirurg poprosił o pozwolenie dołączenia do naszej Pielgrzymki.

– Tutaj nie zrobię nic więcej – wyjaśnił. – Na pierwszą wieść o pojawieniu się choroby przyjechałem tu z rodzinnej Najruby, pracowałem wiele dni, oczywiście bardziej pocieszając i dodając odwagi niż lecząc, a teraz słyszę wezwanie Jorslemy. Jednak jeśli na Pielgrzymkę w towarzystwie nie zezwalają śluby...

– Ależ oczywiście, chodź z nami – przerwałem mu.

– Będziemy mieli jeszcze jednego towarzysza.

Mówił o trzeciej osobie, z którą spotkaliśmy się w wiosce: tajemniczym zaświatowcu, który ani słowem jeszcze się do nas nie odezwał. Przypominał on sklepany nit, był nieco wyższy od przeciętnego mężczyzny, poruszał się na trzech wyposażonych w stawy kanciastych nogach. Wywodził się ze świata Złotej Spirali, skórę miał szorstką, czerwonawą w odcieniu, zwężającą się ku dołowi głowę i trzy symetrycznie rozmieszczone na niej pionowe rzędy szklistych owalnych oczu. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej istoty. Ta pojawiła się, wyjaśnił Chirurg, celem zebrania danych o naszej planecie i już zdążyła zwiedzić prawie całą Aisę i Strayłę. Następne w kolejce były ziemie wokół jeziora Medit, po czym obcy zamierzał przenieść się do wielkich miast Eyropy. Poważny, niepokojący w swej stałej czujności, niemrugający mnóstwem oczu, nie komentujący niczego, co te oczy zauważyły, wydawał się raczej jakąś dziwną maszyną, zbierającą informację do zapisania w zbiornikach pamięci, niż stworzeniem obdarzonym życiem. Mimo to sprawiał wrażenie nieszkodliwego. Nie widziałem powodu, by mu nie pozwolić iść z nami do Jorslemy.

Chirurg pożegnał się ze swym przyjacielem Odmieńcem, który ruszył w drogę przed nami, a potem złożył ostatnią wizytę cierpiącym na chorobą krystalizacyjną. My zostaliśmy, w niczym nie mogliśmy już nikomu pomóc.

Wrócił bardzo poważny.

– Cztery nowe przypadki – oznajmił. – Wyludni się cała wioska. Czegoś takiego nie było jeszcze na Ziemi... takiej koncentracji zachorowań.

– A więc coś nowego? – zainteresowałem się. – Czy choroba się rozniesie?

– Kto wie? W sąsiednich wioskach na razie wszyscy są zdrowi. Wzór jest wyjątkowy: cała wioska zniszczona, poza tym

żadnego przypadku. Ludzie odbierają to jako karę za nieznane im grzechy.

– Co takiego mogli zrobić prości wieśniacy, by ściągnąć na siebie aż taki gniew Woli?

– Oni też zadają sobie to pytanie – powiedział Chirurg.

– Jeśli są nowe zachorowania – wtrąciła się do rozmowy Olmayne – to znaczy, że nasza wczorajsza wizyta była bezużyteczna. Ryzykowaliśmy życie. Dla niczego.

– Błąd – zaprzeczył Chirurg. – Kiedy przybyliście, ci chorzy już byli zarażeni. Znajdowali się w okresie inkubacyjnym. Istnieje nadzieja, że choroba nie przeniesie się na tych, którzy wówczas byli zdrowi.

Nie wydawał się przekonany, że to możliwe.

Olmayne codziennie szukała u siebie objawów choroby. Zatrzuwała życie Chirurgowi, domagała się, by oglądał istniejące i wyobrażone plamki na jej skórze, zawstydziała go, zdejmując maskę w jego obecności, żeby mógł ocenić, czy wyprysk na policzku nie oznacza przypadkiem, że zapadła na krystalizację.

Chirurg przyjmował to wszystko spokojnie. W odróżnieniu od idącego z nami urzędnika do rejestrowania informacji był człowiekiem skomplikowanym, o wielkiej głębi intelektu i niezwyklej cierpliwości. Urodził się w Afreece. Ojciec poświęcił go gildii w dzieciństwie, uzdrawianie było bowiem tradycją rodzinną. Podróżował, widział prawie cały nasz świat, nigdy nie zapominał tego, co zobaczył. Mówił nam o Roumie i Perrisie, o polach lodowych kwiatów w Stralyi, nawet o wyspach, na których się urodziłem, pozostałościach Utraconego Kontynentu na Zachodzie. Wyczerpująco choć nieodmiennie taktownie wypytywał nas o klejnoty gwiazd – widziałem, jak bardzo pragnie wypróbować je samemu, choć było to oczywiście niemożliwe, mogli ich dotykać tylko Pielgrzymi – a kiedy dowiedział się, że w poprzednim życiu byłem Strażnikiem, natychmiast zainteresował się

instrumentami, których używałem do obserwacji niebios, oraz tym, co dzięki nim odbierałem i jak moim zdaniem w ogóle dochodziło do odbioru. Niczego przed nim nie ukrywałem, choć o takich sprawach wiedziałem niewiele.

Trzymaliśmy się zielonego pasa żyznej ziemi otaczającego jezioro, ale raz ulegliśmy prośbom Chirurga i zeszliśmy w dławiący upał pustyni, by zobaczyć coś, co zapowiedział nam jako bardzo interesujące, ale nie chciał powiedzieć, co. W tym momencie jechaliśmy wozami wałkowymi, wiatr unosił piasek, chłostał nas nim po twarzach. Jego ziarna przylepiały się do oczu zaświatowca, widziałem, jak skutecznie co kilka sekund zmywał je niebieskimi łzami. My, ilekroć powiało, kuliliśmy się i chowaliśmy głowę w szaty.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił w końcu Chirurg. – Byłem tu dawno temu, kiedy jeszcze podróżowałem z ojcem. Wejdziemy do środka... a potem wy, niegdyś Pamiętający, powiecie nam, gdzie jesteśmy.

Zobaczyliśmy piętrowy budynek z cegieł z białego szkła. Drzwi wydawały się szczelnie zamknięte, ale ustąpiły pod najdelikatniejszym dotknięciem. Gdy tylko weszliśmy, natychmiast rozbłysło światło.

W długich rzędach, za ledwie lekko przysypane piaskiem, stały stoły z przymocowanymi do blatów instrumentami, których nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. Niektóre miały kształt dłoni. Wkładało się w nie własną dłoń, a od tych dziwnych metalicznych rękawic kable biegły do lśniących zamkniętych szafek. Wielkie lustro przekazywały obraz z ich wnętrza na znajdujące się wyżej ekrany. Chirurg włożył ręce w rękawice, poruszył palcami, ekrany się rozjarzyły, zobaczyłem na nich małe igły wykonujące krótkie kolisty ruchy. Inne maszyny wydzielały krople tajemniczych płynów, dotknięcie małych przycisków wywoływało muzyczne dźwięki.

Chirurg przemierzył wolnym krokiem całe to laboratorium cudów, najoczywiściej stare, ale funkcjonujące i oczekujące powrotu obsługujących je ludzi.

Olmayne wpadła w ekstazę. Szła za nim krok w krok, jak on dotykała wszystkiego.

– I co, Pamiętająca? Co to takiego?

– Chirurgia – odparła Olmayne, zniżając głos. – Chirurgia z Lat Magii!

– Rzeczywiście! Wspaniale! – Chirurg wydawał się dziwnie podniecony. – Możemy tu tworzyć olśniewające potwory! Możemy dokonywać cudów! Latacze, Pływacy, Odmieńcy, Bliźniaki, Ognisci, Wspinacze... wynajdujmy gildie, jakie tylko zechcemy! Kształtujmy ludzi, jakich zechcemy! Tutaj się to odbywało.

– Opisywano mi te Chirurgie – powiedziała Olmayne. – Jest ich jeszcze sześć, o ile wiem. Jedna w północnej Eypocie, jedna w Palachach, jedna tutaj, jedna daleko na południu, w Głębokiej Afreece, jedna w zachodniej Aisi... – przerwała.

– I jedna w Hindii – uzupełnił Chirurg. – Największa.

– No tak, oczywiście, w Hindii. Ojczyźnie Lataczy.

Ich zdumiony podziw okazał się zaraźliwy.

– To tu zmieniano ludzkie kształty? – spytałem. – Jak to robiono?

Chirurg wzruszył ramionami.

– Tę sztukę utraciliśmy, starcze. Lata Magii dawno minęły.

– Tak, oczywiście. Wiem. Ale skoro ocalały narzędzia, można z nich chyba wywnioskować...

– Tymi nożami – przerwał mi Chirurg – cięliśmy materię nieurodzoną, zmieniając ludzkie nasienie. Chirurg wkładał ręce tutaj, poruszał nimi, a tam, w inkubatorze, noże wykonywały swą pracę. Stąd brali się Latacze... i nie tylko oni. Formy w pełni funkcjonalne. Niektóre wymarły, ale nasi Latacze, nasi Odmieńcy, wywodzą się z budynku takiego jak ten. Z tym, że

Odmieńcy byli oczywiście pomyłką Chirurgów. Nie powinno się pozwolić im przeżyć.

– A ja myślałem, że są produktem środków teratogennych podawanych domacicznie. A teraz ty twierdzisz, że Chirurdzy je stworzyli. To jak to właściwie jest?

– I tak, i tak. Wszyscy żyjący dziś Odmieńcy powstali z naszych błędów i pomyłek popełnionych w Latach Magii. Jednakże matki z tej nieszczęsnej grupy często wzmacniały potworność dzieci środkami medycznymi, by zwiększyć ich wartość rynkową. To obrzydliwe plemię i nie tylko przez wygląd. Nic dziwnego, że zlikwidowano im gildię, a ich samych wypchnięto na margines społeczeństwa. A my...

W odległości niepełnej szerokości dłoni od twarzy Chirurga powietrze przecięło coś jaskrawego. Chirurg rzucił się na podłogę, krzyknął do nas, żebyśmy szukali ukrycia. Już padając, zobaczyłem lecący w naszą stronę drugi pocisk. Istota z innego świata, bez drgnienia obserwująca, co się dzieje, śledziła jego lot do ostatniej chwili. Ugodzona na wysokości dwóch trzecich ciała rozpadła się na części. Kolejne pociski odbijały się od ścian. Zobaczyłem napastników, bandę groźnych, obrzydliwych Odmieńców. Zbliżali się do nas, a my nie mieliśmy przecież żadnej broni. Przygotowałem się na śmierć.

Od drzwi znajomy głos krzyknął kilka słów w szorstkim, nieznanym mi języku, którego Odmieńcy używają między sobą. Wszelka aktywność uległa natychmiastowemu zatrzymaniu, a ci, którzy nam grozili, odwrócili się w stronę głosu. Do budynku wszedł Odmieniec Bernalt.

– Widziałem wasz pojazd – powiedział. – Pomyślałem, że jesteście tu i możecie wpaść w kłopoty. Zdaje się, że zdążyłem w ostatniej chwili.

– Dla niego za późno. – Chirurg wskazał zaświatowca, któremu nic już nie mogło pomóc. – Dlaczego nas zaatakowaliście?

– Oni ci powiedzą. – Bernalt gestem wskazał swych towarzyszy.

Spojrzelśmy na pięciu Odmieńców z oddziału, który na nas napadł. Nie należeli do grupy wykształconych i cywilizowanych, podobnych Bernaltowi, a poza tym każdy z nich był inny, choć każdy wyglądał też jak prześmiewcza karykatura normalnego człowieka. Jednemu spływały z brody czułki jak kawałki sznurka, twarz drugiego nie posiadała rysów i wyrazu, była pusta, trzeci zamiast uszu miał wielkie kubki i tak dalej. Od stwora stojącego najbliżej – z całego jego ciała sterczały małe płaszczyzny – dowiedzieliśmy się, o co chodzi. Prostackim agupskim dialektem wyjaśnił nam, że sprofanowaliśmy świątynię świętą dla jego ludu.

– My nie idziemy do Jorslemy – powiedział. – Dlaczego wy musieliście przyjść?

Pod tym względem rzeczywiście miał rację. Poprosiliśmy o wybaczenie, jak najszczerzej potrafiliśmy, a Chirurg dodał, że był tu kiedyś, dawno temu, nim budynek zaczął pełnić nową funkcję. Chyba uspokoił Odmieńca, w każdym razie sprowokował go do przyznania, że świątynia powstała w tym miejscu niedawno. Jeszcze bardziej uspokoił go widok kilku złotych monet. Olmayne wyjęła je z nadkieszeni ukrytej między piersiami, były częścią fortuny, którą zabrała ze sobą z Perrisa. Przedziwnie zdeformowane istoty przyjęły złoto i zezwoliły nam na opuszczenie budynku. Zabralibyśmy ze sobą ciało martwego zaświatowca, gdyby nie to, że w czasie rozmowy znikło, pozostawiając po sobie ledwie widoczną na pokrytej warstewką piasku podłodze szarą plamę.

– Enzym pogrzebowy – wyjaśnił Chirurg. – Uaktywniany ustaniem procesów życiowych.

Wyszliśmy. Okazało się, że na zewnątrz czeka na nas jeszcze kilku pustynnych Odmieńców, przedstawicieli koszmarne go plemienia, o skórach każdej możliwej faktury i barwy,

całkowicie przypadkowych rysach twarzy, genetyczna improwizacja na temat ludzkich organów i części ciała. Nawet Bernalta, ich brata, przerażała ta potworność, oni zaś darzyli go nieukrywanym podziwem. Na nasz widok niektórzy sięgnęli do pasa po broń miotającą, ale jego jeden stanowczy rozkaz zapobiegł kłopotom.

– Żałuję, że zostaliście potraktowani w ten sposób. Bardzo mi przykro z powodu śmierci zaświatowca. Ale to wielkie ryzyko wkroczyć do świątyni ludu zacofanego i jednocześnie gwałtownego.

– Nie mieliśmy o niczym pojęcia – zaprotestował Chirurg. – Gdybyśmy wiedzieli, nigdy byśmy nie...

– Oczywiście, oczywiście. – Czyżby Odmieniec przemawiał do nas protekcyjnie? – No cóż, pozwolę sobie pożegnać was wszystkich jeszcze raz.

– Nie – zaprotestowałem nagle, pod wpływem impulsu. – Idź z nami do Jorslemy. To śmieszne iść osobno do tego samego celu.

Olmayne aż westchnęła ze zdumienia. Zdumiony był nawet Chirurg. Spokój zachował tylko Bernalt.

– Zapominasz, przyjacielu, że wam nie wolno pielgrzymować z partaczami. Poza tym przybyłem tu, by pomodlić się w świątyni, a to czasochłonne. Nie będę was opóźniał.

Wyciągnął do mnie rękę, po czym odwrócił się i wszedł do starożytnej Chirurgii, a jego zwolennicy podążyli za nim.

Byłem mu wdzięczny za okazany takt, bowiem mojej propozycji, nieoczekiwanej nawet dla mnie choć przecież szczerzej, nie mógł zaakceptować.

Wsiedliśmy do naszych rolkowców. Po chwili usłyszeliśmy straszny dźwięk – zgrzytliwy hymn Odmieńców, modlitwa zanoszona nie ośmielałem się nawet zgadywać do jakiego bóstwa – równie obrzydliwy jak jego wyznawcy.

– Potwory – warknęła Olmayne. – Świątynia, też mi coś! Świątynia Odmieńców! Odrażające! Mogli nas zabić, Tomisie. Jak to możliwe, że bestie mają swą religię?

Nie odpowiedziałem. Chirurg spojrzał na nią ze smutkiem. Potrząsnął głową, jakby przygnębiła go myśl, jak mało jest miłosierdzia w kimś, kto podaje się za Pielgrzyma.

– Oni też są ludźmi – powiedział tylko.

W najbliższym mieście zgłosiliśmy władzom okupacyjnym śmierć zaświatowca, a potem, smutni i cisi, we trójkę tylko ruszyliśmy w drogę, do miejsca, w którym linia brzegu skręca z kierunku wschodniego na północny. Pozostawialiśmy za sobą senny Agupt, wkraczyliśmy w granice krainy, w której leży święta Jorslema.

Miasto Jorslema leży dość daleko od brzegów jeziora Medit, na chłodnym płaskowyżu otoczonym kręgiem niskich, jałowych, kamienistych wzgórz. Miałem wrażenie, że całe moje dotychczasowe życie było zaledwie przygotowaniem do tej chwili, do widoku złotego miasta, tak dobrze mi znanego, choć tylko z wyglądu. Jego złote wieże i mury wywołały u mnie nie zachwyt i nie zdumienie, lecz raczej poczucie spełnienia, jakbym wreszcie wrócił do domu.

Kręta droga schodziła ze wzgórz pod mury z ciosanego, ciemnoróżowo-złotego kamienia. Z tego samego materiału zbudowano też świątynie i domy. Po obu stronach drogi gęsto rosły drzewa, nie gwiazdne, lecz nasze, ziemskie, jak wypadało w pobliżu najstarszego ludzkiego miasta, starszego od Roumu, starszego od Perrisa, mającego korzenie w pradawnych czasach Pierwszego Cyklu.

Najeźdźcy, co dowodziło ich wielkiego sprytu, nie mieszały się do administracji Jorslemy. Władzę w mieście, jak do tej pory, sprawował cechmistrz Gildii Pielgrzymów i nawet nasi nowi władcy nie mieli prawa przekroczyć linii murów bez jego przyzwolenia. Oczywiście była to formalność, Cechmistrz Pielgrzymów, jak Kanclerz Pamiętających oraz wszyscy inni oficjele, kukielki na sznurkach, musiał stosować się do poleceń, choć tę przykrą prawdę starano się ukrywać, ale święte miasto cieszyło się jednak statusem specjalnym. Nie widziało się tu spacerujących swobodnie ulicami uzbrojonych grup najeźdźców.

Zatrzymaliśmy się przed bramą w murze wewnętrznym. Jak tego wymagał zwyczaj, złożyliśmy formalną prośbę o pozwolenie na wejście do miasta. Wysłuchał nas Wartownik. Gdzie indziej prawie wszyscy Wartownicy stracili pracę, rozkaz najeźdźcy otworzył miasta dla każdego, ten jednak miał na sobie formalny strój gildii i nie zamierzał rezygnować z pełni ceremoniału. Olmayne i ja, jako Pielgrzymi, otrzymaliśmy pozwolenie automatycznie, niemniej kazał okazać sobie klejnoty gwiazd, dowód na to, że szaty i maski otrzymaliśmy w pełni legalnie, po czym włożył czapkę myśłówkę, by sprawdzić nazwiska w rejestrach gildii. Wszystko to razem zajęło mu sporo czasu. Nasz towarzysz Chirurg załatwił formalności znacznie szybciej, bowiem przebywając w Afreece, złożył wcześniej odpowiednie podanie i teraz musiał tylko potwierdzić tożsamość.

Za murami panowała atmosfera bezmiernej starości. Jako jedyne z naszych miast Jorslema zachowała większość zabudowy Pierwszego Cyklu, nie tylko połamane kolumny i ruiny akweduktów, jak w Roumie, ale całe ulice, kryte arkady, wieże, aleje, którym udało się przetrwać szalejące w naszych dziejach burze. Tak więc, gdy wreszcie przekroczyliśmy granice miasta, wędrowaliśmy po nim zachwyceni tą przedziwną cudownością. Deptaliśmy kocie łby ulic, skręcaliśmy w wąziutkie alejki zatłoczone dzieciakami i żebrakami, przecinaliśmy ryneczki pachnące ostrymi przyprawami.

Po godzinie spaceru uznaliśmy, że należy zatroszczyć się o nocleg. W tym momencie musieliśmy rozstać się z Chirurgiem, ponieważ jemu nie wolno było zatrzymać się w schronieniu Pielgrzymów, a z naszej strony lekkomyślnością, w dodatku kosztowną, byłoby zatrzymać się gdzie indziej. Odprowadziliśmy go do gospody, w której już wcześniej zarezerwował sobie pokój. Podziękowałem mu za to, że był dobrym kompanem podczas wędrówki, on też podziękował

nam za towarzystwo, równie poważnie, i wyraził nadzieję, że spotkamy się jeszcze, w Jorslemie, w ciągu kilku najbliższych dni. Pożegnaliśmy się, po czym wynajęliśmy pokoje w jednym z wielu przybytków dedykowanych specjalnie dla Pielgrzymów.

Sensem istnienia Jorslemy jest służenie Pielgrzymom i turystom, jest więc ona jakby jednym wielkim hotelem, a na ulicach widzi się nas tylu, co Lataczy w Hindii. Rozgościliśmy się i odpoczęliśmy, potem zjedliśmy coś i wyszliśmy na szeroką ulicę, z której, patrząc na wschód, widzi się wewnętrzną, najświętszą dzielnicę, prawdziwe miasto w mieście. To najstarsza część, otoczona własnym murem. Są tu przybytki czczone przez niegdysiejsze religie Ziemi: tę Christerów, tę Heberów i tę Mislamów. Mówi się, że jest tu też miejsce, w którym umarł bóg Christerów, ale to chyba pomyłka, o którą łatwo, gdy mija tyle czasu, bo cóż to jest za bóg, który umiera? Na wzgórzu, w rogu Starego Miasta, stoi połączana kopuła święta dla Mislamów, opiekują się nią zwykli ludzie, mieszkańcy Jorslemy. Na tym samym wzniesieniu, od frontu, zbudowano kamienną ścianę, którą czcili Heberzy. Zabytki przetrwały, idea, która je powołała do życia, nie. Spędziłem dłuższy czas wśród Pamiętających, lecz żaden z nich nie potrafił wyjaśnić mi sensu czczenia muru albo połączonej kopuły. A jednak informacje ocalałe z Pierwszej Ery przekonują, że te trzy wyznania miały wówczas wielką głębię i bogactwo.

Na starym mieście znajduje się też zabytek z Drugiego Cyklu, znacznie bardziej interesujący i mnie, i Olmayne. Kiedy tak staliśmy w ciemności, z oczami zwróconymi na święte miejsce, Olmayne powiedziała:

- Jutro powinniśmy zgłosić się do domu odnowy.
- Masz rację. Chętnie zrzucę z barków kilka lat.
- Zaakceptują mnie, Tomisie?
- Nie ma co się nad tym zastanawiać. Pójdziemy do nich, zarejestrują nasze zgłoszenie i wtedy dostaniesz odpowiedź na

wszystkie pytania.

Powiedziała coś do mnie, ale nie słyszałem już jej słów, w tym bowiem momencie przeleciała nad nami trójka Lataczy, kierując się na wschód. Kobieta i dwaj mężczyźni. Byli nadzy, jak jest to w zwyczaju ich gildii, pośrodku zaś leciała szczupła, wręcz krucha dziewczyna, same kości i skrzydła. Poruszała się z wdziękiem niezwykłym nawet dla tych pełnych wdzięku istot.

– Avluela – westchnąłem.

Trio Lataczy znikło za murami Starego Miasta. Zdumiony, wstrząśnięty, by nie upaść, chwyciłem się drzewa. Walczyłem o oddech.

– Tomisie... – usłyszałem głos Olmayne – ...Tomisie, jesteś chory?

– Jestem pewien, że to była Avluela. Powiedzieli, że wróciła do Hindii, ale nie, to była Avluela. Jak mógłbym jej nie poznać?

– Mówisz tak o każdej Lataczce od czasu wyjścia z Perrisa – zauważyła Olmayne zimnym głosem.

– Ale tym razem jestem pewien! Gdzie czapka myśłówka? Muszę natychmiast skontaktować się ze schronieniem Lataczy.

Olmayne położyła mi dłoń na ramieniu.

– Jest późno, Tomisie. Zachowujesz się jak w gorączce. Skąd to podniecenie tą twoją chudą Lataczką? Co dla ciebie znaczy?

– Jest...

Zamilkłem. Nie potrafiłem ubrać tego w słowa. Olmayne znała historię wędrowki z Aguptu, w której towarzyszyła mi ta dziewczyna. Wiedziała, że żyjący w celibacie stary Strażnik pokochał Lataczkę ojcowską miłością, a może nawet czuł do niej coś więcej, ale utracił ją, a potem utracił ją Odmieniec Gormon, bo przeszła na własność Księcia Roumu. A jednak... co dla mnie znaczyła? Dlaczego jedno krótkie spojrzenie na kogoś zaledwie do niej podobnego wprowadzało mnie w stan niepokoju, zmieszania? Próbowałem zrozumieć znaczenie symboli, ale, wzburzony, nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

– Wracajmy do gospody – zaproponowała Olmayne. – Odpoczniemy.

Najpierw skorzystałem jednak z myśłówki. Nawiązałem kontakt ze schronieniem Lataczy. Myśli, przepuszczone przez interfejs ochronny, dotarły do mózgu zawierającego rejestr gildii. Zapytałem i dostałem odpowiedź taką, jakiej się spodziewałem. Lataczka Avluela była mieszkanką Jorslemy.

– Mam dla niej wiadomość – powiedziałem. – Strażnik, którego znała w Roumie, jest teraz w Jorslemie jako Pielgrzym i chciałby się z nią spotkać jutro w południe przed domem odnowy.

Wróciliśmy do naszego schronienia. Olmayne wydawała się ponura, milczała, a kiedy, już pod dachem, zdjęła maskę, na twarzy miała wyraz... zazdrości? Tak. Dla niej wszyscy mężczyźni byli sługami, nawet wynędzniali starcy jak ja. Uznała za obelgę, że inna kobieta mogła rozpalić we mnie płomień uczucia. Wyciągnąłem klejnot. Najpierw nie chciała dołączyć do mej komunii, poddała się dopiero gdy rozpocząłem rytuał. Nerwy miałem jednak zbyt napięte by złączyć się z Wolą, nie udało mi się nawet jej dotknąć. Przez pół godziny staliśmy naprzeciw siebie, przybici, a potem zrezygnowaliśmy i rozstaliśmy się na noc.

Do domu odnowy idzie się samemu. Obudziłem się o świcie, dokonałem krótkiej, lecz bardziej udanej komunii i wyszedłem, bez śniadania, bez Olmayne. Pół godziny później stałem już przed złotym murem Starego Miasta. Kolejne pół godziny zajął mi spacer labiryntem krętych uliczek. Minąłem szarą kamienną ścianę tak drogą sercu dawnych Heberów, wyszedłem na wzgórze, obszedłem złotą kopułę wymarłych Mislamów, skręciłem w lewo i wtopiłem się w kolejkę Pielgrzymów, którzy o tej wczesnej godzinie zmierzali do domu odnowy.

Był to budynek z Drugiego Cyklu, bo to wówczas wynaleziono odnowę; tylko ten jeden naukowy proces z owych czasów dotarł do nas w formie, w jakiej go wówczas praktykowano. Jak zaledwie kilka dzieł architektury, ocalałych z dawnych czasów, był on smukły i lśniący, bardzo prosty architektonicznie, zgrabny, gładki, pozbawiony okien oraz jakichkolwiek zewnętrznych dekoracji. Do środka prowadziło wiele drzwi. Zająłem miejsce przed skrajnymi wschodnimi. W środku znalazłem się już po godzinie.

Powitał mnie ubrany na zielono członek gildii Odnowicieli, pierwszy, jakiego zobaczyłem. Odnowiciele wywodzą się wyłącznie z Pielgrzymów, gotowych całe życie służyć uznanym za godnych odnowy. Nie oddalają się od Jorslemy. Ich gildią zarządzają te same władze co Pielgrzymami, obie mają tego samego cechmistrza, a szaty jednych i drugich różnią się wyłącznie kolorem. Można powiedzieć, że Pielgrzymi

i Odnowiciele mają jedną gildię, tylko zajmują w niej różne pozycje, ale granica między nimi jest, tak czy inaczej, wyraźna.

Odnowiciel przemówił do mnie głosem pogodnym, nawet więcej, wesołym.

– Witaj w tym domu, Pielgrzymie. Kim jesteś i skąd pochodzisz?

– Jestem Pielgrzym Tomis, poprzednio Tomis z Pamiętających, a jeszcze wcześniej Strażnik, z urodzenia zwany Wuelligiem. Moją ojczyzną są Utracone Kontynenty. Podróżowałem wiele, nim zostałem Pielgrzymem i później.

– Czego tu szukasz?

– Odnowy. Odkupienia.

– Niech Wola da ci, czego pragniesz. Chodź ze mną.

Przeprowadził mnie wąskim, słabo oświetlonym korytarzem do ciasnej kamiennej celi. Poleciał zdjąć maskę, osiągnąć stan komunii i czekać. Z ulgą uwolniłem się od siatki z brązu, ścisnąłem w palcach klejnot gwiazd. Doznałem znajomego wrażenia, wchodziłem w stan komunii, ale nie zjednoczyłem się z wolą, za to poczułem, jak mój mózg nawiązuje łączność z inną istotą ludzką. Zdumiało mnie to, lecz nie stawiałem oporu.

Coś dotknęło mej duszy. Opróżniło ją, a co w niej znalazło, rozłożyło na podłodze celi jakby do obejrzenia: akty egoizmu i tchórzostwa, słabości i upadki, wątpliwości, rozpacz, a także najgorszy z mych uczynków: sprzedanie dokumentu Pamiętających przywódcy najeźdźców. Zobaczyłem je wszystkie i zrozumiałem, że nie jestem godny odnowy. Dotarłem do domu, w którym można przedłużyć sobie życie dwukrotnie, nawet trzykrotnie, lecz czy Odnowiciele mają jakiś powód, by oferować ten dar komuś tak niegodnemu?

Pozostawiono mi wiele czasu na kontemplowanie życiowych klęsk, lecz w końcu kontakt urwał się, a do celi wszedł Odnowiciel, choć nie ten, który mnie do niej wprowadził: człowiek potężny i niezwykle godny.

– Łaska Woli jest z tobą, przyjacielu – oznajmił. Wyciągnął rękę, niezwykle długie palce dotknęły czubków moich palców.

Usłyszałem głęboki głos, zobaczyłem palce i zorientowałem się, że stoję przed człowiekiem, którego raz już spotkałem – choć było to zaledwie krótkie spotkanie – u bram Roumu, przed podbojem Ziemi. Był wówczas Pielgrzymem. Zaproponował mi, żebym towarzyszył mu w drodze do Jorslemy. Odmówiłem, miasto mnie kusilo.

– Miałeś łatwą Pielgrzymkę? – spytałem.

– Wartą trudów – odparł. – A ty? Jak widzę nie jesteś już Strażnikiem.

– To moja trzecia gildia w tym roku.

– I już oczekuje cię następna.

– Czyżbym miał dołączyć do Odnowicieli?

– Nie tę gildię miałem na myśli, przyjacielu Tomisie. Ale o tym porozmawiamy, gdy odmłodniejesz. Z radością informuję cię, że okazałeś się godny.

– Mimo mych grzechów?

– Dzięki nim, jakie by były. Jutro o świcie wstąpisz do pierwszego ze zbiorników. Będę twoim przewodnikiem w procesie drugich narodzin. Jestem Odnowiciel Talmit. Odejdź teraz, a kiedy wrócisz, spytaj o mnie.

– Mam jedno pytanie...

– Tak?

– Pielgrzymowałem z kobietą, Olmayne, Pamiętającą. Chciałbym wiedzieć, czy jej też udzielono przywileju odnowy.

– Nie wiem nic o tej Olmayne.

– Nie jest kobieta dobrą – powiedziałem – lecz władczą, próżną, okrutną. A jednak można by ją ocalić. Jesteś w stanie jej pomóc?

– Nie mam na to wpływu. Musi poddać się badaniu, jak wszyscy – odparł Talmit i dodał: – Jedno mogę ci powiedzieć:

cnota nie jest jedynym kryterium wyboru tych, którym przeznaczona jest odnowa.

Wyprowadził mnie z budynku. Miasto oświetlały zimne promienie słońca. Byłem wyczerpany, czułem się pusty w środku, tak pusty, że nie cieszyło mnie nawet zakwalifikowanie do odnowy. Było południe. Przypomniałem sobie wiadomość dla Avlueli. Okrążyłem budynek. Denerwowałem się coraz bardziej. Przyjdzie? Nie przyjdzie?

Czekała przed budynkiem, od frontu, przy wspaniałym pomniku z Drugiego Cyklu. Czerwona kurtka, futrzane legginsy, szklane pęcherze na stopach, typowy mały garb zwiniętych skrzydeł, z daleka widać było, że mam do czynienia z Lataczem.

– Avluelo! – krzyknąłem.

Odwróciła się szybko. Błada, szczuplutka, wydawała się młodsza, niż kiedy wiedziałem ją po raz ostatni. Przesunęła wzrokiem po mojej twarzy, znowu zamaskowanej. Widziałem, że nie jest pewna, kim jestem.

– Strażniku? – zapytała z wahaniem – Strażniku, czy to ty?

– Nazywaj mnie Tomisem – powiedziałem. – Ale tak, jestem tym człowiekiem, którego znałaś w Agupcie i w Roumie.

– Strażnik? Mój Strażnik! Tomis! – Przytuliła się do mnie. – Jak dawno to było! Tyle zmian! – Ożywiła się, już nie była taka blada! – Chodź, pójdziemy do którejś z gospód, usiądziemy, porozmawiamy. Jak mnie znalazłeś?

– Przez twoją gildię. Widziałem cię wczoraj na niebie.

– Przyleciałam tu zimą. Jakiś czas spędziłam w Farsie, w połowie drogi do Hindii, ale zmieniłam zdanie. Żadna droga nie doprowadzi mnie do domu. Mieszkam teraz pod Jorslemą i zajmuje się... Dopuszcili cię do odnowy, Tomisie?

Zeszliśmy ze wzgórza. Znaleźliśmy się w skromniejszej dzielnicy Wewnętrzznego Miasta.

– Dopuszcili – przytaknąłem. – Zostanę odmłodzony. Moim przewodnikiem jest Odnowiciel Talmit... spotkaliśmy go

niedaleko Roumu, jako Pielgrzyma, jeśli pamiętasz...

Tego nie pamiętała. Usiedliśmy na otwartym patio jednej z gospód, Słudzy przynieśli nam jedzenie i wino. Pogoda Avlueli okazała się zaraźliwa, odmładzała mnie sama jej bliskość. Opowiedziała o ostatnich apokaliptycznych dniach w Roumie, kiedy księżę uczynił z niej konkubinę i przeniósł ją do Pałacu, o tej strasznej chwili, kiedy w trakcie inwazji pokonał go Gormon Odmieniec i kiedy jej Gormon przyznał, kim jest naprawdę: nie Odmieńcem, lecz najeźdźcą. I gdy w jednej chwili zabrał księciu tron, konkubinę i wzrok.

– Czy księżę żyje? – spytała.

– Zginął, lecz nie dlatego, że został oślepiiony – odparłem. Teraz ja opowiadałem jej jak ten silny, dumny mężczyzna opuścił Roum w przebraniu Pielgrzyma, jak wraz ze mną dotarł do Perrisa i jak podczas pobytu wśród Pamiętających wdał się w romans z Olmayne, by zginąć z ręki jej męża, który z kolei zginął z ręki żony. – Z Gormonem widziałem się w Perrisie. Teraz nazywa się Zwycięski Trzynaście. Jest ważną figurą w radzie najeźdźców.

Avluela uśmiechnęła się.

– Po podboju byłem z nim, ale krótko. Chciał odwiedzić Eyropę, poleciliśmy do Donska i Svedy. Tam przestał się mną interesować. Wtedy nabrałam chęci na powrót do domu, do Hindii. A potem zmieniłam zdanie. Kiedy zaczniesz odnowę?

– O świcie.

– Och, Tomisie, jak to będzie, kiedy wróci ci młodość? Czy wiesz, że cię kochałam? Od kiedy zaczęliśmy wędrowkę i gdy spałam z Gormonem, i gdy księżę wziął mnie do siebie, marzyłam tylko o tobie! Ale oczywiście byłeś Strażnikiem, więc mogłam tylko marzyć. Poza tym jesteś przecież stary, taki stary. Ale teraz nie ma już Strażników, już niedługo nie będziesz stary i... – Położyła dłoń na mojej dłoni. – Powinnam zostać z tobą. Oszczędziłoby to nam wiele cierpienia.

– Cierpienie uczy – powiedziałem.

– Tak, oczywiście, doświadczyłam tego na sobie. Jak długo potrwa twoja odnowa?

– Zapewne tak długo jak zwykle... nie wiem, ile trwa ten proces.

– A potem? Co zamierzasz, jaką gildię sobie wybierzesz? Nie możesz przecież być Strażnikiem. Już nie.

– Nie mogę. I nie chcę już być Pamiętającym. Ten mój przewodnik, Talmit, wspomniał, że jest jakaś inna możliwość. Nie wymienił nazwy gildii, ale chyba zasugerował, że to do niej wstąpię po odnowie. Najpierw pomyślałem, że chodzi mu o Odnowicieli, ale powiedział, że nie, że to coś innego.

– Bo to jest coś innego. – Avluela przytuliła się do mnie. – Odkupiciele – szepnęła.

– Odkupiciele? Tej nazwy jeszcze nie słyszałem.

– Talmit mówił o nich. Z pewnością by ciebie chcieli. Zdolności, które wyrobiłeś w sobie jako Strażnik, czynią cię wyjątkowo użytecznym.

– Odkupiciele – powtórzyłem z namysłem. Brzmiało to bardzo tajemniczo. – Odkupiciele. Czym się zajmuje ta gildia?

Avluela uśmiechnęła się radośnie.

– Ratuje zbłąkane dusze, wspomaga nieszczęśliwe światy. Ale nie pora teraz o tym mówić. Załatw swoje sprawy w Jorslemie, a potem wszystko się wyjaśni. – Wstała.

Poczułem muśnięcie jej warg na moich wargach.

– Po raz ostatni widzę cię jako starego człowieka. Dziwnie się poczuję, kiedy zobaczę cię odnowionego.

Odeszła.

Wróciłem do gospody wieczorem. Olmayne nie było w jej pokoju. Sługa powiedział, że nie było jej przez cały dzień. Czekałem do późna, potem przeprowadziłem komunię i zasnąłem. Wstałem przed świtem. Przystanąłem przy drzwiach jej pokoju, lecz były zapieczętowane.

Pośpieszyłem do domu odnowy.

Odnowiciel Talmit czekał już na mnie przy wejściu do budynku. Poszliśmy razem wyłożonym zielonymi kafelkami korytarzem do pierwszego ze zbiorników odnowieniowych.

– Pielgrzym Olmayne – poinformował mnie – zyskała akceptację. Odnowa rozpocznie się jeszcze dziś.

Była to ostatnia wzmianka o losach kogokolwiek, jaką miałem usłyszeć przez długi czas. Talmit wprowadził mnie do małego, niskiego pokoju, dusznego i wilgotnego, słabo oświetlonego kroplami niewolnego światła, przesyconego delikatnym zapachem pokruszonych liści kwiatu śmierci. Odebrano mi maskę i szatę. Talmit założył mi na głowę złotozieloną cienką siatkę z cienkich pasem jakiegoś metalu, przez którą przepuścił prąd elektryczny, a kiedy ją zdjął, okazało się, że nie mam włosów, że moja czaszka jest naga i lśniąca jak płytki, którymi wyłożono pokój.

– Dzięki temu łatwiej jest wbić elektrody – wyjaśnił. – Możesz już wejść do zbiornika.

Poprowadziła mnie do niego łagodnie nachylona rampa. Zbiornik miał wielkość niezbyt dużej wanny. Nagimi stopami wyczuwałem ciepłe, miękkie, śliskie błoto. Powiedziałem o tym Talmitowi. Wyjaśnił mi, że to naświetlona regeneratywna substancja, której zadaniem jest wspomagać podziały komórkowe, mające doprowadzić do odnowy i zwiększać ich szybkość. Przyjąłem jego słowa bez komentarza. Położyłem się w zbiorniku, wystawiając tylko głowę nad powierzchnię wypełniającego go, skrzącego się ciemnofioletowego płynu.

Błoto otoczyło me zmęczone ciało, pieściło je delikatnym dotykiem. Potężny Talmit górował nade mną, w ręku trzymał coś wyglądającego jak mnóstwo splątanych miedzianych drutów. Przyłożył mi je do głowy. Druty rozwinęły się jakby same z siebie, po czym wbiły końcówkami w czaszkę, przez skórę i kość aż do chronionej przez nią pofałdowanej szarej substancji. Czulem tylko bardzo delikatne ukłucia.

– Elektrody – wyjaśnił Talmit – odnajdują centra starzenia się w mózgu. Przekazujemy przez nie sygnały powodujące odwrócenie normalnego procesu rozpadu. Mózg przestanie odbierać dane o kierunku upływu czasu. Dzięki temu twoje ciało łatwiej przyjmie stymulację, płynącą ze środowiska w zbiorniku. Zamknij oczy.

Założył mi na usta i nos maskę tlenową, a potem pchnął mnie delikatnie, tak że głowa osunęła się z krawędzi zbiornika. Zawisłem w wypełniającej go fioletowej substancji. Czulem, że robi się coraz cieplej, słyszałem cichy bulgot. Wyobrażałem sobie czarne siarczane bąble odrywające się od błota, unoszące się ku powierzchni, nasycające płyn, w którym wisiałem bezwładnie. Wyobrażałem sobie, że płyn przyjął błotną barwę. Nieruchomy dryfowałem w nieruchomym morzu. Jakaś cząstka mnie czuła przepływający przez elektrody prąd, czuła, jak drażni mózg, czuła też, że płyn, w którym pływam, może być wodami płodowymi. Z daleka dobiegał mnie głęboki głos Odnowiciela Talmita, przywołującego mnie do mej młodości, wiodącego przez dziesięciolecia, odwijającego raz już nawinięty, niedostępny czas. W ustach miałem smak soli. Znów przepływałem Ziemi Ocean, osaczony przez piratów bronilem przed ich atakami instrumentów Strażnika. Znów spotykałem Avluelę pod gorącym słońcem Aguptu. Znów mieszkalem w Palachach. Powróciłem do miejsca narodzin, zachodnich wysp Utraconego Kontynentu, będącego niegdyś Usa-amriką. Po raz drugi oglądałem upadek Roumu. Strzepy

wspomnień przemykały przez rozmiękczonego mózga, w przypadkowej kolejności, bez przyczyn i bez skutków. Byłem dzieckiem. Byłem zmęczonym starcem. Przebywałem wśród Pamiętających. Odwiedzałem Somnambulików. Widziałem, jak Książę Roumu próbuje kupić oczy od Rzemieślnika z Dijon. Targowałem się z Prokuratorem Perrisa. Trzymałem rączki instrumentów, wchodziłem w stan Strażowania. Jadłem słodkie potrawy z innych światów, wdychałem zapach świeżego wiosennego powietrza w Palachach, drżałem jak starzec, któremu zawsze jest zimno, pływałem we wzburzonym morzu, silny i szczęśliwy, śpiewałem, płakałem, opierałem się pokusom, poddawałem pokusom. Klóciłem z Olmayne, tuliłem Avluelę, mijały dni i noce, i dni, mój biologiczny zegar biegł wstecz, nierówno, coraz szybciej. Doznawałem iluzji. Z nieba padał płomień, czas biegł w kilku kierunkach naraz, malałem i rosłem do gigantycznych rozmiarów, słyszałem głosy mówiące odcieniami szkarłatu i turkusu. W górach rozbłyskiwała muzyka ostra jak nóż. Serce biło mi mocno, gwałtownie. Tkwiłem w pułapce tłoku w cylindrze mózgu, z rękami przyciśniętymi do boków, by zajmować tylko tyle miejsca, ile to konieczne, a tłok bił raz za razem, raz za razem, raz za razem. Gwiazdy tętniły, pulsowały, zapadały się w siebie, topiły. Avluela powiedziała cicho: „Doświadczamy drugiej młodości dzięki łaskawości i dobroci płynącej z Woli, a nie dzięki własnym dobrym uczynom”. Olmayne powiedziała: „Jaka jestem szczupła”. Talmit powiedział: „Oscylacje percepcji sygnalizują tylko samozniszczenie pragnienia rozplynięcia się w nicłość, fundamentu procesu starzenia się serca”. Prokurator Uwładzy Siedem powiedział: „Wysłano nas do waszego świata jako narzędzie oczyszczenia”. Posiadaziemię Dziewiętnaście powiedział: „Z drugiej strony pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą. Przecięcie przeznaczenia Ziemi i naszego jest czymś całkowicie przypadkowym”. Powieki mi skamieniały. Zakwitły

maleńkie stworzenia, budulec mych płuc. Zrzuciłem skórę, obnażając wiązki mięśni doczepione do kości. Olmayne powiedziała: „Pory skóry mi się zmniejszają. I piersi. A ciało napina”. Avluela powiedziała: „Potem będziesz z nami latał, Tomisie”. Książę Roumu przykrył oczy dłońmi. Wieże Roumu chwiały się na słonecznym wietrze. Zerwałem szal z ramion mijającego mnie Pamiętającego. Komedianci na ulicach Perrisa płakali. Talmit powiedział: „Obudź się, Tomisie, obudź się, otwórz oczy”.

– Znów jestem młody – powiedziałem.

– Twa odnowa dopiero się zaczęła.

Nie byłem w stanie się poruszyć. Asystenci wyjęli mnie z wanny, owinęli jakimś chłonnym materiałem, położyli na wózku i przewieźli do drugiego zbiornika, znacznie większego, w którym pływało kilkanaście osób, każda zamknięta w świecie swego snu, z nagimi czaszkami ustrojonymi w festony elektrod. Oczy przykrywała im pomarańczowa taśma, ręce trzymały skrzyżowane na piersiach. Dołączyłem do nich, a potem nie doświadczyłem żadnych iluzji, był tylko długi, głęboki sen bez snów. Tym razem obudził mnie jakby szum fal. Okazało się, że przez zwężający się kanał zjeżdżam nogami w przód do zamkniętego zbiornika, w którym oddychałem płynem. Przebywałem w nim zapewne nieco dłużej niż minuta i nieco krócej niż sto lat, a przez ten czas moją duszę oczyszczano z warstw grzechu. Była to długa, ciężka praca. Chirurdzy operowali mnie zdalnie, z dłońmi wetkniętymi w rękawice kontrolujące małe ostre nożyki jak do obdzierania ze skóry, ale mnie każdy ruch narzędzi odzierał z grzechu, warstwa po warstwie, warstwa po warstwie. Wycinał winy i smutki, zazdrości, gniew, zachłanność, pożądanie, niecierpliwość.

Skończono i z tym. Otwarto zbiornik, a kiedy mnie z niego wyciągnięto okazało się, że nie jestem w stanie utrzymać się na nogach, więc specjalnymi narzędziami, podłączonymi do nich

i do rąk, wymasowano i wzmocniono mi mięśnie. Zrobiłem kilka kroków, zatrzymałem się, opuściłem wzrok na me nagie ciało, silne, zdrowe, ciasno opięte skórą. Talmit zbliżył się, rzucił w powietrze garść lustrzanego pyłu. Jego cząsteczki połączyły się, zestaliły i już wiedziałem, jak wyglądam.

– Nie – powiedziałem. – Popełniliście błąd z twarzą. Nie jestem podobny do siebie. Miałem ostrzejszy nos... nie takie pełne usta... nie tak czarne włosy...

– Pracowaliśmy w oparciu o twoje akta z gildii Strażników, Tomisie. Jesteś dokładniejszą repliką samego siebie od tej, którą podsuwa ci pamięć.

– Czy to możliwe?

– Jeśli chcesz, możemy uczynić cię takim, jakim widzisz sam siebie, a nie takim, jaki byłeś. Ale to byłaby błahostka kosztująca bardzo wiele czasu.

– Nie – powiedziałem. – Przecież nie ma to żadnego znaczenia.

Talmit zgodził się ze mną. Dowiedziałem się też od niego, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie mi wolno opuścić domu odnowy i że muszę najpierw przystosować się do mojego nowego ja. Dostałem szaty neutralne, bez insygniów gildii, bo byłem już partaczem, odnowa zakończyła me Pielgrzymowanie i teraz mogłem wstąpić do każdej gildii pod warunkiem, że zechciałaby mnie przyjąć.

– Jak długo to trwało? – spytałem, ubierając się.

– Przyszedłeś do nas latem – odparł Talmit. – Teraz jest zima. Nie pracujemy szybko.

– A co z moją towarzyszką, z Olmayne?

– Tu ponieśliśmy klęskę.

– Nie rozumiem.

– Czy chcesz ją zobaczyć?

– Chcę – powiedziałem pewny, że pójdziemy do pokoju Olmayne, ale nie, poszliśmy do Sali z jej zamkniętym

zbiornikiem.

Zatrzymałem się u szczytu rampy, spojrzałem na zamknięty pojemnik. Talmit wskazał mi teleskop mikrowłóknisty. Przyłożyłem oko do jego szeroko rozwartego oka i tak, zobaczyłem Olmayne. A raczej kogoś, kogo mi za nią podano, z prośbą, bym wyrzekł się niewiary.

Była to naga kobieta, dziewczynka raczej, lat około jedenastu, o gładkiej skórze, bez piersi. Leżała w zbiorniku skulona, z kolanami przyciągniętymi do płaskiej piersi i kciukiem w buzi. Najpierw nawet nie wiedziałem, co widzę, ale potem dziecko poruszyło się i wtedy zrozumiałem, że to moja królewska Olmayne, tak dobrze znana, że patrzę na zapowiedź przyszłych szerokich ust, mocno zarysowanej brody i kości policzkowych. Przeszył mnie dreszcz przerażenia, poczułem tępy ból.

– Co to znaczy? – spytałem Talmita.

– Im więcej skaz na duszy, Tomisie, tym głębiej musimy sięgać, by ją oczyścić. Twoja Olmayne była trudnym przypadkiem. Nie powinniśmy jej odnawiać, ale nalegała, a my mieliśmy wskazówki, że może się nam udać. Wprowadziły nas w błąd, jak widzisz.

– Ale... co się jej stało?

– Nim zdołaliśmy uwolnić ją od toksyn, proces odnowy wszedł w stadium nieodwracalne – wyjaśnił Talmit.

– Sięgnęliście za głęboko? Przesadziliście z odmłodzeniem?

– Jak widzisz, tak.

– Co zrobicie? Dlaczego nie wyciągniecie jej, nie dacie dziewczynce dorosnąć?

– Nie słuchałeś mnie wystarczająco uważnie, Tomisie, a powinieneś. Powiedziałem, że ten proces jest nieodwracalny.

– Nieodwracalny?

– Zagubiła się w dziecinnych snach. Co dzień młodnieje o lata. Jej wewnętrzny zegar wyrwał się spod kontroli. Ciało

kurczy się, mózg wygładza. Wkrótce będzie niemowlęciem. Nigdy się nie przebudzi.

– I na końcu... na końcu co? Spermia i jajo? Osobno?

– Retrogresja nie posunie się aż tak daleko. Umrze w niemowlęctwie. Wielu tak tracimy.

– Mówiła o ryzyku odnowy – przypomniałem sobie.

– A jednak nalegała, byśmy ją przyjęli. Jej dusza pogrążona była w mroku, Tomisie. Przyszła do Jorslemy, by ją rozjaśnić, i teraz jest jasna, czysta, a ona sama osiągnęła spokój w jedności z Wolą. Kochałeś ją?

– Nigdy! Ani przez chwilę!

– Cóż więc straciłeś?

– Fragment przeszłości... być może?

Znów przyłożyłem oko do okularu teleskopu. Przyglądałem się Olmayne przywróconej cnocie, niewinnej, bezpłciowej, oczyszczonej. Spokój w jedności z Wolą. Skupiłem wzrok na tak przedziwnie zmienionej, a jednak znajomej twarzy. Próbowałem odczytać z niej jej sny. Czy wiedziała, co się z nią dzieje, gdy tak bezwładnie zapadała się w młodość? Czy krzyczała z bólu i poczucia bezradności, czując wymykające się jej życie? Czy jeszcze raz, ostatni raz, wybuchł słynny gniew władczej Olmayne, nim otrzymała niechcianą czystość? Dziecko w zbiorniku uśmiechało się. Małe, zgrabne ciało wyprostowało się, a potem jeszcze ciaśniej zwinęło w pozycję płodu. Olmayne osiągnęła spokój w jedności z Wolą. Nagle, jakby Talmit rozpostarł w powietrzu kolejne lustro, zobaczyłem swoje nowe ja, zrozumiałem, co mi uczyniono, i wiedziałem już, że nowe życie dostałem z zastrzeżeniem, że wykorzystam je lepiej, niż wykorzystałem stare, w pokorze podjąłem zadanie służenia Woli, a wówczas radość opłynęła mnie falą, wielką niczym Ziemskiego Oceanu. Pożegnałem Olmayne, a Tomisa poprosiłem, by zabrał mnie gdzie indziej.

Avluela przyszła do mnie, do mojego pokoju w domu odnowień. Spotkaliśmy się oboje przestraszeni. Włożyła kurtkę niezakrywającą zwiniętych skrzydeł. Wydawało się, że są poza jej kontrolą, drżały nerwowo, otwierała je mimowolnie, odrobinę, a ich koronkowe końce wysuwały się niemal niewidocznymi, lecz gwałtownymi ruchami. Oczy miała wielkie i bardzo poważne, buzię jeszcze szczuplejszą i jeszcze bardziej spiczastą niż zwykle. Przez długą chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu, poczułem ciepło na całym ciele, oczy miałem zamglone, doświadczałem czegoś, działania sił znanych mi sprzed dziesięcioleci. Powitałem je z radością, choć także się ich bałem.

– Tomis? – spytała Lataczka niepewnie.

Skinąłem głową. Avluela dotknęła moich barków, ramion i ust. Ja musnąłem palcem nadgarstki i boki dziewczyny, a potem także, z wahaniem, niewielkie wypukłości piersi. Niczym ludzie porażeni ślepotą badaliśmy się dotykiem. Byliśmy sobie obcy. Stary, uwiędły strażnik, którego Avluela знаła i być może nawet kochała, znikł, wygnany na pięćdziesiąt lat lub więcej, a jego miejsce zajął ktoś przemieniony niczym czarami, nieznany, nigdy przedtem niewidziany. Stary Strażnik był dla niej kimś w rodzaju ojca. Kim mógł być dla niej młody Tomis – partacz? I kim ona miała być dla mnie, skoro nie mogła już być córką? Nie znałem przecież sam siebie. Gładka, napięta skóra była dla mnie niewiadomą. Zdumiewały mnie i zachwycaly oznaki tego, że w mym ciele płyną soki młodości,

że doświadczam pewnego obrzmienia oraz pulsowania, o którego istnieniu niemal całkiem zapomniałem.

– Oczy ci się nie zmieniły – powiedziała Avluela. – Zawsze i wszędzie poznam cię po oczach.

– Co porabiałaś przez te długie miesiące, Avluelo? – spytałem.

– Latałam co noc. Poleciałam do Aguptu i daleko w głąb Afreeki. Wróciłam. Poleciałam do Stanboolu. Zapada noc, unoszę się w powietrze. Wiesz, Tomisie, że dopiero w powietrzu naprawdę czuję, że żyję?

– Jesteś z Lataczy. Czy nie jest naturą członków twojej gildii czuć właśnie to?

– Pewnego dnia polecimy razem, obok siebie, Tomisie.

Roześmiałem się na te słowa.

– Stare Chirurgie nie funkcjonują, Avluelo. Dzieją się tu cuda, owszem, ale nie zrobią ze mnie Latacza. Do tego trzeba się urodzić ze skrzydłami.

– Można latać, nie posiadając skrzydeł.

– Wiem. Najeźdźcy to potrafią. Widziałam cię pewnej nocy zaraz po upadku Roumu... ty i Gormon wysoko na niebie... – Potrząsnąłem głową. – Ale nie jestem też najeźdźcą.

– Polecisz ze mną, Tomisie. Będziemy latać razem i nie tylko w nocy, choć moje skrzydła są jej skrzydłami. Będziemy latać w jasnych promieniach słońca.

Ucieszyło mnie to jej marzenie. Wziąłem ją w ramiona, chłodną, taką kruchą. Ciało pulsowało mi nowym ciepłem. Przez dłuższą chwilę nie rozmawialiśmy o lataniu, choć nie przyjąłem daru, który oferowała mi w tej chwili. Wystarczało mi przytulenie. Nikt nie przytomnieje w jednej chwili, zaraz po przebudzeniu.

Później, mijając po drodze innych ludzi, niedawno odmłodzonych, przeszliśmy korytarzami do wielkiej sali z przezroczystym sufitem, przez który wpadały do środka promienie zimowego słońca. Przyglądaliśmy się sobie

w zmiennym, bladym świetle, spacerowaliśmy, rozmawialiśmy. Opierałem się o Avluelę, nie odzyskałem bowiem jeszcze pełni sił, więc pod tym względem niewiele się zmieniło, dziewczyna pomagająca starcowi zrobić te kilka kroków. Potem Avluela odprowadziła mnie do pokoju.

– Przed odnową wspomniałaś coś o jakiejś nowej gildii Odkupicieli... – powiedziałem jeszcze.

– Na to przyjdzie czas później – odparła wyraźnie niezadowolona.

Weszliśmy do pokoju. Przytuliliśmy się do siebie i wtedy nagle poczułem pełnię żaru odnowienia, żaru, który, przestraszyłem się, mógłby spalić jej gładkie drobne ciało. Ale ten żar nie palił, tylko budził żar w innych. W chwili rozkoszy rozpostarła skrzydła, otoczyła mnie nimi, miękkimi, jedwabistymi. Podałem się porywowi szczęścia ze świadomością, że już nigdy nie będę musiał opierać się na jej ramieniu.

Nie byliśmy już sobie obcy. Spotykając się, nie czuliśmy strachu. Avluela przychodziła do mnie codziennie w godzinach ćwiczeń. Spacerowaliśmy, a ja bez trudu dotrzymywałem jej kroku. Ogień płonął w nas coraz żarłoczniej i jaśniej.

Często widywałem się też z Talmitem. Wtajemniczał mnie w sztukę posługiwania się nowym ciałem, pomagał mi stać się znów młodym. Odrzuciłem jego ofertę powtórnych odwiedzin u Olmayne. Pewnego dnia powiedział mi, że jej regres dobiegł swego naturalnego kresu. Nie zasmuciło mnie to, doznałem tylko uczucia nagłej pustki, które zresztą szybko minęło.

– Wkrótce nas opuścisz – powiedział pewnego razu. – Jesteś gotów?

– Chyba tak.

– Myślałeś może, co będziesz robił po opuszczeniu tego domu?

– Muszę znaleźć sobie nową gildię, wiem.

– Jest ich wiele, takich, które chciałyby ciebie, Tomisie. Której ty chcesz?

– Tej, w której będę najbardziej użyteczny dla ludzkości. Zawdzięczam życie Woli.

– Czy ta mała Lataczka wspomniała coś o tym, jakie masz możliwości?

– Mówiła coś o jakiejś nowej gildii – przyznałem.

– Wymieniła jej nazwę?

– Ma to być gildia Odkupicieli.

– Co o niej wiesz?

– Bardzo mało – przyznałem.

– Chcesz wiedzieć więcej?

– Jeśli można?

– Ja jestem Odkupicielem – oznajmił Talmit. – Lataczka Avluela także.

– Przecież należycie do innych, do różnych gildii. Jak możecie być członkami dwóch jedocześnie? Tylko Dominatorzy mieli to prawo, a oni...

– Tomisie, my przyjmujemy członków ze wszystkich innych gildii. Jesteśmy wobec nich nadrzędni, jak kiedyś wymienieni przez ciebie Dominatorzy. Są wśród nas Pamiętający, są Skrybowie, Rejestratorzy, Słudzy, Latacze, Ziemianie, Somnambulicy, Chirurdzy, Komedianci, Handlarze, Sprzedawcy. A także Odmieńcy i...

– Odmieńcy? – Aż westchnąłem ze zdumienia. – Oni nie mają gildii z woli prawa! Jaka gildia może przyjmować Odmieńców?

– Jesteśmy Odkupicielami. Nawet Odmieńcy mogą zostać odkupieni, Tomisie.

– Nawet Odmieńcy, oczywiście – przyznałem, uznając się za skarconego. – Ale to dziwne rozważać możliwość powstania takiej gildii.

– Pogardzałbyś nią, bo przyjmuje Odmieńców.

– Samo jej istnienie jest dla mnie trudne do pojęcia.

- Zrozumiesz. We właściwym czasie.
- Czyli kiedy?
- W dniu, gdy opuścisz ten dom – powiedział Talmit.

Ten dzień nadszedł wkrótce. Avluela przyszła po mnie, wraz z nią wyszedłem na zalaną światłem ulicę Jorslemy, by dopełnić rytuału odnowy. Talmit udzielił jej instrukcji, jak ma mnie prowadzić. Przeszliśmy przez miasto, od świątyni do świątyni, bym mógł pomodlić się w każdym ze świętych miejsc. Ukląknąłem przy ścianie Heberów i przy złotej kopule Mislamów, po czym przeszedłem w dół, do niższej części miasta i przez rynek do miejsca, w którym miał umrzeć Bóg Christerów, następnie udałem się do źródła wiedzy i fontanny Woli, a stamtąd do siedziby gildii Pielgrzymów, by zdać maskę, szatę i klejnot gwiazd. Dalej droga ma prowadziła do muru Starego Miasta. W każdym z tych miejsc oddawałem się Woli słowami, które tak długo pragnąłem wymówić. Grupki Pielgrzymów i zwykłych mieszkańców Jorslemy towarzyszyły mi w pełnej szacunku odległości. Wiedzieli, że zostałem niedawno odnowiony, i mieli nadzieję, że emanacje mojego nowego młodego ciała przyniosą im szczęście.

Wreszcie wypełniłem obowiązki. Byłem wolnym człowiekiem, cieszyłem się doskonałym zdrowiem, mogłem wreszcie wybierać, jakie życie chcę prowadzić.

- Zechcesz pójść ze mną na spotkanie z Okupicielami?
- A gdzie ich znajdziemy? W Jorslemie?
- Tak, w Jorslemie. Za godzinę zacznie się spotkanie. Z okazji przyjęcia cię do gildii.

Z fałd tuniki Avluela wyjęła coś małego, lśniącego. Niemal natychmiast rozpoznałem w tym czymś klejnot gwiazd. Patrzyłem na niego zdumiony do granic możliwości.

- Skąd on u ciebie? – spytałem. – Przecież tylko Pielgrzymi...
- Połóż swoją dłoń na mojej dłoni – przerwała mi, wyciągając do mnie zaciśniętą w piąstkę dłoń, w której trzymała klejnot.

Wykonałem jej polecenie. Widziałem, jak drobna spiczasta buzia Avlueli nieruchomieje, napina się z wysiłku koncentracji. Po chwili jej rysy rozluźniły się, złagodniały. Odłożyła klejnot.

– Posłuchaj, co...

– Wysłałam sygnał do gildii – powiedziała cicho. – Uprzedziłam ich, że powinni się już zbierać, że jesteśmy w drodze.

– Skąd masz klejnot?

– Chodź ze mną. Och, Tomisie, gdybyśmy mogli tam polecieć. Ale to niedaleko. Spotykamy się praktycznie w cieniu domu odnowy. No chodź, Tomisie. Idziemy.

Sala była ciemna. Avluela wprowadziła mnie w głąb mrocznych podziemi, oznajmiła, że trafiłem do domu cechowego gildii Odkupicieli, i pozostawiła mnie samemu sobie. Ostrzegła tylko, żebym się nie ruszał.

Wyczuwałem, że wcale nie jestem sam, że w ciemności otaczają mnie ludzie, ale nic nie słyszałem i niczego nie widziałem.

Pchnięto coś w moją stronę.

– Wyciągnij rękę – poleciła Avluela. – Co czujesz?

Dotknąłem małej prostokątnej szafki spoczywającej, jak mi się wydawało, na metalowym stelażu. Wyczułem umieszczone na wierzchu znajome pokręta oraz dźwignie. Niewiele czasu zajęło mi wymacanie wśród nich dwóch rączek i w jednej chwili stało się tak, jakby nie było nigdy żadnej odnowy, jakby Ziemia nigdy nie została podbita. Znów byłem Strażnikiem, bowiem z całą pewnością miałem do czynienia z elementem wyposażenia Strażnika.

– Ten instrument nie należał do mnie – powiedziałem – ale niewiele różni się od mojego.

– Zapomniałeś, jak się nim posługiwać, Tomisie?

– Pamiętam. Mógłbym posłużyć się nim w tej chwili.

– A więc się nim posłuż. Rozpocznij Straż i powiedz mi, co widzisz.

Bardzo łatwo i równie radośnie powróciłem do starych przyzwyczajień. Szybko przeprowadziłem wstępne rytuały, oczyściłem umysł ze spowalniających jego działanie drobnych

przeszkód. Zdumiewająco łatwo udało mi się przypomnieć sobie samą zasadę, ducha Strażowania. Nie robiłem tego od dnia upadku Ziemi, a przecież miałem wrażenie, że doprowadzenie się do właściwego stanu świadomości poszło mi szybciej niż kiedyś.

Uchwyciłem rączki. Ich dotyk mnie zdumiał. Nie przechodziły w uchwyty, do których byłem przyzwyczajony lecz kończyły się, obie, czymś chłodnym i twardym, być może klejnotem, którego nie potrafiłem rozpoznać dotykiem. Pomyślałem nawet, że mogą to być klejnoty gwiazd. Zawahałem się, poczułem prawdziwy strach, ale opanowałem się szybko, ogarnął mnie wielki spokój, przelałem duszę w moje urządzenie, rozpocząłem Straż.

Podczas tej straży nie odleciałem w gwiazdy, jak to się działo w dawnych czasach. Postrzegałem, odbierałem wrażenia, ale ten proces ograniczony był do najbliższego otoczenia. W transie, z zamkniętymi oczami, z ciałem napiętym i przygarbionym, napotkałem najpierw Avluelę. Stała blisko, niemal mnie dotykała. Widziałem ją bardzo wyraźnie. Uśmiechnęła się, skinęła głową, oczy jej płonęły.

– Kocham cię.

– Tak, Tomisie. Już zawsze będziemy razem.

– Nikt nigdy nie był mi tak bliski jak ty.

– W tej gildii wszyscy jesteśmy sobie tak bliscy. Przez cały czas. Jesteśmy Odkupicielami. Jesteśmy czymś nowym. Na Ziemi nigdy nie było tego, czym się stajemy.

– Jak mogę z tobą rozmawiać, Avluelo?

– Twój umysł rozmawia z moim umysłem za pośrednictwem maszyny. Pewnego dnia nie będziemy już potrzebować maszyn.

– I wtedy polecimy razem?

– Polecimy razem znacznie wcześniej, Tomisie.

Klejnoty gwiazd rozgrzały mi się w dłoniach. Widziałem już wyraźnie moje narzędzie pracy, typową skrzynkę Strażnika,

lecz zmodyfikowaną, także przez klejnoty gwiazd założone na końce rączek. Oderwałem wzrok od Avlueli, popatrzyłem dalej, zobaczyłem znajome twarze: poważną Odnowiciela Talmita po lewej, za nim Chirurga, z którym wędrowaliśmy do Jorslemy, mającego przy boku Odmieńca Bernalta – wiedziałem już, co przywołało go z Najruby do świętego miasta. Innych nie rozpoznawałem, ale było wśród nich dwoje Lataczy, Pamiętający przytrzymujący szal, kobieta ze Sług. Widziałem ich w blasku mego wewnętrznego światła, bo sala jak była ciemna, tak ciemną pozostała. I nie tylko widziałem, dotykałem ich także, dotykałem swoim umysłem ich umysłu.

Z niezwykłą łatwością dotknąłem umysłu Bernalta, najpierw krótko, z obawą, cofnąłem się i wróciłem. Przyjął mnie chętnie, ciepło. Zrozumiałem wówczas, że tylko jeśli zdołam potraktować Odmieńca jak brata, i ja, i cała Ziemia, doznamy upragnionego Odkupienia. Nasza kara skończy się dopiero wtedy, kiedy naprawdę staniemy się jednym ludem.

Próbowałem wejść do umysłu Bernalta, ale trochę się tego bałem. Czy zdołam ukryć uprzedzenia? Drobne przejawy lekceważenia? Odruchy, których nabieramy przez całe życie, każące nam pogardzać Odmieńcami?

– Niczego nie ukrywaj – poradził mi Bernalt. – Dla mnie to żaden sekret. Wyzwól się i połącz ze mną.

Walczyłem ze sobą, walczyłem z prześladowającymi mnie demonami, przywołałem wspomnienie tej chwili przed świątynią Odmieńców, kiedy Bernalt ocalił nam życie, a ja poprosiłem, by wędrował z nami. Co wówczas czułem? Czy nie traktowałem go jak brata? Przynajmniej przez chwilę?

Wzmocniłem tę chwilę wdzięczności, poczucia wspólnoty. Jej wspomnienie rosło we mnie, płonęło żywym ogniem, wypalało brud pogardy, puste poczucie wyższości. Pod straszną maską Odmieńca znalazłem duszę człowieka, zerwałem maskę,

odkryłem drogę odkupienia. Bernalt przyciągnął mnie do swego umysłu.

Połączyłem się z nim. Przyjął mnie do swojej gildii. Stałem się Odkupicielem.

W mym umyśle rozbrzmiewał dźwięczny głos. Nie wiedziałem, czy to głęboki bas Talmita, czy suchy, ironiczny głos Chirurga, a może opanowany Bernalta lub szept Avlueli? Był każdym z nich i wieloma innymi, i mówił:

– Gdy ludzkość cała wstąpi do naszej gildii, nie będziemy już tymi, których podbito. Kiedy każdy z nas stanie się częścią każdego z nas, skończy się nasze cierpienie. Nie musimy walczyć z najeźdźcą, bowiem, Odkupieni, wchłonimy go w nas i stanie się naszą częścią. Dołącz do nas, Tomisie, który byłeś Strażnikiem Wuelligiem.

Dołączyłem do nich. Stałem się Chirurgiem i Lataczem, i Odnowicielem, i Sługą... stałem się nimi wszystkimi. A oni stali się mną. Jak długo ściskałem w dłoniach klejnoty gwiazd, byliśmy jedną duszą i jednym umysłem. Nie przypominało to komunii z Wolą, w którą Pielgrzym wtapia się anonimowo, było raczej unią jaźni z jaźnią, w której każda zachowywała niezależność w ramach wyższej zależności. Odbierałem wrażenia tak jasno jak podczas Strażowania, pomnożone przez poczucie zanurzenia w istnieniu wyższego rzędu, jak podczas komunii. Zdawałem sobie w pełni sprawę, że jest to coś na Ziemi do tej pory nieznanego, że nie tyle tworzymy nową gildię, ile inaugurujemy nowy cykl w historii ludzkości, Czwarty cykl, rodzący się na pokonanej, na upokorzonej planecie.

– Tomisie – mówił dalej głos. – Odkupimy najpierw tych w największej potrzebie Odkupienia. Udamy się do Aguptu, udamy się na pustynię, gdzie żałośni Odmieńcy gromadzą się wokół starożytnego budynku czczonego jak świątynia, zjednoczymy ich z nami, oczyścimy. Udamy się dalej na zachód, do biednej wioszczyny, w której szaleje choroba krystalizacyjna,

sięgnemy po dusze wieśniaków, wyzwolimy ich od zarazy, zatrzymamy krystalizację, uzdrowimy ciała. I daleko za Agupt, do wszystkich krain tego świata, zbierzemy tych, co nie mają gildii, i tych, co nie mają nadziei, i tych, co nie mają jutra, i damy im życie, pokażemy, że warto jest żyć. I nadejdzie czas, gdy cała ziemia zostanie odkupiona.

Pokazano mi wizję, obraz przemienionej planety. Pokazano mi surowe twarze najeźdźców, poddających się nam bez przemocy, błagających o miejsce w tym czymś, co wyrosło pod ich władzą, mimo ich władzy. Pokazano mi Ziemię oczyszczoną z prastarego grzechu.

A potem poczułem, że pora oderwać dłonie zaciśnięte na rączkach maszyny, więc je oderwałem.

Wizja odpłynęła, światło przygasło, lecz mój umysł nie był już sam. Pozostał w nim ślad kontaktu, a w Sali pozostał ślad światła.

– Jak to się stało? – spytałem. – Kiedy się zaczęło?

– Zaraz po podboju – odparł Talmi – zadaliśmy sobie pytanie, dlaczego upadliśmy tak łatwo i jak możemy powstać z upadku, stać się czymś większym, niż byliśmy. Zrozumieliśmy, że gildie nie są wystarczającym fundamentem naszego życia, że tylko trwalszy od nich związek da nam szansę odkupienia. Mieliśmy klejnoty gwiazd, mieliśmy instrumenty Strażników, pozostało nam tylko połączyć jedno z drugim.

– Jesteś dla nas bardzo ważny, Tomisie – powiedział Chirurg. – Rozumiesz, jak uwalniać umysł, wysyłać go daleko, poza niego samego. Poszukujemy byłych Strażników. Są fundamentem naszej gildii. Niegdyś twa dusza unosiła się w gwiazdy, poszukiwała naszych przeciwników, teraz będzie wędrowała po ziemi, by zjednoczyć ludzkość.

– Pomożesz mi latać, Tomisie – powiedziała Avluea. – Latać nawet w dzień. I będziesz latał u mego boku.

– Kiedy ruszasz w drogę? – spytałem.

– Teraz. Lecę do Aguptu, do świątyni Odmieńców, oferować im to, co mamy do zaoferowania. Połączymy się wszyscy, by dać mi siłę, a siłę tę skupisz ty, Tomisie. – Jej dłonie dotknęły mych dłoni, jej usta musnęły moje. – Życie na Ziemi zaczyna się od nowa teraz, tego roku, pierwszego nowego cyklu. Och, Tomisie, wszyscy urodziliśmy się na nowo!

Pozostałem sam. Członkowie nowej gildii rozeszli się, Avluela wyszła na górę, na ulicę. Położyłem dłonie na klejnotach gwiazd, zobaczyłem ją tak wyraźnie, jakby stała tuż obok mnie. Przygotowywała się do lotu. Zdjęła ubranie, jej nagie ciało błyszczało w popołudniowym słońcu. Pomyślałem, że jest tak nieprawdopodobnie delikatne, jakby mógł je rozwiać mocniejszy podmuch wiatru. Uklękła, pochyliła głowę, odprawiła rytuał. Mówiła do siebie, ale słyszałem ją wyraźnie, słyszałem słowa, które Latacze wypowiadają, nim oderwą się od ziemi. Wszystkie gildie są jednym w nowej gildii, nie mamy przed sobą sekretów, nic nie jest dla nas tajemnicą. Upraszała łaski Woli i wsparcia jej podobnych, a ja dołączyłem swoją modlitwę do jej modlitwy.

Powstała. Rozpostarła skrzydła. Przechodnie przyglądali się jej dziwnie nie dlatego, że naga Lataczka na ulicach Jorslemy była widokiem niecodziennym, lecz dlatego, że słońce świeciło jasno, a przezroczyste skrzydła, niemal pozbawione pigmentu, były przecież tak wyraźnie, tak oczywiście skrzydłami nocy.

– Kocham cię – powiedzieliśmy do niej. Nasze ręce przesunęły się lekko po jej aksamitnej skórze w krótkiej pieszczocie.

Nozdrza Avlueli rozchyliły się z rozkoszy, stwardniały sutki drobnych piersi małej dziewczynki. Rozpostarła skrzydła tak cudownie błyszczące w słońcu.

– Lecimy do Aguptu – szepnęła. – Odkupić Odmieńców, włączyć ich w naszą jedność. Tomisie, czy polecisz ze mną?

– Będę z tobą – powiedzieliśmy. Chwyciłem mocno klejnoty gwiazd, w ciemnej sali pod placem, na którym stała, pochyliłem się nad szafką instrumentów. – Polecimy razem, Avluelo.

– A więc lećmy – powiedziała Avluela, a my powtórzyliśmy „lećmy”.

Skrzydła Lataczki poruszyły się, wygięły, złapały wiatr. Poczuliśmy, jak walczy w tej pierwszej chwili, daliśmy jej potrzebną siłę, przejęła tę siłę, płynącą od nas do niej przeze mnie. Wznieśliśmy się wysoko. Wieże i mury złotej Jorslemy malały, aż miasto stało się różową kropką zagubioną w zieleni wzgórz. Ciężko pracujące skrzydła Avlueli niosły ją szybko na zachód, w stronę zachodzącego słońca, w stronę krainy Agupt. Ekstazę tego lotu czuliśmy wszyscy.

– Widzisz, Tomisie, jakie to cudowne, być ponad wszystkim? Czujesz to?

– Czuję to – szepnąłem. – Chłodny wiatr na nagim ciele, wiatr we włosach, unoszą nas prądy wstępujące, szybujemy, wzlatujemy w niebo, Avluelo, wzlatujemy w niebo!

Do Aguptu. W zachodzące słońce. Spojrzeliśmy w dół, na roziskrzone Jezioro Medit. Gdzieś tam, daleko, był Most Lądowy. Na północy – Eyropa. Na południu Afreeka. Daleko, za Ziemskim oceanem, leżała moja ojczyzna. Kiedyś tam powrócę, lecąc z Avluelą na zachód. Przyniosę dobra nowinę o transformacji Ziemi.

Z tej wysokości nie widziało się nic mogącego świadczyć, że nasza Ziemia została podbita. Nie widziało się ustawionych przez najeźdźców punktów kontrolnych, tylko piękne kolory łąd i morza. Ale punkty kontrole nie miały istnieć długo. Podbijemy tych, którzy podbili nas, nie śmiercionośną bronią, lecz miłością. Gdy Odkupienie Ziemi stanie się uniwersalne, włączymy w naszą jaźń tych, którzy pozbawili nas planety.

– Wiedziałam, że pewnego dnia polecisz ze mną, Tomisie – powiedziała Avluela.

W ciemnej Sali czułem wielką siłę uderzeń jej skrzydeł.

Avluela zawisała nad pustynią. Wkrótce mieliśmy zobaczyć starą Chirurgię, świątynię Odmieńców. Jakże żałowałem, że będziemy musieli wylądować! Chciałem, byśmy lecieli na zawsze, bez przerwy, Avluela i ja.

– Tak będzie, Tomisie, tak będzie – obiecała mi. – Nic nas nie rozdzieli. Wierzysz w to, Tomisie, prawda?

– Wierzę – zapewnilem ją. – W to wierzę.

Poprowadziliśmy ją w dół z ciemniejszego nieba.